



# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rs. 10	Z przesyłką pocztową:
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop 50	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.	Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

### DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . . (za 52 tomy) . . . . .	rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . . . .	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . . . .	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,  
Dr. Julian Ochorowicz,  
Julian Adolf Świącicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski.*

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 564  
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 137.

# KOLLOKACYA

*Powieść*

Józefa Korzeniowskiego

Z PRZEDMOWĄ

*Teodora Jeske-Choińskiego.*



Cena 40 kop.

W pren. 30 1/2 kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1900

KOLLOKACYA.

JÓZEF KORZENIOWSKI.

# Kollokacya

Powieść.

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.

 *Lwowska*  
*L. Malolepszy*

WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego.

47. Nowy-Świat 47.

Zbiory specjalne

Дозволено Цензурою.  
Варшава 25 Мая 1900 года.



118584

K182/1/133878

## Józef Korzeniowski.

Józef Korzeniowski (ur. 19-go marca 1797 r.) kształcił się i rozwijał w epoce, w której niezwykle wypadki polityczne wznęcały niezwykle ruch na wszystkich polach pracy ludzkiej. Kiedy rewolucya francuska i epopea napoleońska wyrzucały na wierzch, sięgając aż do najniższych warstw społecznych, cały legion niepospolitych obywateli i wielkich bohaterów, odbywał się równocześnie w literaturze, sztuce i nauce przewrót, który stawiał na gruzach dawnych, zużytych formułek świeży, nowy gmach nowych ideałów i teoryj.

Gorący romantyzm rzucił rękawicę sztywnemu, chłodnemu klasycyzmowi. We wszystkich krajach rozpadła się dziatwa Apollina na dwa namiętnie z sobą walczące obozy. Młodzi gromadzili się pod sztandarami romantyzmu, starsi bronili zwietrzałych hasel i doktryn.

Józef Korzeniowski, aczkolwiek należał latami do ówczesnych młodych, nie brał udziału w walce

szkół literackich. Jego temperament więcej refleksyjny, więcej tkliwy, niż namiętny, nie nadawał się do roboty polemicznej, reformatorskiej.

Jasne światło na tę naturę spokojną, zawsze rozważną, niezdolną do uniesień, rzuca pierwsza i ostatnia miłość Korzeniowskiego. Zaręczywszy się z panną Moniką Vogel, córka profesora architektury w uniwersytecie warszawskim, korespondował z nią autor „Kollokacyi” odrazu tak, jak gdyby był jej mężem od lat kilku. Miłość gwałtowną, namiętną nazywał „miłością gminnych ludzi, momentalnym pijaństwem, zostawiającem niesmak po otrzeźwieniu.”

Pisał on, pomiędzy innymi, do swojej narzeczonej: „Jesteśmy teraz na takim stopniu przywiązania, na jakim będziemy za lat trzydzieści, jeżeli nam Bóg żyć pozwoli. Jak żałuję tych ludzi, którzy w przywiązaniu, w miłości szukają takich ukontentowań, jakich w niej nie masz. Imaginacya dodaje ich żądom świetnych farb, gdy w czarownem ustawia je oddaleniu: lecz wkrótce przekonywa ich skutek, że nie ma takiego wdzięku w rzeczywistości, jaki był w nadziei. Spodziewali się anielskich rozkoszy—znajdują tylko ludzką przyjemność; ten zawód oziębia ich i studzi” i t. d.

Z usposobieniem tak chłodnem, trzeźwem, praktycznem trudno być championem nowych idei, trudno zapalić się do walki niepewnej. Usposobienie to wziął Korzeniowski po swojej matce, Niemce, pochodzenia mieszczańskiego (Klara Winkler). Wiadomo, że ludzie utalentowani są zwykle więcej synami swoich matek, aniżeli ojców.

Jak wszyscy pisarze owego czasu zaczął Korzeniowski karierę literacką od wierszy. Pisał ich dużo, wzorując się na klasykach, których główny szermierz ksiądz Aloizy Osieński, był jego profesorem poezyi i wymowy w liceum krzemienieckiem.

Zaszczyt „wprowadzenia w świat” Korzeniowskiego, jako autora, należy się „Tygodnikowi wileńskiemu,” organowi Lelewela, który otworzył pismo swoje młodym talentom. W tygodniku tym drukował Korzeniowski w numerze z dnia 13-go sierpnia 1816 r. „Odę na rok 1815.”

Po tym debiucie nie odzywał się Korzeniowski jako pisarz przez całe trzy lata.

Od drobniejszych poezyj przeszedł Korzeniowski do dzieł dramatycznych. Jego „Pelopidowie,” których dwa urywki pomieścił „Pamiętnik sceny warszawskiej na rok 1840,” jego „Bitwa nad Mozgawą,” są słabemi echemi klasycznej, deklamacyjnej tragedyi francuskiej.

Jak wszystkie umysły refleksyjne, wyrabiał się, przetrawiał, dochodził Korzeniowski do świadomości autorskiej bardzo wolno. Każda myśl, każda formułka estetyczna musiała się w jego duszy dobrze „odleżeć,” zanim rozwinęła się w kwiat i wydała owoc pożywny.

Zmiarkowawszy niebawem, że nie posiada w talentie swoim akcentów silnych, podniosłych, bez których tragedia koturnowa jest niemożliwa, przeszedł Korzeniowski do t. zw. dramatu mieszczańskiego, stworzonego we Francyi przez Diderota. W „Klarze” i „Anieli” starał się być naturalniejszym, usiłował zbliżyć się do prawdy życiowej, do prostoty.

Starat się oczywiście tylko, bo nikt nie otrząsa się odrazu z nawyknień i upodobań całej młodości.

Bardzo długo eksperymentował Korzeniowski, zanim zdobył się na dojrzały dramat swojski, który zapisał jego imię na zawsze w historii teatru polskiego. Miał już lat 43, kiedy napisał głośnych do dnia dzisiejszego, świeżych, nie starzejących się „Karpackich Górali” (1840 r.); dzieło to jest punktem kulminacyjnym jego twórczości dramatycznej. Żaden z jego późniejszych dramatów i dramacików nie może się równać z „Karpackimi Góralami.”

Daleko później, aniżeli do dramatu, zabrał się Korzeniowski do komedyi. Nic w tem dziwnego, komedya bowiem nie może się obyć bez bogatej obserwacji życiowej, znajomość zaś życia daje dopiero dłuższe doświadczenie osobiste. Można napisać bardzo dobry dramat w młodym wieku, ale komedye talentów młodocianych bywają prawie zawsze nieudolne, naiwne.

Pierwsza znana komedya Korzeniowskiego p. t. „Zakład” pochodzi z r. 1839. Wkrótce po „Zakładzie” nastąpiły: „Zaręczyny aktorki,” „Mąż artysta,” „Doktor medycyny,” „Fabrykant,” „Stary mąż,” „Żydzi.”

Jak „Karpaccy Górale” są najlepszym, nieśmiertelnym dramatem Korzeniowskiego, tak powinna komedya, p. t. „Panna męzatka” (1844 r.) zostać na zawsze w repertuarze scen polskich. Dzieło to zasługuje tak pod względem treści, jak i kompozycji na trwałą pamięć. Późniejsze komedye Korzeniowskiego: „Pośredniczka,” „Młoda wdowa,” „Majster i czeladnik,” „Okrężne,” „Narzeczone,” „Pierwej ma-

ma,” „Dwaj mężowie,” nie odznaczają się już ani takim bogactwem charakterów, ani taką żywością czynności, pełnej ruchu, jak „Panna męzatka.”

Powodzenie Józefa Ignacego Kraszewskiego zwróciło uwagę Korzeniowskiego na powieść. Ale i w tym rodzaju odbywał autor „Karpackich Górali” dość długi nowicyat, zanim doszedł do pewności oka i ręki. Jego pierwszą głośniejszą powieścią był „Spekulant” (1845 r.), po którym nastąpiły szybko po sobie: „Kollokacya (1847 r.), „Wędrowki Oryginała” (1848 r.), „Nowe wędrowki Oryginała,” „Krewni,” „Garbaty” i in.

Rozbiór krytyczny spuścizny literackiej Korzeniowskiego byłby trudem spóźnionym. O rozmiarach i jakości jego talentu pisano już tyle i z taką znajomością przedmiotu, iż nic nowego dodać nie można.

Korzeniowski nie należał do autorów szczęśliwych. Krytyka nie witała go hucznymi oklaskami, publiczność nie rozchwytywała jego dzieł. Wolno, z wielkim trudem dobijał się on zasłużonego uznania, które mu w całej pełni rzucono dopiero na mogiłę. Korzeniowski musiał umrzeć, aby ogół odczuł i zrozumiał, że stracił wielkiego pisarza i uczciwego przewodnika.

Za życia lekceważyli go zachowawcy i demokraci, pastwili się nad nim krytycy (Tyszyński), znęcali się koledzy (Kraszewski). Każdy, kto chciał, szarpał go i kasał. Dopiero po śmierci nazwał go Karol Widman (1868 r.) mistrzem, Leopold Winkler złożył hołd jego talentowi i zasługom obywatelskim

(1872 r.), F. U. Lewestan nie szczędził mu słów uznania we wstępie do zbiorowego wydania jego dzieł, sporządzonego przez S. Lewentala. I Adam Rzążewski, Walerya Marrené-Morzowska, Klemens Kantecki i Piotr Chmielowski poświęcili Korzeniowskiemu obszerniejsze studia.

Teodor Jeske-Choiński.

I.

Było to w roku 1838 — albo, podczas jednego pięknego poranku w maju—albo, w jednej z najrozkoszniejszych okolic Podola lub Polesia — albo: właśnie słońce miało się ku zachodowi, gdy... i t. d.

Tym sposobem zaczynają się zwykle powieści tkliwe, zabawne lub nauczające. Pozwolą mi jednak czytelnicy odstąpić od tych przyjętych form, i zacząć od rzeczy najbardziej krajowej, najbardziej charakterystycznej w pewnych porach roku, to jest: od błota.

Otóż błoto było ogromne, jak zwykle bywa na Wołyniu w połowie października. Koleje pełne gęstej i brudnej wody nie pozwalały wymierzyć swej głębokości, po czarnej i rozmięklej ziemi błyszcząły tu i owdzie jeziora na trawie i nawet na polach, przygotowanych do wiosennej siewby; we wsiach wszystkie płody były obryzgane, wszystkie karczmy wyglądały pstrokato; wszędzie ludzie, dochodzący do wrót lub do drzwi domów, podkasani jak najwyżej, z zabłoconymi nogami, ślizgali się i grzęzli; jeżeli kto jechał, to jechał stępo, i leniwemu postępowi jego towarzyszyła muzyka kopyt końskich, klapiących o rzadkie błoto, lub topiących się w rozmięklej ziemi, wcale różna od tego odgłosu, jaki wydawał koń Farysa, gdy lotną swą nóżkę w głębokim piasku zanurzał.

W takim była stanie piękna w innej porze oko-



lica Staro-Konstantynowskiego powiatu; żyzna, wzgórkowata, ozdobiona prześlicznymi laskami, które teraz nie zmieniły się, nie rzucały rozkosznych cieni, ale obnażone z liści, stały spokojnie na wzgórzach, jak szkielety gajów i klombów. Niebo jednakże było czyste i, jak się to czasem zdarza w połowie października, słońce zaświeciło jasno, tym blaskiem melancholijnym, tak podobnym do ostatniego uśmiechu, którym oddalający się przyjaciel żegna przyjaciela, lub odjeżdżający w daleką podróż syn żegna rodziców i krewnych, stojących na ganku i przesyłających mu ostatnie pocałowanie.

O cztery mile od Starego Konstantynowa na lewo, ugrzązł na drodze w kałuży wielkiej i głębokiej kocz otwarty, w którym siedziały dwie kobiety. Jedna już nie młoda, brzydka, ale ubrana z przesadą i kokieterią, zżymała się i lała furmana łamanym polskim językiem, druga, mająca nie więcej jak lat osiemnaście lub dziewiętnaście, w eleganckim kapeluszu, w materyalnej salopie, strzelała wokoło czarnymi oczami, śmiała się do rozpuku i ze swojej przygody i z gniewu towarzyski, i poprawiała białą i wąską rączką pukle czarnych włosów, które się wydobywały z pod kapelusza i ocieniały twarz jej trochę śniadą, ale pełną czerstwości i ognia.

Furman i lokaj, grzęznąc po kolana w błocie, starali się pomódz koniom i podnieść cokolwiek kocz, ale w żaden sposób z miejsca ruszyć go nie mogli. Ich ładna liberya, ich ręce i twarze, wszystko było obryzgane i zwalane. Zmęczeni nareszcie i zdesperowani, sami nie wiedzieli, co począć.

— Żeby jaki chłop nadjechał z drążkiem—rzekł Maciej furman, obcierając rękawem twarz i rozmazując jeszcze gorzej błoto, z wielką uciechą panny Kamilli.

— Kto teraz jeździ, co ma rozum? — odpowiedział lokaj Ignacy z gniewem i ofuknieniem.

— Słyszysz, Belciu, co on mówi?—rzekła pan-

na Kamilla do panny Beldeau, swojej guwernantki, którą przez skrócenie i w poufałości panny na wydaniu, a może i przez kontrast jej szpetności Belcia nazywała

— Bo ma rację — odpowiedziała Francuzka z okropnym grymasem.—Zachciało ci się tej wizyty nie wiedzieć po co; teraz wrócimy do domu piechotą po kolana w błocie. *Eh! quel vilain pays!*

— Widzisz, Belciu, jakaś niewdzięczna! nie byłabyś widziała pana Kazimierza, który nie mógł się napatrzeć na twoje kolczyki i tak admirował twój łańcuch.

Uśmiechnęła się guwernantka i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

— Ignacy! — zawołała panna Kamilla — wszak to Szyszkowce widać?

— A rozumie się, że Szyszkowce — odpowiedział, ruszając ramionami.

— O! to nie masz czego desperować, moja Beluniu! Wszak to nie więcej jak ćwierć mili do domu. Przez ten wzgórek musi być sucho; słońce świeci tak jasno, możemy pójść i piechotą.

— Co panna mówi? — rzekł Ignacy. — Za tym pagórkami zaraz staw i bagno po szyję.

— O! ja nieszczęśliwa — krzyknęła panna Beldeau. — Widzicie jak wy głupca zajechała, *quels gens mon Dieu! oh! le maudit pays!*

— Ale doprawdy Ignacy! cóż my zrobić będziemy?—zapytała panna Kamilla.

— A cóż? będziemy czekać, może się te bestye namyślą i wezmą razem, jak odpoczną.

— A jak się nie namyślą?—rzekła, uśmiechając się figlarnie.

— To będziemy czekać, póki kto nie nadjedzie.

— A jak nie nadjedzie?—mówiła znów panien-

ka; — i ja myślę, że tak będzie, boś ty sam powiedział, że teraz nikt rozumny nie jeździ.

— A cóż, to wtenczas wsiądę na konia i pojedę do domu po insze konie.

— Czy nie lepiejby od tego zacząć, panie Ignacy! jak myślisz? — rzekła, opierając na dłoni piękną swą twarzyczkę.

— Jeśli panna każe, to pojedę zaraz. Macieju, odpręż ślepego.

— Aha! żeby cię zrzucił, mazgaju! lepiej siadaj na białonóżkę; a i na tym trzymaj się dobrze, bo to wy, kredensowa piechota, nie umiecie się obchodzić z koniem.

Tak mruzczał wąsaty furman i zabierał się odpręgać dyszlowego konia, odgartując biczykiem błoto z pasów i sztelwagi. Panna Kamilla uśmiechnęła się, patrząc na tę pogardę furmana dla lokaja. Gdyby była więcej znała świat, wiedziałaby o tem, że na różnych szczeblach społeczności bywa to samo; różnica tylko w dowcipie drwinek i formie liberyi. Gdy tak Maciej krzątał się i kłął wizyty w październiku, obie kobiety, oparłszy się w otwartym koczku, patrzyły jedna na prawo, druga na lewo.

Na lewo były Szyszkowce, wielka wieś prezesa Zagartowskiego, ojca panny Kamilli; na prawo w rozciągającej się coraz dolinie, rozciągały się Czaplince, wieś ogromna i wielu licząca dziedziców. Należała ona niegdyś do możnej familii hrabiego S\*\*, a później przez eksdywizję rozdzielona na wiele cząstek, stała się rzeczpospolitą kolokacyjną, pełną intryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partyj i t. d., słowem, pełną tego wszystkiego w maleńkich wymiarach, co bywa w każdej rzeczpospolitej na wielką skalę.

O dwieście kroków od tego miejsca, gdzie stał w błocie kocz panny Kamilli, zwracała się na prawo szeroka droga do Czapliniec, i widać było, jak rzędem wierzb wysadzona, ciągnęła się przez wieś ca-

-- Czy panie potrzebują pomocy?

— Stoimy tu od godziny i nie możemy ruszyć — odpowiedziała panna Kamilla z uśmiechem pełnym słodyczy i obrzuciła wzrokiem pięknego młodzieńca.

— Niech wielmożny pan pozwoli swemu chłopakowi, aby pomógł podjąć cokolwiek kocz, a może ruszę z miejsca. Dyabliby wzięli tę szlachtę z Czapliniec, nie naprawiają drogi.

Uśmiechnął się na te słowa pan Józef i wziąwszy lejce z rąk Michasia, kazał mu pomagać.

Tymczasem panna Kamilla, odgartując pod kapelusz loki, które twarz jej zasłaniały, rzekła:

— Mamy dom obok, a nie możemy się do niego dostać.

— Panie ztąd niedaleko mieszkają?

— Oto jest mieszkanie mego ojca — odpowiedziała, ukazując Szyszkowice.

Na te słowa, nie wiedzieć dlaczego, żywy rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa. Panna Kamilla spostrzegła to i, także nie wiedzieć dlaczego, spuściła oczy, a panna Beldeau, patrząc na przystojnego młodzieńca, także nie widzieć dlaczego, zaśmiała się i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykrukszona.

Wszakże wszelkie usiłowania ludzi nie pomogły; konie lejcowe szarpnęły i zaczęły skakać, czując ciężar nad siłę, dyszłowe spierały się nazad i jakiś upór je opanował. Nie brały więc wszystkie, nie brały razem i dlatego powóz został na miejscu.

— Słuchaj-no kochanku — rzekł pan Józef do Macieja — wyprząż ty swoje konie, zostaw tylko lejcowe, na które wsiądzie mój chłopak, do dyszła załóżcie moje, to wyjedziecie. A panie dobrzeby zrobiły, żeby przeszły do mojej najdyczanki. Nie dlatego — dodał z uśmiechem — aby ciężar był wielki, ale



że szarpnięcie może być za silne i furman z próżnym koczem będzie śmielszy.

— O co, to wielmożny pan doskonale powiedział, dalibóg, że prawda. Żeby tam panienki nie było, jakieśmy wleźli w tę jamę, byłbym i swojemi wyjechał, choćby na złamanie szyi. A dałżebym im bestyom hartu!—rzekł Maciej, złącząc z kozła i biorąc się do odprzęgania dyszlowych koni.

— Ale jakże my się dostaniemy do pańskiego powozu?—rzekła, śmiejąc się panna Kamilla.—Belciu! idź ty najprzód, obaczę, jak tam głęboko.

— Ach! *mon Dieu! mon Dieu!*—zawołała z grymasem Francuzka.—Czyż ty chcesz, żebym utonęła w błocie?

Zaśmiała się na te słowa panna Kamilla głośno, klaszcząc rękami, a pan Józef, słysząc ten głos czysty i dźwięczny, patrząc na te ruchy pełne gracy i żywości, zamyślił się, i po chwili, odsuwając swe go legawca i ukazując mu miejsce na koźle, co Amor natychmiast wykonał, oddał lejce kozaczkowi, a sam wyskoczył z bryczki i w kilku susach był obok koczka.

— Niema innego środka, jak panie przenieść—rzekł i chciał drzwiczki otworzyć.—Czy pani się zrezygnuje?

Zaczerwieniła się jak róża panna Kamilla; spojrziała bystro na młodzieńca, który z niej nie spuszczał oczu i zapytała:

— Czy innego środka nie ma?

— Zdaje mi się—odpowiedział młodzieniec, którego oczy zaiskrzyły się od radości.

— Ignacy! przenieś-że mnie na bryczkę tego pana—rzekła panna Kamilla.

Przystąpił Ignacy i podniósł ku niej ręce czarne i błyszczące lawą błota, która ciekła po rękawach i za rękawy i w szerokich kałużach stała na jego płaszczu. Na ten widok parsknęła od śmiechu pan-

na Kamilla, cofnęła się wgląd koczka ze wstrętem i zawołała:

— Belciu! niech on ciebie przeniesie.

— Fi! si!—krzyknęła Francuzka—nieznośna Kamilciu! czyż ty masz sumienie?

— W rzeczy samej to niepodobna—rzekł pan Józef.—Ten biedny człowiek okropnie wygląda. Raczcie panie przyjąć moją usługę. Jestem silny i cokolwiek czystszy od niego.

— Cóż mam robić? pan zamoczy nogi, nie czas certować się. Bierz pan—dodała z niewypowiedzianym wdziękiem i wyciągnęła ku niemu rękę.

— Michaś, trzymaj konie!—krzyknął pan Józef, otworzył drzwiczki i wziął na ręce wyniosłą, zgrabną i lekką panienkę. Ona objęła jego szyję drżącą rękę i już nie śmiała się, bo czuła, jak ją tulił silnem ramieniem, jak stapał ostrzcźnie, aby żadna kropla na nią nie bryznęła, jak szedł zwolna, może dlatego, aby dłużej nieść tak miły ciężar, jak ją wsadził delikatnie, aby jej nóżka nie dotknęła nawet zbryzganego wasążka. Gdy już usiadła, spojrziała nań z wdzięcznością i w tem wejrzeniu jej czarnych ślicznych oczu wypisało się może nawet więcej, niż chciała.

Wrócił pan Józef znów do koczka i przeniósł także pannę Beldeau, która z dziwnemi umizgami i minoderyą sadowiła się w jego objęcia. Tak więc obie znalazły się niespodzianie w bryczce młodego podróżnego, który stanął na stopniu i usiadł z boku na wasążku. Nim przeprężono konie i wydobyto powóz, co potrwało blisko pół godziny, panna Kamilla, chcąc zacząć rozmowę, a może i dowiedzieć się czegoś, zkąd, dokąd jedzie, rzekła:

— Jakiego masz pan pięknego psa.

Amor, leżąc na koźle i spuściwszy głowę do środka bryczki, jakby zrozumiał, że o nim mowa, spojrział ciekawie i łagodnie w oczy panienki i zaczął podnosić ogromne swe uszy.

— Jak on patrzy—dodała panna Kamilla—jakby mnie zrozumiał.

— Bo w rzeczy samej rozumie — odpowiedział pan Józef.

Pies jeszcze bystrzej patrzył w oczy, to swemu panu, to pannie Kamilli.

— Jak się nazywa?—zapytała.

— Ma nazwisko trochę romansowe, a razem pedanckie. Nazywa się Amor — odpowiedział, czerwieniąc się pan Józef.

— On pewno nie kasa? — rzekła panna Kamilla, wyciągając rękę i głaszcząc nieśmiało piękne zwierzę.

W mgnieniu oka Amor podniósł się, spuścił się delikatnie do środka bryczki, przysiadł na zadnich łapach tak, że jej nóg nie ugniół i położył głowę na jej kolanach. Z początku trochę przestraszona, potem uradowana panienska zaczęła go głaskać i pieścić, a pies patrzył jej w oczy z wejrzeniem pełnym wyrazu, zdawał się dziękować za jej dobroć. A gdy po chwili odjęła rękę od jego głowy i przestała go karesować, zwinął się w kłębek i u nóg się jej ułożył.

— On pani nogi zgniec — rzekł prędko pan Józef, rad w duszy, że pies przeniknął jego myśli.

— Bynajmniej. Pozwól mu pan tak zostać! Co to za pocziwe stworzenie! Onby mnie teraz obronił, gdyby mi kto chciał krzywdę zrobić—dodała panna Kamilla, patrząc dziwnie na zajmującego się nią widocznie młodzieńca.

— Tego możesz pani być pewna, i dziękuję pani, żeś tak łaskawie przyjęła wiernego towarzysza mojej podróży.

— Pan zdaleka jedzie?—zapytała.

— Jadę z Podola, gdzie mam maleńki majątek, dla odwiedzenia moich rodziców, dziada i babki, którzy tu mieszkają. Mam także siostrę, dobrą

i kochaną, której Bóg daje męża i na której ślub śpieszę.

— O, mój Boże! cóż to musi być za szczęście mieć brata!—rzekła panna Kamilla.

— Jest to błogosławieństwo Boga, kiedy familia liczna i zgodna — odpowiedział pan Józef.

— Pan mówisz, że rodzice pana mieszkają tu; gdzież to? czy daleko? — zapytała, spuszcżając oczy.

— W tej wsi, którą pani widzisz.

— W Czaplincach?

— Tak jest—odpowiedział czerwieniąc się.

Żywy rumieniec okrył także twarz panny Kamilli. Ale wkrótce, jakby uczuła to, że jej lice płonie, potrząsnęła główką i z uśmiechem rzekła:

— Więc będziemy przez niejaki czas sąsiadami! Mam nadzieję, że pan zechcesz odwiedzić mego ojca. To tak blisko!

— Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan prezes pozwoli mi złożyć sobie uszanowanie.

— Czy nie jest już panu obowiążany, żeś wyratował z biedy jego jedynaczkę? — Potem obracając się na prawo, może dla ukrycia swego pómieszania i wzruszenia radości, rzekła:—Ztąd widać wiele dworów w Czaplincach; czy ja też zgadnę, w którym pana rodzice mieszkają?

— Niech pani spróbuje — odpowiedział, czując jakieś dziwne szczęście, które piersi jego zalewało.

— Patrz pan — rzekła, wyciągając rączkę — w tym domu, gdzie topole koło wrót i z którego ten wysoki słup dymu wychodzi. Czy zgadłam?—dodała, zwracając twarz ku niemu, i patrząc z wyrazem pełnym znaczenia.

— O! zgadłaś pani, tam urodziłem się — odpowiedział drżącym głosem; ale daleko wymowniej odpowiedział wzrokiem na jej przenikliwe wejrzenie. W czasie tej chwilowej i niemej rozmowy ich oczu

i dusze tych dwojga ludzi, które przypadek sprowadził, zabierały z sobą ściślejszą znajomość.

Tymczasem powóz był już wyciągnięty z kałuży i konie napowrót przeprężone. Furmani siedzieli na kozłach, szło tylko o to, jak znów damy przeprowadzić do ich powozu, aby nie zamoczyły nóżek. Panna Kamilla, z taktem właściwym kobiecie, a raczej nie chcąc pokazać rodzącej się słabości, rzekła z wdziękiem:

— Już teraz pana fatygować nie będziemy. Niech pan każe tak podjechać pod nasz powóz, ażebyśmy mogły przeskoczyć niewielki przedział.

Gdy się stało, jak chciała, i drzwiczki od koczka były otwarte, najprzód panna Beldeau, stanawszy na wasażku i opierając się jedną ręką na ramieniu pana Józefa, a drugą na ramieniu Ignacego, szczęśliwie, choć nie bez grymasów i śmiechów, dostała się do koczka.

— Teraz na mnie kolej — rzekła panna Kamilla — ale chciałabym się jeszcze pożegnać z pańskim towarzyszem podróży, który mnie tak gościnnie przyjął.

— Amor! — zawołał pan Józef.

Pies powstał i spojrzał w oczy panu, jakby chciał dowiedzieć się, co każe.

— Pocziwy Amor! — zawołała panienska, głaszcząc go.

On położył znów głowę na jej kolanach, a wdzięczna panna Kamilla, objawszy ją obiema rączkami, przyłożyła do niej zarumienioną twarz i rzekła:

— Bądź zdrów, pocziwy piesku! ładnie się nazywasz.

Potem porwała się, lekka i zgrabna, a zaledwie dotknawszy ręką ramienia pana Józefa, jak sarneczka przeskoczyła z bryczki do koczka.

Gdy drzwiczki były już zamknięte, a młodzie-

niec stał jeszcze przy powozie, jakby czekał ostatniego słowa, wyciągnęła ku niemu rękę i dodała:

— Dziękuję panu, nie zapomnę nigdy tej przysługi.

Wziął jej rękę pan Józef, przycisnął do ust i uczuł delikatne i parę razy powtórzone ściśnięcie.

Ruszył kocz, ruszyła najdyczanka i rozdzielił się. Jedno pojechało na lewo, drugie na prawo, ale myśli ich były podobno razem.

## II.

Dom prezesa Zagartowskiego był obszerny, zamieszany; ale, jak zwykle bywa u zdobywców fortuny, wszędzie jeszcze czegoś niedostawało: był niedobudowany, w gospodarskich budowlach niekompletny, nawet w wewnętrznym umeblowaniu nie miał tego wykończenia, tej zupełności, która zdaje się mówić: już dosyć. Bo w rzeczy samej, dla pana prezesa, jak niegdyś dla Jezuitów, nigdy nie było dosyć. Bo też w duchu, chęciach i sposobach był prezes zupełnym Jezuitą. Dla niego cel był wszystkim. Dążył do niego stale i upornie, oceniał środki nie uczuciem, nie sumieniem, ale rozumem, i przyznawał każdy z nich za dobry, jeżeli doprowadzał do celu prędko i skutecznie. W zewnętrznym ułożeniu miał także do nich podobieństwo: był łagodny, ujmujący, kochał dziatki, pochlebiał matkom, chętnie pożyczal na małeńki procent, ale gdy przyszedł termin, był nieubłagany. Nie był to wszakże skąpiec. Owszem, lubił wygody i dla siebie niczego nie żałował. Szczególniej jadł ogromnie i stół jego można było uważać za najlepszy w okolicy. Ale był łakomy, zdobywczy, pragnął coraz więcej nabywać, rozszerzać się, zaochrębiać. Szyszkowce dostał po ojcu, który był kiedyś komisarzem w jednym z najuboższych domów na Podolu. Do tej pięknej wsi przydał już pięć in-

nych, ale jeszcze nie powiedział sobie: basta. Teraz właśnie wszystkie swe siły, wszystkie sprężyny wyteżył na Czaplince, aby kolokowaną w nich przed kilkunastu laty szlachtę skupić. Ten był cel życia, to marzenie prezesa; z tą myślą kładł się i wstawał. Prezes był niewielkiego wzrostu. Gdy szedł, przechylał się na kucych nogach, bo był dość otyły. Podniesione miał plecy, krótkie ramiona i tłuste rączki, które zwykle splatał na brzuchu i kręcił młynka dwoma wielkimi palcami, przechyliwszy głowę. Była to jego zwykła poza i, że tak powiem, jego szyk bojowy, zwłaszcza gdy się miał defensywie: gdy kogo słuchał, a nie chciał odpowiedzieć, gdy co innego myślał, a co innego mówił; gdy krętą ścieżką sprwadzał swą ofiarę do swego celu; gdy go o co proszono, a nie chciał zadość uczynić; gdy mu kto ostre przymówki robił, a on je znosił i ofiarował Panu Bogu. Bo prezes nigdy się prawie nie gniewał, nie zapalał; ale cicho, jednostajnie, to idąc, to pełzając, to drapiąc, to depcząc, ale zawsze pobożnie z przechyloną głową, z rękami splecionymi, z młynkiem dwóch wielkich palców, dochodził do swego. Czasem tylko, gdy już był zupełnie panem swego przeciwnika, porzucał tę pobożną i pokorną minę, zmieniał zupełnie głos i wówczas mówił wprost do rzeczy, zwięźle i mocno. Twarz miał nieszpętną, ale szeroką, takież nos i usta. Dwóch zębów nie miał z przodu, przez co syczał, zwłaszcza wówczas, gdy wymawiał Jezus Maryja! od czego zwykle zaczynał frazes, gdy udawał zadziwienie, gdy się na co nie zgadzał, gdy pod powłoką łagodnych słów i sumienia ukrywał jad zawziętości, szachrajstwo lub łakomstwo. Wtenczas także przymrużał siwe oczy, bystre i przenikliwe, marszczył wązkie czoło, na którym sterczały prosto nisko przycięte włosy jasnego, ale nieczystego koloru.

Od lat dwunastu prezes owdowiał. Żona jego, po której wziął znaczny posag, pochodziła z dawnych

ormiańskich familij, osiedlonych koło Kamieńca i w Galicyi na Pokuciu. Była to kobieta żywa, ładna, wysoka i mocno śniada, z nosem cokolwiek za dużym i oczkami zanadto wielkimi. Zostawiła mu jedną tylko córkę, która wzięła od matki kibić wyniosłą i giętką, pleć cokolwiek śniada, czarne oczy, krucz włosy, a może i żywość wschodnią. Ale co w matce było nadto wydatnem i ostrym, to już zlagodziło się i zaokrągliło w rysach córki tak, że była kompletnie piękną brunetką. Prezes nie żałował wydatków na jej wychowanie, ale nie umiał niem kierować, a przytem nie miał czasu i chęci. Mówiła ona ładnie po francusku, ale mało umiała; grała biegle, ale bez wyrazu i taktu; rysowała, ale niepoprawnie, ostro, bez pojęcia cieniów i światła, bez uczucia piękności. Ten niedostatek miał źródło w jej charakterze żywym, samowolnym, nieugiętym, któremu, zatrudniony swemi zdobyczami ojciec, pozwolił rozwinąć się zupełnie, a którego guwernantki niedbałe i nieumiejętne z dzieciństwa uhamować nie umiały. Wszakże te wady nie ujęły pannie Kamilli powabów, bo szciodra natura dała jej dowcip, rozum naturalny i bystry, serce ogniste, prawe, pełne nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów. Pysznił się prezes wdziękami i rozumem córki, ale nie mógł ona powiedzieć, żeby ją kochał tą wysoką rodzicielską miłością, która jest najczystszy promieniem, jaki się z nieba przedarł do ziemi. On ją kochał, jako coś najdroższego, co do niego należało. Ona zaś, widząc wszystkie działania ojca, chociaż go kochała, choć milczała, ale w duszy przechodziła nieraz do tego bolesnego stanu, do którego czasem niebacznici i nieuczciwi rodzice dowodzą rozumne i szlachetne dzieci; panna Kamilla nieraz w bezsennych nocach sądziła postępkę ojca i potępiała je ze łzami.

Panna Beldau była to brzydka Francuzka, bez nauki, ale nie ze złem sercem, pełna pretensyi, z której sobie drwiła rozumna i dorosła panienka. Panna

Beldeau nie była w stanie poprawić wad, jakie się w tem cudnem stworzeniu zagnieździły. Całą jej zaletą była śliczna francuska pronuncyacya, za co też od lat piętnastu brała na Wołyniu i na Podolu po różnych domach po 200 i po 250 dukatów. Z początku panna Beldeau zwróciła baterye swych wejrzeń i uśmiechów na prezesa, od czego zwykle zaczynają guwernantki Francuzki, gdy się dostaną do wdowców. Ale przekonawszy się, że nie będzie mogła zostać macochą swej uczennicy, i widząc, że miejsce dobre, stół wytworny, roboty żadnej, ekwipaż na zawołanie, postanowiła być dogodną i uslužną towarzyszką panny Kamilli; pozwolić jej robić, coby się jej tylko podobało i znosić ze śmiechem wszystkie jej drwiny i żarty, przeklinając tylko czasem przeklęty kraj, w którym za nic zgromadziła do 20 tysięcy i napakowała pełne kufry pierścionków, łańcuchów, korali i sukien.

Taki to był dom, tacy jego główni mieszkańcy, do którego czytelnicy pozwolą się wprowadzić.

Na dziedzińcu, który był w części obmurowany niskim murem i ozdobiony topolami, a w części płotem, przed gankiem z kolumnami, który nie zajmował środkowej części domu, ale wznosił się na rogu, bo druga połowa miała dopiero podmurowanie, stała bryczka niekryta, pleciona, zabrzyzana i stara. Siedzenie, wysłane słomą, zakryte było dziurawym kilimkiem, zamiast kozła była deszczulka, na której siedział w brudnej siermiędze niewielki zgarbiony chłopak, z rękami pochowanymi w rękawy, z czapką nasuniętą na uszy, i patrzył niedbale na dziedziniec, gdzie przeprowadzano zgrzane konie, któremi wróciła panna Kamilla. Koło nóg jego, w rogu bryczki, zatknęty sterczał batożek i przytrzymał trzy sznurki, służące za lejce trzech niewielkich koników, zaprzężonych w szlejach parcianych. Konie były różnej maści i różnego wzrostu, ale wszystkie trzy doskonale chude i jednakowo widać głodne. Opuściły

bowiem uszy i powieszwały głowy, marząc zapewne, jeśli nie o obroku, którego już dawno nie wiaźziały, to o dobrej wiązce siana, która się im także najsprawiedliwiej należała. Był to typ ekwipażu podupadłego szlachcica.

W tem stajenny, przeprowadzający konie, zbliżył się do zamyślonego chłopca, i patrząc na jego ekwipaż i uprząż z pogardą, do czego miał zupełne prawo, bo trzymał w ręku parę dzielnych koni w łańdnych szorach, zapytał:

— Czego to tak twoje szkapy zadumały się?

— Oho!—odpowiedział chłopak, nie zmieniając bynajmniej pozycyi—i tybys się zadumał, gdybys jadł tydzień tylko słomę.

— Albo to u was w Czaplincach już i siana niema?

— W Czaplincach jest, ale u nas nie ma. Co było trochę zboża i siana, to wszystko żyd zabrał.

— Jaki żyd?

— A jużci wasz Szłoma, który wszystko daje na kredyt, a potem zagrabi, co się urodzi.

— A na cóż bierzecie?

— Aha! na co bierzecie? a dyabeł ich wie, na co oni biorą. Siedzą na trzech chatach, a chcą być panami i brać wszystko na kredyt. A jak przyjdzie płacić, to niema z czego.

I uśmiechnął się owym chytrym chłopskim uśmiechem, który się zawsze objawia na licu poddanego, ile razy pan w kłopotcie.

— A czyjże ty?

— Pana Pożyczkowskiego.

— Czy on tu?

— A tu.

— A pocóż on tu przyjechał?

— A dyabli go wiedzą.

Stajenny odprowadził konie dalej.

Chłopiec, wyrzekłszy obojętnie te ostatnie słowa, któremi zwykle kończy się rozmowa ludzi o pro-

jektach ich panów, siedział dalej zgarbiony, z głową w pół otwartą, z okiem w pół przymrużonym, a jego konie stały, jak pierwiej, ze zwieszonymi głowami, nieruchome, jak owa czwórka na kościele św. Marka w Wenecyi.

Tymczasem w gabinecie prezesa, w którym pod jedną ścianą stało jego ogromne i kosztowne biurko, pod drugą piękna kanapa z drogiem obiciem, pod trzecią także krzesła i szafka, a pod czwartą proste dębowe stolki i stolik taki, jakiby ledwie ekonom w swoim pokoju postawił, były trzy osoby. Na bogatym i wygodnym fotelu siedział prezes wyprostowany; pulchne rączki jego leżały na wypukłym brzuchu, dwa wielkie palce kręciły powolnego młynka, głowa z najeżoną czuprynką przechylona była na bok pobożnie, a oczy z wyrazem pokory i miłosierdzia zwrócone ku siedzącemu z boku panu Pożyczkowskiemu. Na jednym z prostych stołków i prawie na jego rogu przylepił się skromnie ów nieszczęśliwy pacyent.

Był to człowiek już niemłody, blady, chudy, z siwą głową niedbale uczesaną; surdut miał wytarty, podobno kiedyś ciemno-szaraczkowy; kamizelkę białą i brudną, a spodnie nankinowe, które, podnosząc się zbyt wysoko, zdradzały cholewy niepozornione i rude. Pod pachą miał czapkę barankową, niezmiernie starą i zwiniętą w rurkę, a łokcie i ręce, przycisnąwszy do swego ciała, robiły go jeszcze węższym, niż był wistocie. Widać, że to był człowiek zbiedzony, przywykły do subordynacji domowej, narzędzie obcej woli, popychadło, które zwracało się tam, gdzie je popchnięto. Bliżej ku drzwiom stał Szłoma Krzemieniecki. Szłoma był to żyd edukowany i Szejne Morejne. Mógł mieć ledwie lat czterdzieści. Wysoki i kształtny, twarz miał cokolwiek ospą oznaczoną, ale rysy jego, chociaż okrągławe, nos trochę zadarty, usta trochę za szerokie, były pełne wdzięku i męskiej piękności. Oczy jego czarne, osłonięte długimi

rzęsami, jaśniały uprzejmością, uśmiech prawie ciągly roztwierał jego usta i odkrywał zęby czyste i nadzwyczajnie piękne. Aksamitna jarmulka przykrywała jego głowę, a pejsy niezbyt długie, broda niezbyt wielka, uczesane starannie, lśniły się jak krucze skrzydła. Czarny materyalny kaftan, prawie nowy, nie miał ani jednej plamki. Za jedwabny pas sownawszy wielkie palce, trzymał w jednej ręce sobolową czapkę, a drugą wystawił jakby na pokaz, tak była biała i czysta. Nawet buty Szłomy, z wysokimi cholewami, z węgierska wykrojone, były wyczyszczone, wyglansowane i nie okazywały ni śladu błota. Szłoma, syn bardzo wziętego w swoim czasie cyrulika, naznaczony pierwiastkowo na doktora, do szesnastu lat był w szkołach w Krzemieńcu. Obdarzony z natury najpiękniejszymi zdolnościami, uczył się doskonale, przeszedł jako uczeń celujący pierwsze cztery klasy i był dwa lata na pierwszym kursie nauk wyższych. Ale w tym czasie ożeniono go i natura żydowska przemogła, pociągnawszy go od książki do łokcia, od rachunku algebraicznego do prostej kredki, którą się zapisują złotówki i grosze. Wziął się więc do handlu i zapomniał o doktorstwie. Znajomość z paniczami, dawniejszymi kolegami, zrobiła go także ich bankierem. Pożyczał im przez przyjaźń i koleżeństwo na mniejsze, niż inni żydzi, procenty, i tym sposobem liczną miał klientelę i nie tracił szacunku, a czasem i towarzystwa młodzieży, wśród której praktycznie się kształcił. Ztąd więc, chociaż nie przestał być żydem, przybrał formy wyższe w sposobie wyrażania się czystą polszczyzną, w grzeczności i stroju. Wiedział przystem, że jest pięknym mężczyzną, dołączył więc kokieteryę i wdzięczną układość do tych przymiotów naturalnych i wszystko to obrócił na korzyść swej kieszeni. Po zmianach Krzemieńca poznał się przypadkiem z prezesem. Odgadli się prędko oba, bo cel ich był jednaki, chociaż sposób zapatrywania się na środki, które do niego



prowadziły, niezupełnie tenże sam. Został więc Szloma agentem i mistrzem prezesa, zastrzegłszy sobie we wszystkich działaniach znaczne beneficja. Porzucił miasteczko, przeniósł się do Szyszkowiec, wzięszy w arendę wielką karczmę na trakcie, gdzie kontynuował swój handel. Szloma miał wszystko. Sukno, materje, płótna, cukier, kawę, wino, mięso, słowem, czego tylko potrzebować mogła szlachta okoliczna i przejezdni panowie. Wszystko na pozór w niewielkich masach, potroszku, kupowane niby dla siebie i ustępowane przez grzeczność. Tym sposobem unikał podejrzeń i prześladowań ziemskiej policji, z którą przytem umiał się zachować w najprzyjaźniejszych stosunkach, szczególnie przez żony urzędników, które do niego często zwracały drogę na popas, lub na nocleg. Nietylko towary dawał Szloma chętnie na kredyt, ale nawet i pieniądze pożyczal i to na umiarkowany procent, zwłaszcza tym z osobnych posiadaczy, których mu wskazał prezes. Tym sposobem zrobił sobie wielką reputację i zjazdy u niego bywały liczne. Zyskiwała na tem arenda, a jeżeli co utracił przez nieakuratność lub bankructwo którego z dłużników, to mu bonifikował prezes. Teraz, skłoniwszy państwa Pożyczkowskich do wyprzedania części swojej w Czaplincach prezesowi, razem z nim przybył skończyć ten ważny interes, umówić się o cenę i dług swój zabezpieczyć.

— Jaśnie wielmożny pan sam widzi — mówił Szloma z uśmiechem — że wszystko w moim rejestrze porachowano sumiennie i taniej, niż się płaci w miasteczkach. Niech jaśnie wielmożny pan raczy zwrócić uwagę na wino, na cukier, na inne produkty, których dostarczałem pani Pożyczkowskiej. W Krzemieńcu daleko drożej, nie licząc jeszcze tego, że trzy lata czekam.

— Już to ja nie widzę żadnej różnicy. I owszem, zdaje mi się, żeś na każdej rzeczy naliczył dobry procent — odpowiedział prezes.

— Tak i moja żona mówiła — rzekł, podnosząc się zlekką na stołku pan Pożyczkowski i siadając znów jeszcze prościej.

— Jaśnie wielmożny pan się myli — odpowiedział Szloma. — Jest to zwykłe panów uprzedzenie o ludziach naszego wyznania, że żadnej przysługi bez wielkich zysków nie czynią. Bezwątpienia, w wielkiej części zarobiliśmy na tę opinię, ale są wyjątek, chcę mówić wyjątki i między żydami.

Te wyrazy: „opinia, honor, moralność“ i t. p. wymawiał zawsze z pretensją, jako niezwykle w ustach żyda, a ile razy mu się zdarzyło pomylić w języku, tyle razy zawsze się poprawił, przypominawszy sobie lekcye wymowy, które brał na pierwszym kursie w Krzemieńcu.

Prezes puścił swe palce prędszego młynka, przechylił głowę i rzekł:

— Słuchaj no, Szloma, my wiemy, że umiesz ładnie mówić i wszystko potrafisz okraścić.

— Co to, to prawda, jaśnie wielmożny panie — dodał prędko pan Pożyczkowski, podnosząc się na stołku i znów opadając. — Tak i żona moja mówi.

— I prawdę mówi pani Pożyczkowska dobrodzika — rzekł prezes. — To filut niebezpieczny, który nie darmo był w szkołach.

Szloma uśmiechnął się na te słowa i znów, założywszy palce za pas, zaczął prawą ręką wybijać capstryk na brzuchu.

— Otóż słuchaj, żydzie! — dodał prezes, wzięszy ze stołu rachunek — należy ci się wszystkiego trzy tysiące złotych. Czy tak, panie Pożyczkowski?

— Tak, jaśnie wielmożny panie!

— Wzięłeś — mówił dalej rozjemca — zboża na pięćset złotych. Tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział żyd.

— Otóż widzisz, sumienie przedewszystkiem. Grosz, ustąpiony sierocie i wdowie, daje zasługi na

dukat; grosz, wzięty nadto od biednego człowieka, przyczynia grzechu na centnar. Wszystko nam jest porachowane... tam.

To powiedziawszy prezes, przechylił jeszcze mocniej głowę; pan Pożyczkowski skruszony, westchnął głęboko, a usta żyda przeciągnęły się ironicznym uśmiechem.

— Otóż, zważając — mówił dalej prezes — małe przydatki na cenie tych rzeczy, któreś porobił; zważając znów na niskie ceny, jakieś położył na żyto, na jęczmień, na siano, wzięte od państwa Pożyczkowskich, bo gdzie to teraz korzec żyta po cztery złote, ha? Oj, Szloma, Szloma!

— Ale niech jaśnie wielmożny pan raczy uważać...

— Jezus Marya! — zawołał prezes, sycząc — czy to ja nie wiem, czy nie sprzedaję? czy nie kupuję? Powinieneś ustąpić, Szloma!

— Jeżeli jaśnie wielmożny pan znajdujesz, że rzecz słuszna — rzekł Szloma, niby rezygnując się.

— Jakże nie słuszna? bardzo słuszna! Odstąpisz im i odstąpisz pięćset złotych.

— Jaśnie wielmożny pan jesteś prawdziwym naszym dobrodziejem — rzekł, wstawszy prosto jak świeca pan Pożyczkowski. — Niedarmo moja żona mówiła...

— Jezus Marya! czyż to warto dziękować za to, co człowiek robi przez obowiązek sumienia? Czemuż bym tu był, żeby nie użył ładajakiego wpływu, jaki tu mam nad tym szachrajem, na ulżenie moim sąsiadom? Więc ustępujesz?

— Cóż mam robić? — odpowiedział żyd — dla dobrego uczynku. Znam położenie tych państwa, i Pan Bóg mnie tego, chcę mówić to z innej strony nagrodi — dodał z konfidencyjnym wejrzeniem na prezesa, który nieznacznie westchnął i zaczął pędzkiego młynka palcami, bo wiedział dobrze, że on te pięćset złotych zapłaci.

— Tak więc z ceny mająteczku państwa spada dwa tysiące złotych — mówił prezes cichym głosem. — Ale usiądź-że, Pożyczkowski. Czy są jeszcze inne długi?

— Są, jaśnie wielmożny panie — odpowiedział wyprostowany szlachcic i przypadł na róg stołka.

— A jakie?

— Panu Starzyckiemu winniśmy pięćset złotych.

— No, to bagatela — rzekł prezes.

— Tak i żona moja mówi, jaśnie wielmożny panie!

— A więcej?

— Panu komisarzowi Jampolszczyzny dwa tysiące sześćset sześćdziesiąt sześć złotych i groszy dwadzieścia. Moja żona mówi, że to człowiek zły i nieludzki; gotów nas tradować.

— Jeżeli wierzyciel upomina się o swoje, to uż to u nas taka moda nazywać go nieludzkim — rzekł żyd z powagą.

— Pani Pożyczkowska dobrodzika ma rację — przerwał prezes; — bo są przypadki, w których nawet upomnienie się o swoje jest nieludzkością. Sumienie, przedewszystkiem sumienie, panie Szlomo! Ja wiedziałem o tem, że ten pan komisarz człek twardy, i przez względy sąsiedztwa i szacunku, jaki mam dla pana i dla pani Pożyczkowskiej dobrodziki, nabyłem ten dług.

Żyd uśmiechnął się, uderzywszy się parę razy palcami po brzuchu, a pan Pożyczkowski powstał, nie wiedząc, czy ma być wdzięcznym i dziękować, czy się tem zmartwić i przestraszyć.

— Usiądź, panie Pożyczkowski! o ten dług możecie być spokojni. Jeszcze ja tu mam — rzekł prezes, kiwając głową — rewersik pani Pożyczkowskiej dobrodziki, który mi się dostał od Rejci. Pocziwa ta żydowica użaliła się nad wami. Dała się skłonić

do ustąpienia z tysiąca złotych stu, które i ja wam ustępuję.

— Dziękuję, jaśnie wielmożny panie. Moja żona mówiła...

— Pani Pożyczkowska dobrodzika zna mnie dobrze, i niech będzie pewna, że w każdym zdarzeniu gotów będę jej służyć. Tak więc ważniejszych długów państwa jest: 2,000 zł. Szlomie, 500 zł. panu Starzykiemu, mnie 3,500 zł., bo tych 66 zł. gr. 20 nie rachuję. Sumienie bowiem przedewszystkiem. Wszystkiego zatem 6,000 zł. polskich. Czy tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie—rzekł biedny szlachcic, podnosząc się i przysiadając.

— Suma wyszła okrągła—dodał żyd z uśmiechem.

— Drobnych dłużników po kilkadziesiąt i kilkanaście złotych nabierze się zapewne na tysiąc złotych. Nieprawdaż? pan zapewne ich i nie pamiętasz wszystkich.

— Moja żona pamięta wszystkie, jaśnie wielmożny panie!

— O, pani Pożyczkowska to gospodyni całą gębą. *Hic mulier*—rzekł żyd, uśmiechając się.

— Jeszcześ nie zapomniał łaciny—przerwał prezes.—Oj, ty żydzie! lepiej mniej łaciny, a więcej sumienia, sumienia. Otóż te 6,000 zł. i 1,000 na drobne dłużki państwu zatrzymam; a reszta przy zawarciu tranzakcyi natychmiast gotowizną zapłacone zostaną.

— Ale, jaśnie wielmożny panie!—rzekł szlachcic, powstawszy—moja żona mówiła mi, że nie mogę inaczej ustąpić tej części, jak po 55 dukatów za mężką duszę.

— A za kogoż mnie pan masz, panie Pożyczkowski? Czyżbym ja chciał korzystać z położenia takich zacnych ludzi? Wasza częśćka ma tę niedogodność, że leży w samym środku Czaplince i ma ze wszystkich stron złych sąsiadów — rzekł prezes,

westchnąwszy i patrząc zukosa na Szlome, który się na to uśmiechnął — ale zato ma wodę, która mi się przyda. Żebyś więc pan miał dowód, jak ja państwa szanuję, jak cenię panią Pożyczkowską dobrodziejkę, to daję wam nie po 55, ale po 56 za duszę i koszta wszystkie biore na siebie.—Żyd pokiał głową, a prezes mówił dalej: — Czegóż ty się dziwisz, Szlome? Sumienie, mój kochany, sumienie przedewszystkiem! Wiele to wypadnie za jedenaście dusz ostatniej rewizyi?

Żyd podniósł głowę w górę, błysnął ładnymi oczami, zabębnił palcami po brzuchu i rzekł:

— Za odtrąceniem 7,000 zł. na długi, zostaje na rzecz państwa 5,320 zł.

— Kontrakty w Dubnie niedaleko. Za tę sumkę będziecie państwo mieli ładną posesyjkę i będziecie spokojni. Bo to małe dziedzictwo, panie Pożyczkowski, to wielkie kalectwo, nieprawdaż?

— Prawda, jaśnie wielmożny panie! tak mi i żona moja mówi.

— Jedź-że pan teraz do domu, powiedz to wszystko pani Pożyczkowskiej dobrodzice, i przyjeżdżajcie tu razem jutro lub pojutrze dla podpisania tranzakcyi; a już ja sam posłę ją do akt. To nie będzie was kosztować ani grosza.

Powstał szlachcic jeszcze bledszy, niż był dotąd, uklonił się, nie odejmując rąk od ciała i wysunął się, cofając się tyłem do drzwi. Gdy siedział już na swoim wózku odziany dziurawym i wytartym płaszczykiem, powtarzał sobie w myśli całą rozmowę, aby mógł zdać dobrze sprawę żonie, sam nie wiedząc nieborak, czy nie zrobił jakiego głupstwa i czy mu się za to nie dostanie od najdroższej połowicy. Tymczasem chłopiec-woźnica ćwiczył batożkiem głodne i chude szkapę i szarpał co moment sznurkami, aby im dodać energii. Gdy się dowłókl do domu i wjechał we wrota, spostrzegł na ganku swego dworku panią Pożyczkowską dobrodzikę. Była

to kobieta wysoka, pleczysta, dosyć ciała mająca, z ogromnemi czerwonymi rękami. Cała jej twarz dość regularna, obsypana była pryszczami. Siwe oczy bez rzęsów iskrzyły się zdaleka. Na głowie miała czepek perkalowy biały z wielką szlarką, którą wiatr na tył odrzucał. Szlatrok materyalny, ale stary, dziurawy, założony na piersiach i zamączony na łokciach, ją odziewał. Przed sobą miała fartuch, a w ręce wałek, którym właśnie wałkowała ciasto na kluseczki, mające stanowić kolację. Za matką wybiegła dziewczynka obszarpana, bosa, brudna i rozczochna, którą ona napowrót do sieni wtrąciła. A gdy mąż podjechał pod ganek i widokiem tym zmieszany, sam nie wiedział, którą nogę wprzód wysadzić z bryczki, krzyknęła na niego grubym głosem pani Pożyczkowska:

— Choź-że prędzej, serce! i gadaj coś zrobił.

Zlaził biedak, straciwszy cały ciąg rozmowy z prezesem. Żona wzięła serce za płaszcz i popchnęła do sieni, których drzwi wkrótce za tem dobranem stałem z trzaskiem się zamknęły.

Gdy pan Pożyczkowski wyszedł, prezes i jego minister zostali na miejscu. Żyd stał jak pierwej, trzymając się za pas i z uśmiechem na ustach; prezes siedział, jak pierwej, z rękami splecionemi na brzuchu. Ale wielkie jego palce zwolna już obracały się, jak koło wiatraka, kiedy wiatr ustaje. Było to znakiem ukończonej roboty, uspokojonej myśli i dobrego humoru. Jak niegdyś Ludwik XIV posadziwszy na tronie hiszpańskim Bourbona, wykrzyknął: „Już nie ma Pirenejów”, tak prezes, usadowiwszy się w samym środku wsi, na którą oddawna czatował, pomyślał w duchu: już Czaplince moje! W tej chwili spojrzął na żyda, a żyd na niego tym wzrokiem, jakim niegdyś spoglądali na siebie bez świadków dwaj augurowie rzymscy, gdy się przepowiednie skończyły i oszukaństwo udało.

— Czegoż tak na mnie patrzysz?—zapytał wreszcie prezes.—Czy może źle?

— Jaśnie wielmożny pan wspaniale postąpił — odpowiedział Szloma.

— Ha! sumienie przedewszystkiem, panie Szlomo!

— Czaplince przedewszystkiem, jaśnie wielmożny panie!—odpowiedział żyd.

Zaśmiał się prezes głośno i syknął przez szczerbę dwóch zębów:

— Jezus Marya! jakiś ty żydzie szelma!—i powstawszy, przybliżył się, wyciągnął ku niemu pulchną rączkę, na której żyd z uśmiechem położył białą swą i piękną rękę. Scisnęli się oba i prezes dodał:

— Wypijesz kieliszek Malagi?

— Należy mi się—odpowiedział Szloma—a także 870 złotych.

— Pięćset, durniu!—rzekł prezes, splótszy prędko ręce i puszczając palcem prędkiego młynka.

— A trzeci procent od 12,320 zł.? — rzekł Szloma.

— A prawda; no, pójdź, niech cię dyabli wezmą, obdzierasz mnie ze skóry.

I wyszli, prezes naprzód, przechylając się na krótkich nogach, a żyd za nim z powagą, wspaniale, z wyrazem jakiejś wyższości i pogardy.

### III.

Trzy są u nas typy w mieszkaniach wiejskich, odróżnione od siebie wielkością, architekturą i rozporządzeniem wewnętrznem, to jest: pałac magnata; dom zamożnego obywatela i dworek szlachecka. Do tych ostatnich należało mieszkanie państwa Starzyckich. W samym środku wsi położone, odznaczało się od innych dworków porządkiem, czystością, obszernością i miłym widokiem dostatku, którego każdy

prawie obywatel ma dosyć, byle się chciał we właściwych sobie granicach utrzymać!

Pan Starzycki nie więcej miał od kilku innych posiadaczy Czapliniec; ale wiedział dokładnie, co ma, czego może żądać, co sobie pozwolić, a w czym odmówić. To ostateczne i ciągle rozmierzanie sił własnych i nieprzedsiębranie niczego, co by je przewyższało, było najgłówniejszym gospodarskim przymiotem tego właściciela i najistotniejszym źródłem jego zamożności. Z tego przymiotu wyrodziły się i inne. Bo, żeby ciągle wiedzieć, co się ma, znać własne siły, trzeba to, co je stanowi, mieć ciągle przed oczami, a zatem mieć je w porządku, w całości, w dobrym stanie i w dobrym schowaniu. Żeby do tego przyjść, trzeba polubić porządek, trzeba go ciągle utrzymywać, przyuczać do niego dzieci i sługi. Żeby ten ważny rezultat otrzymać, trzeba być ciągle zajęтым, czynnym, czujnym, oko gospodarza mieć wszędzie i zawsze. Ztąd pracowitość, ztąd rozumne użycie czasu, ztąd brak marnotrawstwa w chwilach życia i w tem wszystkim, co je utrzymuje, co je uprzyjemnia; ztąd owa spokojność o jutro, która daje zdrowie ciała, wesolość twarzy, uprzejmość i dobroć dla dzieci i domowników; ztąd nareszcie owa istotna niezależność, polegająca na wybicciu się z pod tyranii potrzeb nad stan i chęci nad siły.

To usposobienie gospodarza odbiło się wszędzie: w jego mieszkaniu, w jego rodzinie, w jego domownikach i poddanych. Powiedzieliśmy wyżej, że dworek pana Starzyckiego leżał w samym środku wsi, na prawej stronie drogi, która ją wzdłuż przeznaczała. Był on wsunięty cokolwiek w głąb wioski, a przed nim znajdował się plac niewielki i pusty. Podwórze, obniesione częstokołem, ozdabiała wielkie topole. Było ono obszerne i czyste. Z lewej strony jego był ogród niewielki, złożony z młodych drzew fruktowych najlepszych gatunków; z prawej strony był drugi dziedziniec gospodarski, na którym w pod-

kowę wszystkie zabudowania gospodarskie. Równoległe do ulicy, w głębi podwórza, stał dom właściciela, niewysoki, niezbyt wielki, pod dachem słomianym, ale ściany jego były białe, okna o sześciu szybach czyste i całe, a na samym środku był ganek obszerny, nakryty, wyheblowany, z ławeczkami do siedzenia, i mający z obu stron po dwa wielkie klony, których szerokie liście dawały latem chłód, cień i zielonymi kitami zaglądały do ganka i na białych rysowały się ścianach. Z ganku wchodziło się do wielkiej sieni, z której w środku były drzwi do spiżarni pani Starzyckiej, na lewo do trzech pokojów, stanowiących ich mieszkanie; na prawo do pokoju próżnego, gdzie mieszkał syn, Józef, kiedy odwiedzał rodziców i z którego wchodziło się do dwóch pokojów, gdzie mieszkał ojciec gospodarza i jego matka. Za domem ciągnął się ogród warzywny, dalej stary ogród fruktowy, zakończony niewielkim brzozywym laskiem i sadzawką. Wszędzie widać było ślad porządku i czujności gospodarza i gospodyni; na dziedzińcu było prawie sucho, ganek był wymyty, podłogi wszędzie wyheblowane i jak nowe, meble z jesionu, obite płóciennym szarem, wyszytem czerwonymi i czarnymi sznurczkami; nigdzie nic modnego, ale ani starego i obszarpanego, wszystko na równi ze stanem odpowiadało możliwości, wygodzie i istotnej potrzebie.

Do takiego to domu, gdzie panowała cichość, zgoda, miłość i wesolość, wjeżdżał z bijącym sercem nasz młodzieniec całym klusem dzielnych swych koni. Obejrzał się w kolo, czy gdzie kogo nie obaczy, i nie dojechawszy jeszcze do ganku, zatrzymał nagle Michasia w potowie dziedzińca, wyskoczył z bryczki i pobiegł ku furteczce ogródka na lewo.

Wyszedł z niej starzec wysoki, pełny, z twarzą jeszcze świeżą, oznaczającą czerstwość i zdrowie. Miał na sobie kurtkę manszestrową czarną, sukienką kamizelkę, na głowie jasno-popielatą zajęczką czapkę, miękłą i ciepłą, która z fantazyą i cokolwiek na

bok nałożona, odkrywała włosy srebrne, spadające na skronie. Niewielkie wąsy białe zakrywały wierzchnią wargę, a w oczach jego siwych i na ustach, jeszcze rumianych, zajaśniał uśmiech radości i szczęścia. W lewej ręce miał toporek, który był nieodłącznym towarzyszem jego wędrówek po ogrodzie, a w prawej trzymał ręczną piłeczkę, którą widać suche gałęzie odpiłowywał. Był to dziadek naszego młodzieńca, dziadzio familijny. Tak go nazywały wnuki, tak synowa, tak słudzy i poddani.

— Jak się masz, mój drogi chłopcze! — zawołał czystym głosem i uściskał wnuka, który ręce jego całował.—Oho! i ty tu, mosanie Amor!—rzekł do legawca, który wyskoczył za panem i stał z boku, patrząc na nich bystro, i kiwając ogonem. Pies zapisał z radości, gdy do niego starzec przemówił, spał się na jego piersi i twarz jego lizał. Gdy to się działo na dziedzińcu, turkot bryczki i brzęk kółek chomatów wywołał z domu i resztę rodziny. Stał na ganku ojciec pana Józefa, stała matka, stała siostra, a wkrótce za nimi wyszła niewielka, cokolwiek przygarbiona staruszka, z laseczką w ręce, i rozpychając synową i wnuczkę, wysunęła się naprzód i do faworyta swego wyciągała drżące ręce. Upadł jej do nóg młodzieniec, a gdy powstał przeżegnany, powitał z uszanowaniem ojca i matkę i chwycił w objęcia siostrę, która śmiała się i płakała razem.

Gdy wszyscy poszli do pokoju, oddani wspólnej radości powitania; gdy babunia usiadła w swoim krześle i posadziła obok siebie swego Józia; gdy matka poszła już z kluczami do spiżarni, aby jeszcze jaki przysmaczek przydać do zadysponowanej już kolacji, gdy Anusia pobiegła do swej szafki i wybierała garnuszczyki śmietanki z najlepszym kożuszkim do kawy, gdy dziadzio karesował Amora i wypytywał go, wiele bekasów spłoszył, wiele kaczek nie zniósł, gdy ojciec milcząco i poważny przechadzał się zwolna i poglądał z rozrzewnieniem to na rodzi-

ców, to na syna, my tymczasem poznajmy się cokolwiek bliżej z tą zacną rodziną, która, jak się domyślam, zainteresowała już każdego, kto ceni poczciwość staropolską i wysłużone rozumem i cnotą błogosławieństwo Boże.

Pan Wincenty Starzycki, dziadek rodziny, wychowany w Polsce, w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, której imieniem i tytułem zaprawione było każde jego opowiadanie, przeniósł się na Wołyń w r. 1785 i tam rządził długo majątkiem hrabiego S\*\*, który w nagrodę jego usług i uczciwości dał mu na dziedzictwo w Czaplincach piętnaście chat z dworkiem i zabudowaniem. To był początek jego fortuny, która powiększyła się niewiele, ale powiększyła się istotnie przez oszczędność, porządek, dobre zagospodarowanie, i taki był stan tych kilkudziesięciu chłopków, że każdy miał najmniej parę wołów, parę koni, kilka krów, czystą i porządną chałupę, ogród, całą stodołę i szopę. Gdy się syn jego Hipolit w r. 1811 ożenił, ojciec zdał mu gospodarstwo, przyuczał do porządku i oszczędności, patrząc z ukontentowaniem, że nauki jego nie idą w las, że syn z całą energią młodego wieku brał się do dzieła, i prowadził wszystko z rozsądkiem i zimną krwią, którą stary szlachcic pochwalić się nie mógł. Tym sposobem szły rzeczy zgodnie w miłości, porządku i zaufaniu. Powiększono dworek, założono nowy ogródek, poprzerabiano gospodarskie zabudowania, i tak zwolna, stopniami, ciąglem staraniem, ciąglem rozmiernianiem sił i przedsięwzięć, przyszedł ten folwarczek do tego kwitnącego stanu, w którym się znajdował w r. 1838, to jest w epoce tych wypadków, któreśmy opisać przedsięwzięli.

Znają już czytelnicy mniej więcej naszego dziadzia, dodam tylko, że to był człowiek kardynalnie uczciwy, ale gorączka. Każda podłość, każda krzywda bliźniego oburzała go niezmiernie. Przywykł w młodości do korda, w późniejszym wieku zacho-

wał tylko laskę grubą czereśniową, znajomą w całym domu pod nazwiskiem generycznym czereśni, którą się odgrażał często krzywdzicielom, czy możnym, czy ubogim, czy blizkim, czy dalekim. Wszakże czereśnia nigdy nie była w użyciu; stała ona spokojnie w tym kącie pokoju dziadziowego, gdzie wisiała jego dubeltówka, jego borsucza torba, rogowa trąbka i pas skórzany z ładunkami. Oddawna już dziadzio nie wtrącał się bynajmniej do gospodarstwa, widząc, że syn lepiej nawet rzeczy prowadzi od niego: ale pod wyłączną i bezpośrednią jego dyrekcją znajdował się ogród. Całe lato o czwartej zrana, w mانشestrowej kurtce, z popielatą czapeczką na bakier, z toporkiem na rękę i z króbką pasieczniczą, w której nosił swoje narzędzia ogrodnicze, wychodził do ogrodu. Tam nie cierpiał żadnej kontrydykcyi, i od nikogo też jej nie doznawał. Wszyscy szanowali nawet jego wymysły ogrodnicze, w których wszakże nie upierał się długo. Miło było patrzeć na fantazyę starca, gdy niósł z tryumfem pierwszą wiązkę szparagów, pierwszych kilka truskawek, lub parę wisienek tylko co dośpiałych, i oddawał synowej, którą nadzwyczajnie kochał i której się zwykle te primicye industrii dziadziowej dostawały. Oprócz ogrodu, miał jeszcze swoją komórkę, gdzie był warsztat stolarski, narzędzia ciesielskie i ogrodnicze. Tam przesiadywał całe dni słotne, wyrabiał różne drobiazgi, reparaował brony, pługi, wózki i t. d. Zawsze czynny, zawsze wesoly, umiał mnóstwo piosneczek do każdej okoliczności mnóstwo dykteryjek i powieści, które się zwykle kończyły jakimś szczegółem o domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Wieczorem grywał w marysza z żoną, staruszką cokolwiek schorowaną, już przygarbioną i bladą, ale miłych rysów, jeszcze zupełnie przytomną, czystą, okrzatną w stroju i przywykłą ulegać mężowi i szanować nawet jego kaprysy, za które ją później serdecznie przeproszał. Jedną wszakże miała słabość i uprzedzenie ta zacna

kobieta, i w tem nikt nie śmiał być innego z nią zdania. Podnosiła się ona zawsze i prostowała jak mogła, gdy rzecz szła o jej faworyta, jej wnuka, pana Józefa. Właśnie niedawno w skutek tej predylekcyi babki, przyszedł nasz bohater do owej najdykczanki, która jak port przypadkowy dała przytułek pięknej podróżnej blizkiej zatonięcia w kaluży. Ofuknęła się staruszka na męża i na syna, którzy znajdowali, że wydatek ten niepotrzebny i zbyt kowny, i postawiła na swoim. Widziała ona w panu Józefie wszystkie doskonałości, i broń Boże było zaprzeczyć. Miał on wprawdzie wiele przymiotów, ale dalekim był od tych perfekcyj, o których marzyła babunia. Mniej była pobłażliwą dla wnuczki, chociaż serdecznie kochała Anusię, ładną blondynkę z ślicznymi niebieskimi oczami, posłuszną, potulną, ale rozumną i gotową zawsze na każde zawołanie babuni.

Różnym był w wielu względach od ojca syn jego Hippolit Starzycki, terazniejszy gospodarz tego domu. Bardziej oświecony, lubiący czytanie i zajęty często książką w chwilach swobodnych, nie miał on żywości i wesołego humoru starca. Często zamyślonny, głęboko zastanawiający się nad wszystkim, co się koło niego działo, zawsze seryo, patrzył na życie ze strony jego poważnej; każdy swój obowiązek roztrząsał, widział wszystkie jego wymagania i konsekwencye, i z każdego kroku zdawał przed sobą samym ścisły rachunek. Pełen uszanowania dla rodziców, długo, a nawet i teraz niekiedy radził się starogo ojca. W zatargach nieuchronnych z tyłu sąsiedami, zawsze ustępował pierwszy, jeśli wina była jego ludzi; lecz krzywdy sobie zrobić nie dał i zadzierać z sobą kłótlivej szlachcie nie pozwalał. Nie był on mściwy, ale energiczna jego dusza, zapominając krzywdę, gardziła krzywdzicielem. Żonę kochał nad życie, chociaż jej tego nie okazywał. Przywykła już ta delikatna, dobra i łagodna kobieta do takiego obchodzenia się męża. Od szesnastego roku

życia znajdując się pod jego kierunkiem, poznała go doskonale i wiedziała dobrze, że pod tym obojętnym pozorem jest uczucie pełne głębokości i siły. Ale za to jaką cenę miało uściśnienie, gdy czasem w chwilach smutku lub radości położyła jasną swą i małą główkę na jego szerokiej piersi, i poczuła się w tem mężkiem i opiekuńczem objęciu! Pan Hipolit Starzycki był wysoki, silnie zbudowany, cokolwiek łysy, skromny w jedzeniu i napoju. Od dawnego czasu zarzucił frak i chodził zawsze w jasnym szaraczkowym surducie, a latem przy gospodarstwie w płóciennej szarej czamarce z czarnymi potrzebami.

Takie były personale tej zacnej rodziny. Niech się nikt nie dziwi, że nie było w niej żadnego wyrodka, żadnej karykatury; bo jak powiedzieliśmy, dom ten kwitnął pod błogosławieństwem Bożem, wysłużonem poczciwemi myślami, pobożnem poddaniem się, czystością obyczajów, umiarkowaniem i pracą.

Punktualnie o dziewiątej, wszyscy w domu pana Starzyckiego rozchodzili się do siebie. Wtenczas matka przyrządzała dla wszystkich czystą bieliznę, jeśli to była środa lub sobota, i roznosiła ją najczęściej sama mężowi, dziadziowi i babce; Anusia odświeżała czepek dla matki i dla babki; ojciec przepatrywał swojej kancelaryi rachunki lub czytał; dziadzio pochodził po pierwszym pokoju naprzeciwno i odmawiał pacierze, a babunia, siedząc w swoim krzeselku przy zasłanem już łóżku, z paciorkami w rękę, odmawiała jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za dusze zmarłe, a potem dwa cichaczem i osobno za pana Józefa.

Tymczasem w domu i obejściu było już cicho i spokojnie. Wszystkie wnijścia były pozamykane, wszyscy słudzy byli na swoich miejscach, konie, bydło i drób, wszystko to było zamknięte i opatrzone, bo zaraz po wieczery, która się kończyła o ósmej, gospodarz domu latem i zimą, w pogodę i słotę, ob-

chodził cały dom, zaglądał wszędzie, widział wszystko własnem okiem i potrzebne wydawał dyspozycje. Tak było codzień i do tego porządku, którego nigdy nikt nie psuł, przyzwyczajeni byli i członkowie rodziny i domownicy. Dziś z okazji przybycia pana Józefa, był on cokolwiek naruszony. Gdy bowiem o godzinie dziewiątej wszyscy oddali sobie dobranoc, ojciec odchodząc do swojej kancelaryi, zawołał jeszcze za sobą syna. Tam pan Józef musiał mu zdać sprawę ze wszystkiego, co się tyczyło mająteczku matki, składającego się ze czterdziestu dusz i leżącego w Latyczowskim powiecie na Podolu, a którego rząd zupełny był mu od lat czterech oddany. Konferencya ta trwała blisko z godzinę. Nakoniec ojciec kontent z syna, i widząc, że rzeczy bierze serio, że zna wszystkie najdrobniejsze szczegóły, pochwalił go, podał mu rękę i kazał pójść odpocząć po drodze. W całym domu była cichość głęboka. Matka już była w łóżku, ojciec kładł się, dziadek i babka już spali. Gdy pan Józef przechodził przez pierwszy pokój, spostrzegł koło drzwi matczynych postać białą, która się do niego cicho zbliżyła. Była to Anusia.

— Józiu! — rzekła — chciałabym z tobą pomówić!

— Chodź do mnie—odpowiedział brat; i wzięwszy się za ręce poszli na drugą stronę, otworzyli drzwi cichutko, przeszli przez pokój na palcach, żeby starszków nie zbudzić, i usiedli na łóżku obok siebie. Amor położył się w nogach Anusi, a ona, wzięwszy rękę brata w swoje dłonie, rzekła tkliewie:

— Józiu, ty mnie o nic nie pytasz? ty coś dla mnie obojętny i jakiś zamyślony.

Zaczerwienił się młodzieniec na te słowa, stanęła mu w myśli jego dzisiejsza przygoda, wyobraziły się czarne loki, ciemne oczy błysnęły przed jego duszą, uczuł w swoim objęciu tę kibić wyniosłą i wiotką i mimowolnie westchnął.



— Ty wdychasz, mój drogi Józiu! — dodała siostra, ściskając jego rękę.

Przewyciężył się młodzieniec, potrząsnął głową i rzekł:

— Nie, moja Anulku! tak ci się zdawało. Jestem cokolwiek zmęczony... drogę miałem niegodziwą.

— A przecież ładna twoja najdyczanka musi nieść lekko. Ale żebyś ty wiedział, jaka tu była scena o tę najdyczankę, jak się babunia rozgniewała, gdy dziadzio i ojciec mówili, że to będzie dużo kosztować, i że to tobie niepotrzebne.

— Kochana babunia! — rzekł pan Józef, znów wdychając. — Tem droższym teraz będzie dla mnie ten powóz. Wierz mi, Anusiu — dodał z przyciskiem — nie oddałbym go dziś za nic w świecie. Ale nie mówmy o tem. No, moja droga Anulku! tak tedy idziesz za męża?

— Podobno — odpowiedziała Anusia, spuszczać oczy i czerwieniąc się.

— Jakże to było? powiedz mi.

— Najprościej w świecie — odpowiedziała panienka. — Pan Ignacy przyjechał tu w czasie samych żniw z jakimś interesem od ojca. Bawił pół dnia, i wkrótce postrzegłam, że na mnie poglądał i czerwienił się, co mnie cokolwiek mieszało. Jakem mu po obiedzie podawała kawę, sama zaczerwieniłam się nie wiedzieć czego, i zmiarkowawszy to, byłam zła sama na siebie i jeszcze gorzej zmieszana. W tydzień potem przyjechał posłaniec z listem. Ojciec, przeczytawszy ten list, zawołał mamę, i potem poszli razem do babuni i posłali po dziadzia do ogrodu. Dziadzio z początku nie chciał iść, bo tam miał jakąś pilną robotę, ale mama sama po niego poszła, i dziadzio, śmiejąc się i śpiewając piosneczkę o Jasiu i Kasi, poszedł także do babuni, i tam wszyscy długo z sobą rozmawiali.

— A ty nie posłałaś dowiedzieć się, od kogo to posłaniec — przerwał, uśmiechając się pan Józef.

— Fe, Józiu! nie zawstydzaj mnie — odpowiedziała panienka, kładąc rękę na jego ustach. — Ach zgadłeś, zgadłeś, posyłałam, nie wiem, dlaczego serce mi biło i nie mogłam się uspokoić. Prawda, że nie powinna być tak ciekawą.

— To pan Ignacy temu winien, że się rumienił, gdy na ciebie patrzył. Więc to list był od niego?

— Naturalnie, że od niego — odpowiedziała żywiej — ale mnie nic o tem nie mówiono.

— A ty udałaś także, że niby nic nie wiesz — rzekł pan Józef obejmując siostrę.

— Oczywiście — mówiła, tuląc się do brata i włączając z nogami na łóżko. — Ale słuchajże dalej. Przez cały tydzień potem ojciec jak zwykle był poważny i nic po sobie nie pokazał. Mama częściej mnie karesowała i uważałam, że przeglądała bieliznę i płótna w spiżarni; babunia ciągnęła *pasjans* i kabałę i zawsze mnie kazała karty zdejmować, a dziadzio coraz nowe śpiewał piosneczki. Aż tu raptem w następującą niedzielę, patrz, ni z tego, ni z owego, znów pan Ignacy przyjechał. Rodzice miło go przyjęli, dziadzio go uściśkał i babunia także.

— A ty, zaczerwieniłaś się?

— Okropnie, jak piwonია, aż mi wstyd było. Ale potem jakoś przyszedłam do siebie, i jakem mu podawała kawę po obiedzi, już nic a nic nie zmieszalam się — tylko...

— Tylko co?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Wszakże po toś tu przyszła, żebyś mi się wypowiedziała ze wszystkiego.

— Otóż powiem ci, że mi bardzo miło było jemu usłużyć. I jak zmiarkowałam, że on u nas będzie nocował, to byłam bardzo kontenta, najprzód dlatego, że go jeszcze jutro zobaczę, a potem, że nie będzie po nocy jechał, i u nas, na twojem łóżku le-

piej mu będzie, niż gdzie w karczmie u żyda. Krótko mówiąc...

— Krótko mówiąc—przerwał pan Józef—pan Ignacy podobał się panience.

— Bardzo—odpowiedziała prędko i pocałowała brata. Ale pocałowanie było tak szczere, tak głośne, że się biedna przelękla, i kładąc palec na ustach, spojrziała ku drzwiom babki. Potem dodała: — Ach! ciszej mówmy, bo mnie babunia jutro wylajac gotowa, że ci po drodze spać nie daje. Ona ciebie więcej kocha, niż nas wszystkich razem. — Ale może ty doprawdy chcesz już spać?

— Bynajmniej, moja droga! Szczęśliwaś, że kochasz i że jesteś kochaną—dodał z westchnieniem.

— A czegoż ty wdychasz, Józiu? ja ci powiadam, że to nie darmo. O! ja się znam na tem, ty musisz także kochać.

— Roi ci się... Nie, nie, moje życie—odpowiedział drżącym i cichszym głosem.

— Mów, co chcesz, a to nie prawda. Ale nie dziś, to jutro, a przecież dowiem się. Bo nie wy trzymasz, powiesz mi, to tak miło pomówić o tem, co serce czuje. Ja czekałam twego przyjazdu, jak zbawienia.

— Dawnoż ci się pan Ignacy oświadczył?

— Oświadczył? On mi się wcale nie oświadczał. Już na drugą niedzielę jak przyjechał, tośmy tak z sobą rozmawiali, jak gdybyśmy się znali od niepamiętnych czasów. A jak wyjeżdżał już we wtorek, ścisnął mnie za rękę i powiedział: — Czy panna Anna pozwoli mi przyjechać w niedzielę?—A ja podobno także ścisnęłam go za rękę i odpowiedziałam:—A jak pozwolę, to pan pewnie przyjedziesz?— Chybabym umarł! rzekł, i popatrzył mi w oczy tak miło, że aż mi się płakać chciało. Widzisz, Józiu, ty znów wychasz?

— Nie, nie. Cóż dalej?

— A cóż, na drugą niedzielę pan Ignacy jak

wyrósł w Czaplincach. Po śniadaniu wszyscy poszli do babuni i on tam poszedł, a ja niby to nie wiedziałam po co. Potem i mnie zawołali. Dziadzio zaczął mnie ścisnąć, śmiać się i plakać, i zapytał mnie, co też ja myślę o tym panu, który tu stoi, spuściwszy nos na kwintę?

— Cóżes odpowiedziała?

— Zawstydzłam się bardzo, schowałam twarz na piersi dziadzi, a ręka moja sama nie wiem, jak znalazła się w ręce pana Ignacego. Ach, mój drogi Józiu! Co to była za szczęśliwa chwila! Nawet w oczach ojca widziałam łzy. A o mamie, to już niema co mówić. Kiedyśmy jej do nóg upadli oboje, ścisnęła nas i płakała biedna, że aż ją babunia polajała. Potem, wyobraź sobie, przy obiedzie siedzieliśmy już przy sobie, i cały dzień gęba się nam nie zamykała. Ale ty już drzemiesz, Józiu?

Pan Józef nie drzemał wcale. Przechylił głowę w tył, oparł ją o chłodną ścianę, a z pod przymkniętych jego powiek łzy się wytoczyły i popłynęły po twarzy. Anusia spostrzegła to, pokiwała główką, ale tym razem już mu się nie uprzykrzała pytaniami. Potem pomyślawszy, rzekła nieśmiało:

— Słuchaj, Józiu! Ja ci chciałam jedno zrobić zapytanie i nie śmiem.

— Dlaczego nie śmiesz?

— Bo widzisz, mój drogi, w niem zamykać się będzie jakaś wątpliwość, która może ubliżyć temu, którego kocham i którego mi dają rodzice. Ale ja tobie tak ufam! Tyś taki dobry, taki rozsądny! Ty mnie tak kochasz!—Powiedz mi, Józiu szczerze, czy ja będę szczęśliwą?

— Będziesz, będziesz, moja Anulku—rzekł, ścisnąc ją z wylaniem. — Pan Ignacy człowiek uczciwy, rozsądny, kocha cię pewnie, bo jakżeby ciebie nie kochać? Największa moja obawa była, czy ty go kochasz. Ale i w tej mierze zaspokoiliś mnie zupeł-

nie. A nade wszystko cieszy mnie to, że pan Ignacy równy tobie urodzeniem i majątkiem; a to ważna rzecz, moje życie—dodał, ściskając mocno jej rękę.

— A tyś pewnie pokochał jakąś osobę bogatą, nieprawdaż?... biedny bracie!

Powstał p. Józef, zrobił parę kroków, ale spojrzawszy na drzwi babki, zatrzymał się, wrócił z powrotem na palcach i uściskawszy serdecznie siostrę, rzekł cicho:

— Idź już spać, Anulku.

Anulka poszła cichutko, oglądając się smutno na brata. On rozebrał się, położył... i chciał zasnąć. Ale sen daleko odbiegł od jego oczu. Stał przed nim cały obraz walk, na jakie się narazi, jeżeli da się pokonać słodkiemu uczuciu, które się zagnieżdżało w jego sercu. Czuł zaś, że zwycięstwo będzie trudnem, ledwie niepodobnem. Obraz szczęścia siostry rozmarzył go do reszty. Opisanie zaś proste tej chwili, kiedy dziad i babka żegnali ją sędziwą swą ręką, napełniło serce jego śmiertelną obawą, że i starcy zganią jego zapędy, że ojciec nie zaaprobuje ubiegania się o rękę panny, która, jeśliby nawet weszła pod dach szlachecki, to wejdzie z dumą i pretensjami pańskiemu.

Z drugiej strony byłże pewnym jej uczuć? Może już i zapomniała o młodzieńcu, do którego uśmiechała się słodko, którego ścisnęła za rękę. Ale ktoż wie, nie byłaż to z jej strony kokieterya, lub prosta wdzięczność za uczynioną przysługę? Panna tak ładna, tak bogata, mogłaż do tej pory nie mieć nikogo, coby się ubiegał o jej miłość? Prosiła go wprawdzie, aby odwiedził jej ojca. Ale to mogło tylko dowodzić jej grzeczności, a jeżeliby nawet było oznaką tkliwszego uczucia, pod jakimże pretekstem przestąpić ten próg dla niego zakazany? Jak powiedzieć ojcu, że chce zabrać znajomość z bogaczem, którego on nie szanował, kiedy znał surowość jego zasad i niezachwiane postanowienie niebratania się nigdy z wyż-

szym od siebie? Wszystkie te myśli tłumnie krążyły po jego głowie, i ledwie przededniem ciało wzięło górę i sen zamknął jego powieki.

#### IV.

Pan Plachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplincach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunty, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście, pan Plachta był w młodości swojej *totumfactim* w jednym z możnych domów na Wołyniu, i przywykł do tego, co nazywał *komilfo* i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony *komilfo*. Była to kobieta niebrzydka, ale, wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *à Madame la Comtesse Plachcina*; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur Plachta*, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z za granicy, od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykuły *en* i *y* które pasyami lubiła.

— *En voulez vous du Cafè? Monsieur Jakub!* — mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który ją często odwiedzał, i jak kronika czaplincicka głosiła, oddawna cholewki do niej smalił.

Mąż, jak mówią, patrzył na to przez szpary, bo pan Jakób był *komilfo*, bywał u pani Włodzimierowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: *Ty brzoź kılka*, i inne piosenki. Oprócz pana Plachty

i pani Plachciny, były jeszcze dwie panny Plachcianki, Zenobia i Kryspina, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionem swoim komilfo, dodawał: *Medmosel Zenobi i Kryspin*; a pan Jakób, który miał widać pewne prawa do pieśzczenia progenitury pani Plachciny, nazywał je Binią i Pinią. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpętne, ale ich edukacja i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobie niu państwa Plachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Plachcie dostał się przy kolokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego attynencyami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obory w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej częścce utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy; wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowana. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Plachta osądził, że jest komilfo mieć kilkanaście pokoiów i obszerną zagrodę, chociaż mu cie kło za kołnierz, chociaż często panny Plachcianki mu siały z łóżeckami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne cieleća w chlewie przezroczy stym, jak maleńkie foki, siedziały nieraz po szyje w wodzie.

W toalecie państwa Plachtów i panien Plachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarżanej komilfowości. Pani Plachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materyi, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiała się na jej głowie, i porobił szczyrby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej w stanie, wąskiej, wytartej, ale, zdaniem pana Jakóba, dające jej postać królowej.

Panny Plachcianki występowały także w mate ryalnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szłomy, w trzewiczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki przedziurawione na pięcie, w perłach ogromnych z fermoarem ciężko brązowym, w kwiatkach, na których kurzawa legła grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznogi w febrze.

Państwo Plachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon, bo jakże może być dom komilfo bez galonowej liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryćka we fraku, którego pani Plachcina, nie wiadomo dlaczego, przezwiała Żorżem, nie można było nigdy oduczyc, aby nie ucierał nosa palcem wten czas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umieblowanie domu odpowiadało reszcie, zszarżana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet niepolatane dywaniki i t. d.

Otóż w takim to domu, dnia 17 października, w dzień Świętej Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości, i nietylko wszystkich kolokatorów czapli nieckich, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Plachta we fraku cynamonowym z długimi, ale wąziutkiemi połami, w granatowych ciasnych szarawarkach, podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinny, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przeształwiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zastawiając po kątach. Niemało także miał roboty, zanim wa-

zonikami i frankami pozaślaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frendzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i przemysłu panny Zenobii, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Plachta, nastrzępił bardziej komilfo i poustawiał symetryczniej. Sporą trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonemi skórkami z jabłek.

Zadzyszany i spotniały Żorz związał się jak mucha w ukropie, i ciągle dawał szturchańce chłopakowi stajennemu, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Plachty, z zachowaniem jednak własnych chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorzowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tulily w siermięgach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynie.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych, o które brukały się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, bufiastemi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale zato na rozległym jej gorsie związał się w przezroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym malowały się żywe kolory tej korpulentnej Irydy.

Pani Plachcina rzuciła przymrużonemi oczyma wokół, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przypłaszczzonego, aby się wydawał zadartym, i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie, zapytała:

— *Eh bien Monsieur!* Czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co, komilfo, nieprawda?

— Tak, tak—odpowiedziała—wszystko to twoje starania, *Monsieur Plachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu...

— *Monsieur!*—przerwała obrażona p. Plachciana i starając się temu wyrazowi dać intonację, jaką jej dawała ta pani, co niedawno wróciła z za granicy—wiesz dobrze, że tych dat nie lubię.

Zaśmiał się p. Plachta, podłożył obie ręce pod poly fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę i nachylając się, pocałował żonę w ramię pulchne i białe.

— Ale gdzież to nasze nimfy?—zapytał potem.

— Zaraz się ukazą—odpowiedziała pani Plachciana, idąc z pewnem arystokratycznym chwianiem się ku drzwiom córek, a uchyliwszy je cokolwiek, zawołała:

— *Zenobi, Kryspin! en venez vous? ou non?*

— *Nous y venons, maman, tout-de suite*—odpowiedziały po francusku. Bo zacna pani Plachciana, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomość języka francuskiego. Katowały go one, jak mogły, w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle, i rozumiały się doskonale. Słyszac tę ich rozmowę pan Jakób, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał; a pan Plachta, który nic nie rozumiał, pysznił się, że ma tak komilfo żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Plachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęły się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historii.

Wszedł najprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facyatą, obsypaną pryszczami, z nosem zaczerwienionym, w szarckowej kapocie i z białym kapeluszem w ręku.

Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna, dość nisko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był to człowiek dobry, niekłótniwy, i bał się dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się ze staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinię. Obok niego była pani Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej ręce, jeszcze jednak włócił się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co jej ta ostatnia z całego serca odplacała. Panny Płachtianki przywitały się także zimno z pannami Biruckimi i widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz jak sroczki i lubiły się wzajemnie; ale od tego czasu, jak pani Płachcina dała fałszywy model na czepkę pani Biruckiej, tak, że zmarnował się tyfoń, z którego miał być zrobiony, i gdy nawzajem pani Birucka, odplacając za zdradę zdradą, dała swojej sąsiadce fałszywy przepis na baby, tak, że mąka, jaja i drożdże poszły wniwecz i państwo Płachtowie z tej okazji nie mieli ciast komilfo, oziębily się zupełnie sąsiedzkie stosunki i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorną zgodę. Wszakże mówiono już o tem głośno w Czaplincach, że burza co moment blizka jest wybuchnięcia.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajechała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześćcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała, jak gniazdo pełne wróbli. A gdy

z niego wylazła ta płodna para i z całym swym pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce, dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbiierać i wołały do domu, a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to to, to owo. Matka zażenowana, piskliwym głosem zwoływała je; panna Zenobia, bojąc się o swoje frendzelki przy świecach, które już jeden malec szarpał, krzyczała zdaleka; a pan Birucki grubym głosem śmiał się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło. Nowo przybyły był to pan Bartłomiej Skrętski, z żoną Placydą, kobietą niebrzydką, tustą, ale flondrowatą, którą zawsze nazywał przezieszczoty Placusią! Posiadał on także część w Czaplincach, a jako dalszy cokolwiek sąsiad pana Płachty, żadnych z nim nie miał zatargów. To tylko zarzucił mu nasz gospodarz, że mieć taką zgraję dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośrednimi jego sąsiadami. Dziedziniec pana Skrętskiego był Scyllą i Charybdą, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie, przepadało bez wieści. Ale, że pan Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprzysiądz się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartej kłótni nie dochodziło. Właśnie gdy pan Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powinshawali solenizantce, pocałowali ręką wszystkie damy w rękę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił i dalej ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniała się kompania; schodzili się ubożsi

i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w stałym i obwisłym fraku; zjawiały się i panie w perkalowych czepkach i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach i z białymi chusteczkami na szyi.

Ale pani Plachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Plachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedziniec, a pan Plachta także co chwila zazierał do sieni. Pani Plachcina naturalnie wyglądała pana Jakóba, a pan Plachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkali, wspólną mieli karczmę i za hałaburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie i dotąd jeszcze ani razu się nie pokłócili. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigiusz grał na skrzypcach i obiecał je z sobą przywieźć, a pan Paweł akompaniował mu na klarynecie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że pan Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące te luki i przerwy i wydawały się umysłeni przestankami wtóru, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Plachty i jego córek, które oprócz nadziei tańca, miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypką w ręku, obwinętą czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem, okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli i weszli prawie razem do pokoju, razem wieszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nie nowych, ale jeszcze

całych; jednakowo nosili wasy i jednakowo straszne mieli bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli oba zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tem straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się skłócił, posyłał w ten moment po drugiego i wówczas krzyczeli ogromnie oba, tak, że biedny sąsiad, zatknawszy uszy, uciekał do izby. Dla państwa Plachtów zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno pan Remigiusz miał widoki na pannę Zenobię, a pan Paweł na pannę Kryspinię. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością; ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że widzieli wyraźnie, że panny słodko spoglądały na wosaty muzykantów, a powtóre, że bali się któregośkolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił wąsa, drugi także brwi marszczył i z tejże samej strony wąsa pokręcał.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podawać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz matki Żorzowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwaliли zręczność, to sprzeciwiali się z umizgami, wykradali cukier z filiżanek, tręcali stolik, żeby się kawa wylewała na spodeczki i inne równie miłe i dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali, to wżerzenie długie i znaczące, to łyżeczką po ręce, to kilku kropłami śmietanki, ciśnionemi zręcznie, po twarzy. Patrząc na te manewry, panowie Zarzycki i Cepowski młodzi przechadzali się, wdychając; ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle ile goście, siedząca na kanapie pani Płachcina lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około czterdziestu; był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okrywały wąskie kortowe szarawarki jasno migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastemi rękawami zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi na ogromnej rogówce grubo i dosyć wolno okręcona, szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód, a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub z tylnych włosów naczęsany, który zakrywał lysinę. Wszakże czasem zapął muzyczny psu! i to rusztowanie kokieterii, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli:

-- A! pan Jakób! pan Jakób!

Widząc się tak pożądanym, Orfeusz czapliniecki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękką kastorowy kapelus, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę i tak witał kompanię. Uśmiechały się oczy pani Płachciny, a pani Birucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całują — rzekł pan

Jakób, przechodząc koło pańienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

Lecz puście mnie do mamuni,  
Ażeby w dzień jej imienia  
Złożył u nóg jej życzenia,  
A potem dacie kawuni.

A co? — dodał, i nie czekając, jaki efekt zrobi czterowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pełno było zdrobniałych i pieścizotliwych wyrazów, które bardzo lubił. Zakończył rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Pan'e Boże,  
Byśmy za rok o tej porze  
Zeszli się na imieniny  
Do Lucyny, do Lucyny.

A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając.

Tym razem wszyscy huknęli brawo; pani Płachcina rozrzewniła się i wyciągnęła rękę do pana Jakóba, a pani Birucka ruszała ramionami.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanii nie stało, nie zważając na to, pan Jakób wystąpił naprzód i znów zaimprowizował:

Daiej panowie i panie!  
D'ogie t, s! imieniny!  
Niechże, kto ma olej w głowie,  
Duszkien to wychy i zdrowie:  
Z!rowie Lucyny!

krzyknął i potem dodał:

— A co?



— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkiem.

Kobiety siedziały cokolwiek niekontente, iż nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie i obraziły się na pana Jakóba. Wszakże niesprawiedliwie, bo pan Jakób przez drogę układając swoją improwizację, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej i na damy; i one dostały po kieliszeczku, które potem poszły w niezaprzeczone władanie mężczyzn i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innym kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pirogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były komilfo. Wówczas pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z wejrzeniem pełnem przyszości, rzekła:

— *En voulez vous chanter quelque chose, monsieur Jakub?*

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki.

Panny Płachcianki uradowane zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku pokoju; panowie Smyczkowscy pokręcali węża obaj z prawej strony, bo nie bardzo admiirowali talent pana Jakóba, który także nie miał ich za wielkich wirtuozów, a pani Placyda przywozila do porządku swoich chłopczyków, którzy wydzierając sobie kawałek buleczki, poczuli się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakób usiadł na swoim miejscu i założywszy noga za nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando z czuciem i nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą rękę z góry na dół i z dołu do góry i wydobywając z instrumentu dziwne jęki, publiczność dawała znaki ukontentowania

ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem pan Jakób, przestał nagle, spojrział po wszystkich i zapytał:

— A co?

A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go naprzód był pewny, po krótkim preludyum zaśpiewał:

Te brzoź kilka, ten bieg wody  
Jak mi wiele przypomina!  
Tu przeskakałem wiek młody,  
Tu żyła niegdys Lucyna.

Ostatnie dwa wiersze powtórzył po raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej strofie i po każdej z nich szerokie łono pani Płachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał, a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tem pan Jakób, rzekł:

— Może państwu co nowego? a co?

I nie czekając próśby, bo jej był naprzód pewny, zaśpiewał:

Nie spostrzegłszy w krzaczku róży  
Kupidyn, że pszczołka siadła i t. d.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skrętski szepnął panu Biruckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a panowie Smyczkowscy pokręcali węża, gdy jednak przyszło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeślić, synku,  
Tak dolega żądło pszczołe.  
Cóż dopiero, Kupidyńku,  
Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? a co? cała kompania umilkła; pan Remigiusz zwyciężony spojrział na pannę Zenobię, pan Paweł na pannę Kryspinę, a panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, czując prawdę

ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bał się oka-  
zać, co czują. Czem znów zachęcony pan Jakób już  
miał zacząć weselszą piosnkę i zadzwoniwszy kilka  
razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną prze-  
grywką po każdym wierszu:

Nie wiem z jakiego powodu  
Drum, drum, drum, drum, drum,  
Poszła Filis do ogrodu  
Drum, drum, drum...

Ale pirogi i prosięta przerwały jego muzyczny  
zapał i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, po  
co Filis poszła do ogrodu i każdy ruszył się do pół-  
miska; a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzy-  
cząc różnemi głosami, które stłumiły przegrywki pa-  
na Jakóba, wołały:

— Pirożkil pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Plachcianki, przy-  
stąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły jak  
mogły najdwzięcniej i spojrzwały jak mogły najwy-  
mowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowsy tę niemą  
prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywi-  
jał także z solenizantką, a gdy który z panów Smycz-  
kowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakób zastę-  
pował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy  
spały po różnych kątach; pan Zarzycki z panem Bi-  
ruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ru-  
szała ramionami, patrząc jak pani Plachcina wywija;  
Żorż zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się  
o ścianę, wyciągnąwszy naprzód nogi i nos palcem  
ucierał, a pan Plachta, patrząc na ten ruch i syme-  
tryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywa się  
komilfo.

A państwo Starzyccy? U państwa Starzyckich  
było cicho, spokojnie. Dziadzio chodził po pokoju  
i odmawiał pacierze; babunia siedziała już w swoim  
krześle przy łóżku i modliła się za męża, dzieci i wnu-  
ków; ojciec obchodził cały dom i patrzył, czy wszyst-

ko w porządku; matka z córką jeszcze doszywały  
wyprawę, a pan Józef, trzymając rękę na głowie  
Amora, dumal o lśniących lokach, które ocieniały  
śliczną twarzyczkę, o ustach rumianych, które się do  
niego tak słodko uśmiechnęły, o czarnych, ślicznych  
oczach, które tak głęboko zajrzały do jego duszy.

## V.

— Co tobie, Kamilciu? — rzekła panna Beldeau  
do panny Kamilli, która, siedząc w kącie obszernej  
kanapy, przerzucała jedną po drugiej książeczki, jakie  
obok niej leżały, a potem niecierpliwiona, zgarnąw-  
szy je wszystkie, cisnęła od siebie daleko na pokój.  
Zaśmiała się Francuzica i mówiła dalej: — Od nie-  
jakiego czasu zmieniłaś się zupełnie.

— Tak ci się zdaje — odpowiedziała panienka,  
podpierając się na ręce z nadąsaną miną.

— Wcale nie... nic cię nie bawi.

— Czyż może teraz co bawić, w takiej porze,  
kiedy deszcz i śnieg, i zimno i wietrzno, kiedy tylko  
okienice stukają, smutno szumią topole i brudne kro-  
ple biją w okna?

— Czyż niepogoda mogłaby mieć taki wpływ? —  
rzekła panna Beldeau ze znaczącym uśmiechem.

— Zapewne, na tobie, nie. Ty, Belciu, nim się  
zasznurujesz, nim uczesziesz, nim powkładasz wszyst-  
kie pierścionki, łańcuszki, grzebyki, szpilki i sprzączki,  
to i nie masz czasu widzieć co się dzieje, a ja po-  
trzebuję świeżego powietrza i nie mam go; ja nie-  
tylko niczem zabawić się nie mogę, ale gotowam  
dostać zapalenia płuc i czarnej melancholii.

Znów zaśmiała się panna Beldeau, a panna Ka-  
milla spojrzwała na nią, ruszyła ramionami i zamy-  
śliła się.

— Żart na stronę, Kamilciu, czy nie choraś ty doprawdy, boś pobladła?

— Nie wiedzieć co gadasz. Czyż taka cygan-ka, jak ja, może poblednąć? kiedyż ja miałam rumieńce?

— Nie miałaś nigdy rumieńców wypiętnowanych na papierowej twarzy, jak panna Hortensya; ale miałaś twarz świeżą, czerstwą i cerę śliczną, a teraz tego nie ma, nawet usta twoje pobladły, co były zawsze jak korale.

Panna Kamilla westchnęła i nic nie odpowiedziała.

— A widzisz — mówiła dalej guwernantka — wdychasz. I powiem ci, że nawet przez sen wdychasz.

— O! co to, to kłamiesz, Belciu — odpowiedziała prawie z gniewem panienka.

I powstawszy, wyszła ze swego pokoju do sali, siadła przy fortepianie i zaczęła bić po klawiszach, mieszając różne sztuczki razem, przerywając w połowie frazesu, aby wpaść w inny i z innego tonu, a wszystko szybko, bez taktu, *forte*, *fortissimo*, aż póki struna zerwana smutno nie zabrzęczała i zawziętej muzykantki nie przyprowadziła do opamiętania. Wtenczas panna Kamilla zaczęła chodzić po sali i marzyć. Marzyła o kałuży na drodze, o ładnym młodzieńcu, który jej przyszedł na pomoc; widziała żywo jego postać męską, wzrost przystojny, twarz miłą i myślącą; podobało się jej to, że choć blondyn, był ogorzałym od słońca, że tylko czoło jego wysokie było białe i jasne, przypominała głos wdzięczny i brzmiący i te oczy ciemno-błękitne, co tak rzewnie, tak rozumnie, a zarazem tak niebojaźliwie patrzyły. Wyobraziwszy go sobie z całą żywością młodej imaginacji, zapragnawszy go jeszcze raz obaczyć z całym wyteżeniem duszy ognistej i energicznej, panna Kamilla zatrzymała się na środku pokoju, przycisnęła

serce obiema rękami i głęboko westchnawszy, zawołała:

— Och! doprawdy, nie rozumiem.

Czegoż to nie rozumiała panna Kamilla?

Oto wówczas, gdy ją na rękę trzymał, gdy obok niej siedząc na wasążku najdyczanki, patrzył jej w oczy, gdy potem żegnając się z nią, rękę jej tulił i całował, wówczas, mówiąc, zdało się jej, że ją ogarniał wzrokiem, myślą, duszą; że po takim spotkaniu, po takim poznaniu się, krótkim, ale stanowczem, już ten mężczyzna należał do niej, a ona do niego, tembardziej, że i ona czuła to dobrze, jak zdradzała swoje zajęcie się wzrokiem, głosem i uśmiechem; że ściskając jego drżącą rękę, tem samem powiedziała mu:

— Zrozumiałam cię, znaleźliśmy się.

A przecież już dwa tygodnie przeszło od tej chwili, a o nim ani słycho, ani wieści. Prosiła go, aby odwiedził jej ojca, a on nie przyjeżdżał? Tego to nie mogła pojąć panna Kamilla i nad tem rozmyślając, rozbierając różne powody, to upokorzona tą myślą, że może tylko ona sama pokochała, to przestraszona może chorobą, może jakim innem nieszczęściem jego rodziny, chodziła coraz prędzej po pokoju; potem nagle zatrzymawszy się, zadzwoniła. Wszedł Ignacy.

— Kto u papy?

— Szłoma.

— Szłoma? — odpowiedziała, i jakby uderzona jakimś świetnym pomysłem, rzekła:

— Jak wyjdzie, powiedz mu, żeby tu zaszedł do mnie, mam do niego interes.

Lokaj wyszedł i w kwadrans potem zjawił się Szłoma, zbliżając się z całą elegancją i powagą do brze wychowanego żyda Szejne Morejne. Ten sam kaitan materyalny był na nim, buty równie wyglansowane, pejsy i broda równie lśniące, a w lewej ręce, której wielki palec był za pasem, taż sama sobo-

lowa czapka. Panna Kamilla, siedząc na małej kanapce, oparta z gracyą na ręce, patrzyła na niego z wdzięcznym uśmiechem, co spostrzegłszy żyd, także się uśmiechnął, zaświecił czarnemi oczyma pełnemi rozumem, i pokazał zęby białe jak perły.

— *Monsieur Szloma!*— rzekła panna Kamilla.

— *Qu'ordonnez vous, Mademoiselle?* — odpowiedział żyd z wdzięcznem charkotaniem. Było to charkotanie czysto żydowskie, ale niejeden z naszych elegantów, i niejedna z dam, które świeżo wróciły z za granicy, zazdrościłyby go Szlomie, bo czyniło jego akcent zupełnie paryzkim.

— *Je m'ennuye à la mort, Monsieur Szloma* — rzekła panienka.

— *Ce n'est pas étonnant*—odpowiedział żyd—*la saison est très mauvaise.*

— Pomówmy o czem, Szloma, zabaw mnie trochę — rzekła panna Kamilla pół żartem, pół seryo.

— Bardzo pani dziękuję za ten honor — odpowiedział, pociągając ładną swą ręką pejsy—ale jeżeli pani pozwoli położyć jeden warunek.

— Jakież to, mości Szloma?

— Żebyśmy mówili po polsku; bo ja nie jestem tak biegły we francuski język, chcę mówić we francuskim języku, abym mógł utrzymać ciągłą konwersacyę.

— O! z ochotą, panie Szloma. Język francuski sprzykrzył mi się i tak. Panna Beldeau ciągle mi nim nad uszami terkocze.

— Panna Beldeau—odpowiedział żyd ze znaczącym uśmiechem—ma racyę, że mówi zawsze swoim rodzowitym językiem.

— Takbyśmy i my powinni robić, nieprawdaż, panie Szloma?

— Zdaje mi się—odpowiedział.—Ale to się do pani nie stosuje—dodał pochlebnie—pani, choć majątna i wyniańczona francuskimi rękami, jednak mó-

wisz bardzo dobrze po polsku, co u nas na Wołyniu rzadko się zdarza.

— Że ja mówię jakkolwiek, to nic dziwnego, ale że ty, panie Szloma, tak czysto mówisz naszym językiem, to dziwniejsza.

— Uczylem się i starałem się — odpowiedział, gładząc brodę.—Czytałem dosyć, póki miałem czas, i dawniej mówiłem daleko lepiej. Potem wzięłem się do handlu i naszych spekulacyj pieniężnych i wiele zapomniałem.

To powiedziawszy, uśmiechnął się, jak autor, który przez skromność sam siebie gani, pewny, że mu słuchający zaprzeczą.

— Teraz tembardziej musisz nie mieć czasu, panie Szloma, kiedy oprócz handlu zajmujesz się jeszcze interesami mego ojca i pracujesz tak gorliwie nad wzbogaceniem mnie coraz więcej. Nieprawdaż, mości Szlomo?—dodała z ironicznym uśmiechem.

Zaczerwienił się cokolwiek żyd, a potem, patrząc jej bystro w oczy, jakby chciał przeniknąć, do czego te słowa zmierzają, dodał:

— Pozwoli mi pani powiedzieć, zem ją nie dobrze zrozumiał?

— Jakto? — odpowiedziała żywiej — czyż we wszystkich kupnach, które mój ojciec od lat kilku zrobił, nie miałeś czynnego udziału, panie Szloma? czyż i teraz nie pracujesz gorliwie, abym wkrótce i po Czaplincach mogła się przejechać, jak po swojej własności? *A propos*, powiedz mi co o tych Czaplincach, jak stoją interesy? Podobno już jednego szlachcica mój ojciec spłacił i częśćkę jego posiadł. A wam dosyć mieć jeden punkt do ustawienia baterii.

— Nam? — odpowiedział żyd ze szczególnym akcentem.

— Tak jest, wam działającym — odpowiedziała z przyciskiem—bo ja przyjdę do gotowego. Powiedz mi, panie Szloma, czy wszystkich tych panów masz w rękę? bo słyszałam, że to szlachta nieuważna, eks-

pensowna, chętnie zaciąga długi i bierze na kredyt, a pan Szloma zawsze gotów usłużyć.

— Zkądże pani to wiesz?—odpowiedział cokolwiek zażenowany — nie sądziłem, że te rzeczy panią interesują.

— Czyż ja nie mam już dziewiętnastu lat? czy mi nie pora za męża? czyż mnie to nie interesuje, aby mój posag był jeszcze okrągłym niż jest? Wszak wiesz, panie Szloma, że nasi panowie pierwiej rachują dusze swojej narzeczonej, a potem dopiero starają się poznać, czy ona sama ma duszę, czy nie? Takie teraz czasy i rozum spekulacyjny zagnieździł się nie tylko pod takimi ładnymi lokami jak twoje, ale i pod takimi jak moje, choć mnie ładne i nie tak się blyszczą.

— Pani będziesz bardzo wielką panią — odpowiedział żyd z uśmiechem i chciał pogładzić swoje pejsy, ale się zmiarkował i opuścił rękę napowrót.

— Panią, panią!... czy to źle być wielką panią?—odpowiedziała, kładąc się niedbale na kanapie;— ja tego szczerze pragnę, dlatego powiedz mi, w jakim stanie są nasze operacje względem Czaplinców? Czy wszyscy ci mocno dłuźni?

— Prawie wszyscy—odpowiedział—i żałuję teraz, że się unosił ludzkością... Pani się uśmiecha na to słowo, prawda, ono dziwnie brzmi w ustach żyda, ale i żyd jest człowiek i wie, co to ludzkość.

— Jeżeli który wie, tak jak ty, panie Szloma, i umie tak w miejscu używać tego wyrazu; ale cóż dalej? więc wszyscy? — dodała, smutniej pochylając głowę.

— Powiedziałem: prawie wszyscy, bo tam jest jedna rodzina oszczędna, gospodarna i rozumna, która ani mnie, ani nikomu nic nie winna i żyje sobie uczciwie i oddzielnie. A, co to za ludzie!

— Któż to taki, panie Szlomo? — zapytała żywej i silny rumieniec okrył jej lice. — Powiedz mi o nich więcej, bo to fenomen w Czaplincach.

— To są niejacy państwo Starzyccy. Powiem pani, prawdziwie patryarchalna rodzina. Jest tam stary dziadek poczciwy, choć trochę gorączka; jest babka, którą oni wszyscy niezmiernie szanują; jest ojciec, człowiek bardzo rozumny, choć trochę ponury i milczący; jest matka, kobieta gospodarna i cicha; jest panienka, ładna i usłużna, i jest syn, młody człowiek rzadki, i powiem pani, że nawet między bogatymi paniczami naszymi nie ma takiego, żeby miał taką głowę i takie serce.

— I to wszystko w Czaplincach? Zkądże ich znasz tak dobrze, panie Szloma?—zapytała panienka, która go z wielkiem zajęciem słuchała.

— Jako to, zkąd? proszę pani! ja w Czaplincach bywam często dla różnych interesów z tamtejsze panowie, chcę mówić: z tamtejszymi panami, i wiem doskonale, co się u każdego z nich robi, jaki on, i jak żyje. Co się tyczy państwa Starzyckich, to choć ja z nimi nie mam nic do czynienia, czasem jednak do nich zachodzę pod pretekstem, czy czego nie potrzebują.

— I pocóż, panie Szloma, kiedy wiesz, że oni niczego nie potrzebują?

— Pani będziesz się znów śmiać, jak powiem. Ja u nich się uczę, co to jest ludzkość — odpowiedział z pewną dumą. — I jak się u innych napatrę na brudy, na zawziętość jednego na drugiego, na ambicję pańską z dziadowską intratą, jak to mówią, to mnie miło u państwa Starzyckich obaczyć rozum, porządek, cichość i spokój domowy.

— Ty jesteś szczególnie żyd, panie Szloma! Jeszczem cię nie znała z tej strony — rzekła panna Kamilla ze szczerem zajęciem.

— Jeśli mi pani pozwolisz częściej z sobą pomówić, to mnie pani lepiej poznasz.

— Nie uwierzysz, jak mi to będzie miło — odpowiedziała. — Ale czy wiesz, panie Szloma—rzekła potem, jakby od niechcienia — że przejeżdżając przez

Czaplińce, ledwie nie była pewna, że ludzie porządni i gospodarni mieszkają w tym dworku na prawo, gdzie topole przy bramie, klony przy ganku, a z tyłu ogród, czy lasek. Czy to ten jest dom tych państwa Starzyckich?

— Ten sam — odpowiedział. — Znać pana po cholewach, mówi przysłowie, a można dodać: znać gospodarza po jego zagrodzie.

— O bezwątowania — odpowiedziała, patrząc nań z pochlebnym uśmiechem — powierzchowność wiele znaczy. Dość spojrzeć na ciebie, panie Szłoma, dość cię posłyszeć, aby się domyśleć, żeś człowiek porządny i edukowany.

— Pani nadto grzeczna — odpowiedział; ale nam żydom nie trudno się w tej mierze dystyngować. — Ten wyraz znów wymówił z pretensją.

— A toż dlaczego?

— Gdzie wszyscy brudni — odpowiedział, gładząc sobie swą czapkę — tam dosyć się cokolwiek oczyścić, aby zwrócić uwagę.

— Skromność podwaja zasługę, panie Szłoma — rzekła, i kiwając mu główką, z gracyą dodała: — Ale nie zabieram ci czasu i dziękuję ci, żeś mnie cokolwiek rozerwał. Pokłoń się żonie odemnie, panie Szłoma, i Racheli.

Żyd skłonił się, i był już przy drzwiach, gdy panna Kamilla, niby przypomniawszy sobie, rzekła:

— Ale, panie Szłoma! wracając do naszych projektów skupienia Czapliniec, zdaje mi się, że państwo Starzyccy mogą nam w tem pomódz, gdybyśmy się umieli z nimi obejść.

— Jakto, proszę pani? — odpowiedział, wracając.

— Ja myślę — rzekła, czerwiąc się i spuszczać oczy — że memu ojcu wypadaloby z nimi poznać się bliżej. Człowiek taki gospodarny i wyższy rozumem nie może nie mieć wpływu na swoich sąsiadów.

— Pani myślisz, że on skłaniałby ich do po-

zbycia się własności na rzecz pana prezesa? Nie, panie dobrodziejo — rzekł stanowczo — pan Starzycki tego nie zrobi.

— To przynajmniej odradzać im tego nie będzie, jeśli mój ojciec z nim się zbliży i zaprzyjaźni. Wszakże dla tak ważnego interesu warto zrobić pierwszy krok. Mój ojciec ufa ci, panie Szłoma. Mnie się zdaje, że od ciebie lepiej taką radę przyjmie, niż odemnie, niedoświadczonej dziewczyny. A zrobiłbyś mi wielką łaskę, bo nie uwierzysz, jaką mam chęć do tych Czapliniec — dodała, śmiejąc się.

— Myśl pani bardzo dobra — odpowiedział Szłoma — już ona i mnie przychodziła. Ale nie wiedziałem, że panią Czaplińce tak mocno interesują.

— A wiesz dlaczego? — odpowiedziała. — Wszak Szyszkowce graniczą z Czaplincami, a Czaplińce z naszą Żurawką, a za Żurawką co?

— Majątek pani Włodzimierzowej Podziemskiej.

— A więc?

— A więc — odpowiedział żyd, uśmiechając się konfidencyjnalnie — czy pani pozwoli powiedzieć?

— Mów, panie Szłoma.

— Majątku tego dziedzicem jest pan Henryk Podziemski. Masz pani rację, wszystko to razem stanowiłoby dobra bardzo piękne.

— Dosyć tego, panie Szłoma; wiesz więcej, niżeli chciałam. Daj ten pierścionek swojej ślicznej Racheli. Obiecałam jej dawno prezencik i zapomniiałam. *Adieu, monsieur Szłoma.* — I znów kiwnęła mu głową.

Żyd popatrzył na nią przenikliwie, skłonił się i wyszedł.

Zaledwie drzwi się zamknęły, panna Kamilla zakryła twarz obiema rękami i tak siedziała przez chwilę, oddychając po tej ciężkiej komedii, którą odegrała. Potem powstawszy, otarła łezki, które puściły się z jej oczu i zadzwoniła.

— Czy Szloma poszedł już? — zapytała Ignacego.

— Nie, pani, wrócił znów do pana i jeszcze tam siedzi.

Uśmiechnęła się panienska, pełna nadziei, że się jej uda wybieg, i lżejsza i weselsza pobiegła do swego pokoju.

Nazajutrz dzień był jasny i pogodny. Lekki przymrozek ściągał wilgotną ziemię. Panna Kamilla, ożywiona nadzieją i otrzeźwiona ostrem i świeżem powietrzem, z wesołą i czerstwą twarzą wracała około godziny jedenastej z ogrodu, gdzie można było pochodzić po zmrożonych cokolwiek ulicach. Przed gankiem spostrzegła koczycj ojcowski, i prezesa na ganku, już gotowego do wsiadania. Szybko więc ku niemu podbiegła i pocałowałszy go w twarz z poufałością samowolnej jedynaczki, zapytała:

— Czy papa jedzie na spacer? proszę mnie wziąć z sobą.

— A, nie, nie mogę — odpowiedział. — Ja jadę z wizytą do Czapliniec.

— Do Czapliniec? — zapytała z udanem podziwieniem, i śmiejąc się głośno, dodała: — Czy nie do pani Płachciny?

Państwa Płachtów znała panna Kamilla z nazwiska, bo ci starali się wszelkimi sposobami zaprzyjaźnić z prezesem, uważając to za rzecz *komilfo*...

— Nie, nie — odpowiedział — ja jadę do państwa Starzyckich.

— Cóż to za państwo Starzyccy? — zapytała, niby niechcący i poprawiając ojcu kołnierzyk przy chustce, który mu się pozaginał.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — na cóż ci to wiedzieć? Tak sobie, szlachta, ale mam w tem interes, żeby się z nimi poznać.

— Starzycki! Starzycki! — rzekła, niby przypominając — niechno papa poczeka. A, czy też papa

pamięta o tym przypadku, który nam się zdarzył, gdyśmy wracały od marszałkowej dwa tygodnie temu?

— O jakim przypadku?

— Ach, Boże mój! opowiadałam przecie papie, żeśmy zagrzęzły z Belcią w kałuży.

— Ach, i jakiś jegomość was wyratował.

— Otóż, jeśli się nie mylę, jakiś pan Starzycki... Tak, tak, dobrze mówię, pan Starzycki z Czapliniec. Proszę papy, jeśli to ten sam, do którego papa jedzie, niech mu papa pięknie podziękuje, bo doprawdy zasłużył na to. Tak heroicznie wlał w kałużę po same kolana, tak chętnie kazał odprządz swoje konie i nas wyciągnąć, że doprawdy zobowiązał mnie bardzo. A jeżeli mnie, to i ciebie papo, nieprawdaż?

— Bezwątpienia.

— Gdyby nie on, to nie wiem co by było. Mnie to jeszcze pół biedy, jabym chętnie wlała była w błoto, ale pani Beldeau?

— Co mi tam twoja pani Beldeau — odpowiedział, krzywiąc się.

— A ja, czy także co mi tam?

— Ty co innego.

— Otóż widzi papa, jeżeli nie przez wzgląd na panią Beldeau, to przez wzgląd na mnie powinien papa być wdzięcznym. Któż wie, co by się było stało, gdybym była wlała w błoto, a wlałabym była niezawodnie. I wtenczas jedynaczka i sukcesorka papy mogła była zamoczyć nogi, z zamoczenia nóg dostać kataru, katar spadłby był na piersi, potem przyszlaby pleura, a potem suchoty... i marsz na tamten świat, a Szyszkowce, Żurawka, Kopnówka, Krzaczkki, Mirskie, a może i Czaplince dostałyby się nie wiedzieć komu.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — co ty pleciesz, dziewczyno! aż mróz po mnie przeszedł.

— Niechże z tego papa osądzi, ile winien temu

jakieś panu Starzyckiemu. Proszę mu ładnie podziękować i zaprosić go jeszcze do siebie, żebym mu i sama powtórzyła podziękowanie.

— Dobrze, dobrze, dziękuję i zaproszę—rzekł przenikliwy prezes, myśląc sobie w duchu:—właśnie mi to na rękę, będę miał pretekst do tych odwiedzin.

Panna Kamilla poszła do siebie pleszcząc w dłonie, a gdy weszła do sali i obaczyła tam pannę Beldeau przed zwierciadłem, porwała ją do walca, i zaczęła wirem kręcić tak, że biedna Francuzka, zadykana i zmęczona, padła jak bez duszy na kanapę.

Tymczasem pan Józef nie był tak wesołym. Nie mógł sypiać, stracił apetyt i humor, a wszystko to musiał ukrywać przed rodziną, która go kochała, a szczególnie przed ojcem, któryby mu był od razu szalonych myśli zabronił. Czuł i sam młody człowiek całą nedorzeczność namiętności, która w żaden sposób zwyczajnym trybem zaspokojoną być nie mogła; widział, że mu walka potrzebna, ale oraz widział i czuł, że wszelka walka nic nie pomoże, że uczucie silne, gwałtowne, rzuciło głębokie korzenie w jego serce i wyrwać się nie da. Stan jego pogarszała jeszcze niepewność, czy uczucie jego podzieliłoby, czy już nie zapomniany zupełnie? I być może, że go to najwięcej dręczyło, że nie miał sposobności przekonać się, czy tak jest, lub nie? Gdyby pojechał, obaczył, gdyby go przyjęto zimno, a może i nie przyjęto wcale, mimo grzecznego zaproszenia, możeby to było najlepszym lekarstwem. Dziesięć razy zbierał się powiedzieć ojcu, że ma zaproszenie do Szyszkowiec i że mu wypada odwiedzić prezesa. Ale ile razy stanął przed nim i spojrzął na tę twarz poważną i surową, zdawało mu się, że widzi na jego czole naganę i zakaz, i nie śmiał ust otworzyć. Kilka razy znow chciał bez wiedzy ojca dogodzić najgorętszemu życzeniu, które mu dzień i noc pokoju nie dawało, wyjeżdżał konno, niby na spacer, ale

wjechałszy na wzgórek, z którego widać było Szyszkowce, gdy spojrzął na wieś ogromną, na dwór obszerny, na kilkanaście kominów, z których wszystkich wznosiły się kolumny dymu, oznaczające, że tam dostatek, zamożność nieszlachecka, a zatem dumna i zamiary odpowiednie, tracił odwagę, bojąc się nie tak pychy ojca, jak zimnego przyjęcia panny, któreby odwróciło od ust jego to opium, co go trulo, ale rozkoszne dawało marzenia.

Takim sposobem przeszły dwa tygodnie i pan Józef zesmutniał, zmizerniał i pobladł. Tego dnia, gdy koczyk prezesa zbliżał się do Czaplinc, siedział przy oknie wychodzącem na podwórze i mówił do siostry, która przed nim stała, ze łzami w oczach:

— Anulku! ja szczęściem twojem jestem szczęśliwy.

— Alem ja smutkiem twoim smutna — odpowiedziała.

— To przejdzie, moje życie, jestem niezdrów, nic więcej. Ale mnie o nic nie pytaj i jeżeli mnie kochasz, nic nie mów mamie i babuni, że mnie widzisz smutnym i niezdrwym.

Wtem dał się słyszeć turkot i kocz stanął przed gankiem. Z początku rumieniec okrył twarz panny Anny, bo myślała, że to jej narzeczony, ale gdy zajrzała w okno i spostrzegła otyłego mężczyznę, któremu lokaj pomagał, zawołała:

— Ach! to podobno prezes z Szyszkowiec! zkądże się to wzięło? — i pobiegła do kancelaryi dać znać ojcu.

Na te słowa siostry zerwał się pan Józef. Dziwne myśli tłumem opadły jego głowę i nadzieja jakaś ożywiła jego piersi. Kontent był, że siostra odchodząc nie spojrziała na niego, boby się była wszystkiego domyśliła, tak nagle, tak widocznie wszystko, co czuł i myślał, wybiło się na jego twarzy. Już



nył cokolwiek ochłonał, gdy ojciec wyszedł ze swego pokoju i rzekł:

— Józiu! wyjdź i poproś tu tego szczególnego gościa.

Zbliżył się pan Józef do drzwi, otworzył je i skłonił się grzecznie wchodzącemu prezesowi. Prezes, cokolwiek zażenowany, oddał mu ukłon i szedł, przechylając się ku gospodarzowi domu, który stał na środku pokoju i patrzył poważnie na zbliżającego się gościa. Prezes podał mu rękę i rzekł:

— Panie sąsiedzie, winienem ci podziękowanie i korzystam z tej sposobności, chcąc bliższą z panem moim zabrać znajomość.

Panu Józefowi w oczach się zaćmiło, a gospodarz, uśmiechnąwszy się, odpowiedział:

— Nie wiem, czem mogłem pana prezesa dobrodzieja zobowiązać, i prawdziwie nie poczuwam się do żadnej przysługi. Ale niech pan prezes raczy usiąść.

Usiadł prezes, splótł tłuste swe rączki na brzuchu, zaczął zwolna obracać palcami i rzekł znów:

— Jezus Maryja! jak to w życiu naszym wszystko mądrze urządzone. Nawet przypadek napozór nieprzyjemny może się na coś dobrego przydać. Gdyby moja córka nie była ugrzęzła z powozem i nie doznała od pana dobrodzieja ratunku i pomocy, byłbym zapewne pozbawiony tej przyjemności, jaką sobie obiecuję z bliższego zapoznania się.

Wpatrzył się w niego pan Hipolit Starzycki, a pan Józef widząc, że mu należało wyprowadzić ojca z ambarasu, przystąpił bliżej i rzekł:

— Kochany ojcze! aktorem w tej małej scenie, którą, widzę, pan prezes wyżej ceni, niż warta, byłem ja.

— Ty? — odpowiedział ojciec, spojrzawszy bystro na syna, który się zaczerwienił — i niceś mi o tem nie wspomniał?

— Dowód, że to uważał za rzecz drobną

i nie wartą wspomnienia. Obowiązkiem było mężczyzny dać pomoc damom znajdującym się w niemilem położeniu.

— Ale też i obowiązkiem jest ojca podziękować za pomoc daną córce—odpowiedział prezes, patrząc z przechyloną głową na młodego człowieka, i puściwszy swe palce prędszego młynka.

Skłonił się młodzieniec, a prezes, zwracając się do ojca, rzekł:

— Ale jak syn pana dobrodzieja zmężniał. Prawdziwie byłbym go nie poznał.

— Nie wiem, czyś go pan dobrodziej gdziekolwiek widział—odpowiedział ojciec. — My żyjemy samotnie, nie bywamy nigdzie i mało kogo widzujemy u siebie.

— Wiem, wiem—rzekł prezes—a właśnie i zato przy zdarzonej dziś okazji chciałem się z panem dobrodziejem trochę wyklócić. Jezus, Maryja! Czy to między sąsiadami nie można zrobić wyboru?

— Szczupły majątek — odpowiedział pan Starzycki — wymaga czasu i pracy, a drobne gospodarstwo daje tyle kłopotu, że do odwiedzin nie zostawia ani swobodnej myśli, ani swobodnej chwili.

— Im więcej w las, tem więcej drew, panie kochany—mówił prezes. — Im większe gospodarstwo, tem więcej kłopotu. Ci tylko marnują czas, którzy marnują bez rozwagi to, co im ojciec zostawił. Kto się dorabia tak jak ja i pan dobrodziej, to równie zajęty, choć ma trochę więcej, lub trochę mniej. A przecież, widzisz pan dobrodziej, znalazłem chwilę i pragnę szczerze, abyś ją i pan dobrodziej znalazł.

Uchylił głowę ojciec, a synowi serce rozrywało piersi. Prezes, spojrzawszy na Anusię, która siedziała przy oknie z robotą, dodał:

— To zapewne córka pana dobrodzieja.

Anusia powstała zaczerwieniona i dygnęła.

— Panienska z takim wychowaniem — dodał prezes ciszej — jakie odebrała w tak patryarchalnej

rodzine i od takich rodziców, nie musi tu mieć kompanii w Czaplincach.

— Moja córka — odpowiedział pan Hipolit, któremu to wszystko niezmiernie dziwnem się wydawało — kompanii nie potrzebuje. Dla ubogiej dziewczyny najlepszymi towarzyszkami są matka i praca.

— Jezus, Marya! — odpowiedział prezes — pan dobrodzieju jesteś człowiek surowy; ale młodość ma swoje prawa i swoje potrzeby, które nam starszym wydają się cokolwiek dziwnymi, bo prędko zapominamy, żeśmy i sami byli młodzi.

— Sądzę — odpowiedział pan Hipolit — że mąż, którego jej Bóg daje, będzie mi wdzięczny, że ja przyuczyłem cenić dom nad wszystko i towarzystwo familijne przenosić nad wszystkie kompanie.

— Więc panienka wychodzi za mąż? a wiesz, wiesz — rzekł prezes, a potem, przechyliwszy głowę, dodał: — Jako ojciec, zazdroszczę panu dobrodziejowi, że już wybrał dla swego dziecka dożgonnego towarzysza i zapewne z tą przezornością i uwagą, która cechuje wszystkie czynności pana dobrodzieja. Ja jeszcze nic nie postanowiłem, nic z pewnością nie wiem, co czeka moją jedynaczkę. Nie mały to ciężar na głowie ojca.

— Przy piękności i takim posagu, to kłopot niewielki — odpowiedział nasz gospodarz.

— Jezus, Marya! — zawołał prezes — tak to się zdaje. A tymczasem ja wiem, jak to trudno się zdecydować, bardzo trudno. Mamy my wprawdzie projekty, ale jak to pójdzie, to Pan Bóg lepiej wie.

Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał nasz bohater. Oddech tamował się w jego piersiach, twarz mieniła się co moment, i na koniec przy ostatnich słowach prezesa okryła się śmiertelną bledością. Widziała to siostra, która od niejakiego czasu nie spuszczała z niego oczu i z domyślnością kobiecego serca odgadła wszystko.

Zabawił jeszcze czas niejaki prezes, mówił o go-

spodarstwie, admirał porządek pana Starzyckiego i dziwił się, jak u niego wszystko w porę zasiano, skoszono i zebrano. Potem, podziękowawszy raz jeszcze panu Józefowi i oświadczywszy powtórnie chęć bliższego poznania się, wyszedł, wyprowadzony przez naszego gospodarza. Na ganku spotkali dziadzia, który wracał z ogrodu z krzywym nożem w ręce. Uchylił czapkę swą staruszek i odpowiadał ze staroświecką grzecnością, w której widać było owe nalogowe uszanowanie szlachcica dla wielkiego pana.

— Zazdrościć można wielmożnemu panu dobrodziejowi takiego zdrowia w tak późnym wieku — rzekł prezes.

— Świeże powietrze i praca, jasnie wielmożny prezesie — odpowiedział starzec.

— A może i polowanie — dodał prezes.

— Już nogi nie służą, jasnie wielmożny prezesie. Kaczkibym jeszcze strzelał, gdyby było gdzie, ale u nas tu nie ma stawu.

— Mój w Szyszkowcach na usługi — odpowiedział prezes — bardzo proszę. A jeszcze z takim psem — dodał, patrząc na Amora, i chciał go pogłaskać. Pies warknął, spojrzął w oczy swemu panu i na dany znak, mrużąc, cofnął się i ułożył przy jego nogach.

— Zły i karny, to bardzo dobrze — rzekł prezes, cokolwiek nie kontent, że mu się z psem nie udało. A powtórzywszy zaproszenie na staw i ukazując, z której strony najwięcej kaczek, wsiadł i pojechał.

Wrócili wszyscy do pokoju. Dziadzio chwalił grzecznego pana i zaraz nazajutrz wybierał się na kaczki. Pan Hipolit był zamyślony, i choć go cokolwiek ujęło obchodzenie się prezesa, ale nie mógł dojść, z kąd się to wzięło, i nie chciał wierzyć, aby w tem nie było jakichś ukrytych zamiarów. Anusia tylko odgadła wszystko. Gdy pan Józef został

sam w pokoju i oparłszy się o piec, stał pogrążony w myślach, przystąpiła do niego nagle i rzekła:

— Józiu! ty kochasz Kamilę?

— Cicho! — zawołał i położył rękę na jej ustach.

— A widzisz, niedobry bracie, napróżność się ukrywał. Ale ja ci coś więcej powiem...

— Co możesz powiedzieć?

— To, że i ona ciebie kocha...

— Anusiu! — zawołał pan Józef, chwytając siostrę za rękę — zkądże ty wiesz?

— Czyżby inaczej prezes nas odwiedził? Czyż to nie robota córki jedynaczki, która wszystko robi z ojcem, co chce, i która pewnie tego chciała?

— Anulku, Anulku! Oh, gdybyś ty mówiła prawdę!

— Czyżbym i ja tak nie zrobiła, gdybym miała władzę nad ojcem i gdybym kochała?

Uściskał pan Józef domyślną dziewczynę i wybiegł na ogród szukać świeżego powietrza, tak gwałtownie biło jego serce, tak je cisnęło to postanowienie: Bądź co bądź, muszę ją widzieć.

## VI.

Prezes wrócił do domu, sapiąc po tej łaźni, którą odbył, i czując się w duszy upokorzonym przez zimne i poważne przyjęcie ubogiego szlachcica. Mimo całej zręczności, panna Kamila nic nie mogła z niego wydobyć i widziała wyraźnie, że był zły i niekontent. Nazajutrz po obiedzie, gdy leżała sobie na szeslongu, przewracając jakąś książkę, a ojciec, siedząc w swoim krześle i trawiąc suty obiad, wspominał coś zogródka o panu Henryku Podziemskim, dał się słyszeć turkot, zajechała sześciokonna karetka

i dano znać, że pani Włodzimierzowa Podziemska z synem przyjechała. Zbladła panna Kamila jak ściana, przypomniała sobie onegdajszą rozmowę z pełnomocnikiem ojca, przeleżała się, czy nie naprowadziła ich na zgubną dla siebie drogę i czy nie stanie się ofiarą swojej własnej chytrności. Ta zmiana jej twarzy była tak widoczną, że ją spostrzegł prezes, i tłómacząc, jak zwykle tłómaczymy zrazu wszystkie wypadki, to jest stosownie do życzeń, rzekł, śmiejąc się:

— Jezus, Marya! Czegoż się tak się zmieszala? O wilku mowa, a wilk tu. Nie spodziewałaś się takiej siurpryzy. Idź, popraw trochę toaletę i przychodź.

Kontenta była panna Kamila z tego rozkazu i wyszła z sercem ściśnionem, aby odetchnąć cokolwiek i ułożyć twarz do przyjęcia nowych gości.

Oto jest powód tak niespodziewanego zjawienia się pani Włodzimierzowej. Rok temu dama ta, przyciśniona przez jakiegoś niecierpliwego kredytora, udała się do prezesa z prośbą o pożyczanie pięćdziesięciu tysięcy. Nic nie mogło bardziej ucieszyć naszego zdobywcę, jak ta propozycja, tembardziej, że dług ten oparty był na wiosce przylegającej do jego Żurawki, i mógł ją tym sposobem wprowadzić w granice swej posiadłości. Ułożył się więc z owym wierzycielem, zyskał ustępnego kilka tysięcy, i dostał oblig zakładowy na tej wiosce z terminem rocznym. Wtenczas to zrodziła się w głowie prezesa myśl posunięcia jeszcze dalej swoich zaborów i zabezpieczenia wszystkiego przez związek panny Kamili z panem Henrykiem Podziemskim, dziedzicem obszernego, chociaż obdużonego majątku.

Za pośrednictwem Szlomy ponabycwał prezes niektóre jeszcze skrypty pani Włodzimierzowej, na każdym z nich zarobili oba i tym sposobem cały dług prezesa na tej pani wynosił już przeszło dwa kroć; przy porządku i gospodarstwie byłby to ciężar

niezbyt wielki. Ale pani Włodzimierzowa, kobieta w gruncie niezła, lecz ze skrzywionem wychowaniem, w nic wchodzić nie chciała: raz, że jako księżniczka z domu, wyszła za szlachcica w tej wierze, że skarby jego niewyczerpane i poczytywała za rzecz ubliżającą swemu urodzeniu zajmować się takimi drobiazgami; powtóre, że z komisarzem i ekonomami trzeba było mówić po polsku. Wołała więc pozwolić im robić, coby się im podobało, niż zadawać sobie przykrość w mówieniu językiem, którego nie umiała i nie lubiła, i częstą konwersacją z ludźmi tak ordynaryjnymi zepsuć sobie piękną francuską pronuncyację.

Synek, wychowany w tychże samych zasadach, prawdziwy jednak, wypieszczony, wychuchany, a przez winę matki i jej przesadzoną miłość, welinowy panicz, czytał tylko francuskie romanse, złe i dobre, *intra parenthesis* praktykował pierwsze na fraucymerze mamy i także w nic nie wglądał. Tym sposobem rzeczy doszły do takiego stanu, że z dochodów wielkiego majątku wpływało tyle, ile potrzeba było na wystawne utrzymanie domu, ale na opłacenie procentów, na potrzeby gospodarstwa, na podatki i t. d. nigdy pan komisarz nie miał pieniędzy. Widział się więc zawsze w konieczności zaciągania nowych długów, w oczekiwaniu wyższych cen na zboże i wódkę, których teraz za bezcen zbywać nie radził.

Pani Włodzimierzowa, mając wszystkiego dostatek, mając kredyt u Szafnagla i u żydków krzemienieckich, żyła sobie wspaniale i bez troski, dogadzając i miękcząc coraz bardziej synka, wierząc w swoje państwo, pozwalając komisarzowi zaciągać nowe długi, i spodziewając się ryczałtem zapłacić wszystkie, gdy produkty pójda w górę. Nie wiedziała ona o tem bynajmniej, że na jej tokach stało więcej słomy, niż zboża, a w kufach więcej było wody, niż wódki.

Ale prezes znał doskonale stan interesów tej pani. Wiedział on, że zastraszywszy ją terminem obligu zakładowego i innymi skryptami, które już dawno ekspirowały, zmusi do chętniejszego przyjęcia propozycji, jaką już jej przed półrokiem przez trzecią robił osobę, a na co się wówczas pani Podziemska skrzywiła.

Urodziwszy się bowiem księżniczką, uważała prezesa za gorszego jeszcze szlachcica, niż był jej mąż, któremu nigdy tego darować nie mogła, że ją oblekł w szlachecką skórę, i to tylko miała na widoku, ażeby i w następnem jej pokoleniu znajdowała się koniecznie mitra, choćby tylko sterczała na kądzieli.

Na nieszczęście, w okolicy księżniczek dojrziałych nie było i pani Włodzimierzowa w pretensjach swoich cokolwiek zmiękła.

W takim usposobieniu zastał ją wczoraj list prezesa, posłany w skutek rozmowy Szlomy z panną Kamilą. Prezes kontent, że córka wchodzi w jego widoki i jak on, przejęta jest ambicją rozszerzenia i zaokrąglenia swoich posiadłości, wziął za dobrą monetę to, co chytra panienska udawała przed Szłomą. Chociaż wątpił, aby taka cacana laleczka, jak pan Henryk, mogła się jej podobać, że jednak sama napomknęła o tem żydowi, wnosil, że jako nieodrodne dziecko, zajęta jest nie romansami, ale realniejszą korzyścią połączenia dwóch takich majątków. Z tego względu i sam wrócił żarliwie do pierwszej swojej myśli.

Ale że prezes nie robił nigdy rzeczy wprost i otwarcie, nie czyniąc żadnej wzmianki o tem, co go najmocniej iuteresoowało, w liście swym wyraził tylko, że termin obligu zakładowego minął, że inne skrypty także już dawno przeszły zakres w nichznaczony, że procenty za lat kilka wielkie narosły, że on gwałtownie potrzebuje pieniędzy, że w żaden sposób czekać nie może i nie będzie. Przeprosiwszy

więc, że z powodu swoich niecierpiących zwłoki interesów, naznacza tylko tydzień czasu, prosi najniżej w świecie, aby mu w przeciągu tego tygodnia przysłała dwakroć czterdzieści siedem tysięcy.

Przelekła się pani Włodzimierzowa, przesyłając list i spostrzegłszy tak ogromną sumę, przy końcu pięknie wykaligrafowaną. Chociaż nie dbała, wierząca, że na swojej mitrze wypłynie, jak w arce, z powodzi długów, chociaż zagłębiona w Balzaku i innych koryfeuszach ówczesnej literatury, czuła to jednak, że to suma za wielką, że jej pewnie nie ma w gotowiznie i że kłopot i wstyd sprzedaży publicznej tuż za nią. Kazała zatem zawołać komisarza, a gdy wszedł, pani Włodzimierzowa, w jednej ręce trzymając „Fizyologię małżeństwa,” a w drugiej list prezesa, zapytała.

— Czy ma pieniądze?

— Nie mam, jasnie wielmożna pani—odpowiedział komisarz, jękając się, co zawsze czynił, gdy łągał przed panią. Niceśmy jeszcze nie sprzedali, drogi tak niegodziwe, że żadnej dostawy zrobić nie można, nawet żaden kupiec nie przyjeżdża, wszystko z powodu dróg, jasnie wielmożna pani.

— Niech czyta — rzekła pani Włodzimierzowa, podając mu niedbale list prezesa, a sama wróciła tymczasem do Fizyologii.

Zapewne czytelników moich uderzyły wyrażenia: *Czy ma? Niech czyta!* i tym odpowiednie, które im także może zdarzyć się słyseć: *niech siada, czy był? czy widział? czemu nie je?* i t. d. Są to sposoby mówienia niektórych pań naszych z domu księżniczek i nie-księżniczek, gdy mówią do niższych, to jest do takich, którym nie chcą powiedzieć „pan,” a którym nie śmia powiedzieć ty.

Pani Włodzimierzowa, wychowana bardzo dobrze po francusku, ale najgorzej po polsku, w chwilach złego humoru używała tego sposobu mówienia nawet do męża, którego naturalnie uważała jako niż-

szego od siebie. Nieraz nieboszczyk pan Podziemski odszedł, ruszywszy ramionami, gdy mu żona rzekła migrenowym głosem: — Niech tak nie stuka butami, niech tak nie hałasuje po szlachecku! niechże mi da pokój ze swemi karesami! i t. d.

Gdy komisarz skończył list, zamyślił się i zafrasował. Pani Włodzimierzowa, spostrzegłszy to, zapytała:

— No i cóż mi powie?

— Powiem jasnie wielmożnej pani — rzekł już, nie jękając się, że to bardzo źle. Takiej sumy nie dostaniemy nigdzie.

— A cóż zrobi?

— Co jasnie wielmożna pani każe.

— Niech poradzi — rzekła, zakładając nożyk ze słoniowej kości w książkę.

— Jabym poradził... ale nie śmiem.

— Niech śmie — dodała, wychodząc cokolwiek z tej arystokratycznej apatii.

— Jasnie wielmożna pani przypomina sobie, że prezes robił propozycje względem swojej córki.

— Jego ojciec był komisarzem — rzekła, krzywiąc się.

— Cóż ztąd?—odpowiedział, cokolwiek obrażony pan komisarz; ale majątek prezesa wart więcej, niż milion, w gotowiznie prezes ma więcej, niż pół miliona, a na długach więcej, niż trzykroć.

— Innej rady dać nie umie?

— Nie, jasnie wielmożna pani. Pożyczyć nie ma gdzie, a za tydzień prezes nas opublikuje. A wtedy jeszcze gorzej, nikt nie da ani stu złotych.

— Dobrze; niech idzie! — dodała, kiwnąwszy głową.

Komisarz skłonił się i wyszedł, a pani Włodzimierzowa zawołała:

— Henri! Henri!

Z przyległego pokoju wyszedł młody człowiek, niewielkiego wzrostu, blady, wycieńczony, w krótkim

surduciku aksamitnym, w takiejże czapeczce, z drugim tomikiem „Fizyologii” w ręce. Czarne jego oczy były przymglone, twarz miała wyraz jakiejś niedbałości o wszystko, ale razem i wyraz cierpienia.

— *Qu'y a-t-il, maman?* — zapytał z jakimś nerwowym drganiem.

— *Sais tu, Henri, que je veux te marier, mon enfant?* — rzekła z wyrazem miłości macierzyńskiej, który twarz jej niebrzydką czynił jeszcze ładniejszą.

— *Eh bien!* — odpowiedział syn, potrząsłszy głową — *comme vous voudrez.*

— *Une brune piquante et jolie* — rzekła matka.

Syn nic nie odpowiedział, tylko jakiś uśmiech bolesny przebiegł po jego ustach.

— *Mais elle n'a pas de naissance, mon ami,* prosta szlachcianka.

— *A!* — odpowiedział pan Henryk, jakby sobie coś przypomniał. — *Vous dites maman?*

— *Je dis, mon cher, qu'elle est riche. Veux tu savoir son nom?*

— *Oh! cela m'est égal* — odpowiedział z tem samym drganiem w całym ciele, obrócił się i poszedł napowrót krokiem niepewnym i chwiejnym.

— *Charmant garçon!* — pomyślała matka, patrząc za odchodzącym. Co za szkoda, że Sanguszkówna jeszcze mała — i ułożywszy się znów na kanapie, wróciła do Fizyologii.

Nazajutrz jednak, przeczytawszy jeszcze raz list prezesa i rozmówiwszy się znów z panem komisarzem, gdy się przekonała, że to nie przelewki, nie czekając więc, aż Sanguszkówna wyrośnie, kazała zaprządz konie i pojechała z synem do Szyszkowic.

Prezes przyjął ją z grzecznością układną i zimną, która wcale nie pokazywała, jak był kontent z jej przybycia. Rzucił okiem na pana Henryka, który, chociaż ubrany według wszelkich reguł gustu i ostatniej mody, miał jednak postać zbiedzoną, maniery niedbałe, a twarz jakby zaspaną i cierpiącą.

Nie spodziewał się prezes, aby taki konkurent mógł się podobać jego córce i zwątpił o swoich planach, czekał jednak, jakie też wrażenie zrobi na nim panna Kamila, której już od lat kilku nie widział ani syn, ani matka.

Weszła na koniec panna Kamila, ubrana skromnie, ale jaśniejąca całą pięknnością swojej wyniosłej postaci i pełnych wyrazu rysów. Twarz jej była surowa, przywitała ona panią Włodzimierzową poważnie, spojrzała na młodego człowieka z góry z jakąś dumą i jakby politowaniem; na wszystkie pochwały matki z okazji jej tak wielkiej zmiany na awantaz nie uśmiechała się bynajmniej, lecz odpowiadała lub ironicznym spojrzeniem, lub kilku słowami seryo, które pokazywały całą niestosowność tych pochwał.

Zmieszało to cokolwiek panią Włodzimierzową, a szczególnie prezesa, który spoglądał na córkę, dawał jej znaki, aby była grzeczniejszą i weselszą, ale ona nie rozumiała go wcale. Po pewnej przerwie, w której wszyscy zdawali się zażenowani, pani Włodzimierzowa zaczęła mówić o gospodarstwie, co zwykle czynią wielkie panie nasze, gdy się znajdują w domu szlacheckim. Ale i to się wkrótce urwało, bo znajomości jej w tym względzie były bardzo ograniczone, a prezes odpowiadał półgębkiem.

Ze zmieszaniem coraz wzrastającym pani Włodzimierzowa spoglądała na syna, w którym dziwną i nagłą spostrzegła zmianę. Jakoż młody ten człowiek, uderzony zjawieniem się panny Kamili, zachwycony wyrazem poważnym tej pięknej twarzy, ruchami pełnymi gracyi tej okazałej figury, przejęty do żywego tym głosem dźwięcznym i słowami choć seryo i bez uśmiechu, ale okazującymi bystry rozum, sam nie wiedział, co się z nim zrobiło. Przyjechał zimny, obojętny, prawie zaspany, w zamiarze czysto posagowym, a tymczasem spostrzegł istotę wyższą, której wejrzenie jedno przerodziło go zupełnie. Oko jego ożywiło się, lice okrył delikatny rumieniec, uło-

żenie niedbale i zpańska wzgardliwe znikło, usiadł przyzwoicie i skromnie i śledził każdy jej ruch i każde słowo w cichej kontemplacji.

Zmartwiła się pani Włodzimierzowa, że jej syn wygląda jak student, i gdy się pokazała panna Beldeau, wystrojona, wyzłocona, wylańcuszkowana, puściła się z nią, dla pociechy i pokazania się, w dyskurs francuski o nowych książkach, a potem o domach książęcych i hrabiowskich, w których Francuzka przebywała i z czem, naturalnie, nie omieszkała się popisać. Tym sposobem pani Włodzimierzowa spodziewała się ożywić rozmowę i otworzyć pole synowi, aby także pokazał, co umie. Chciało się jej także wyciągnąć na francuszczyznę pannę Kamilę dla przekonania się, jaką też przyszła synowa ma pronuncyację i czy jej kiedy nie narobi wstydu. Ale ani jedno, ani drugie nie powiodło się jej zupełnie. Panna Kamila, jak na złość, odzywała się tylko po polsku, a pan Henryk milczał, lub także tym tylko językiem przemawiał.

Nareszcie pani Włodzimierzowa, chcąc skrócić tę pierwszą wizytę, zwróciła się do prezesa i rzekła:

— Mamy jeszcze pomówić o interesie:

— Mamy, jeżeli się pani podoba—odpowiedział prezes przy wolnym obrocie palców.

— Pójdziemyż do jego gabinetu, a ci państwo tymczasem zagrają.

— A pójdźmy—rzekł prezes, powstając i wskazał jej drogę do gabinetu.

Pani Włodzimierzowa, przechodząc koło syna, szepnęła mu:

— *Henri! vous avez l'air d'un niais*—i poszła, nie uważając, jak zadrżał młody człowiek, jak się zaczerwienił i zmieszał.

Ale prezes, który śledził wszystkie jego ruchy od początku pokazania się córki, zrozumiał, że wrażenie było odpowiednie jego chęciom i postanowił stosownie działać i mówić.

Gdy weszli do gabinetu i usiedli, ona na kanapie, a prezes w swoim krześle, przez kilka minut trwało milczenie. Pani Włodzimierzowa nie wiedziała, od czego zacząć, a prezes wyprostowany, trzymając ręce na brzuchu, kręcąc powolnego młynka, przechylił głowę i czekał, co powie. Nareszcie pani Włodzimierzowa rzekła złą polszczyzną, której wszakże w całej tej rozmowie imitować nie będę, bo to rzecz przykra, upokarzająca i niezabawna:

— Pan do mnie pisał.

— A! pisałem — odpowiedział, nie zmieniając bynajmniej pozycji.

— Czyż to podobna, aby pan prezes przy tak pięknym majątku i takim gospodarstwie potrzebował pieniędzy?

— Jezus, Marya! któż nie potrzebuje pieniędzy? każdy ma swoje spekulacje, zamiary, każdy dźwiga jakiś ciężar, który go gniecie. Dochody nasze nie odpowiadają wydatkom, nie nagradzają pracy. Pani widzisz, jak ja ciasno mieszkam, bo dom mój niedokończony, takich mebli, jak te, paniby u siebie w przedpokoju nie postawiła, a ja muszę je cierpieć, bo na kredyt nie biorę ani u kupców, ani u rzemieślników, a gotowizny niema, niema — powtórzył, westchnąwszy i przechylając więcej głowę.

— A! przecież mój komisarz mówił mi, że pan prezes masz więcej, niż pół miliona w gotowiznie.

— A! pani komisarz — odpowiedział prezes, patrząc w sufit — to musi być człowiek rozumny i przezorny; ale widać, że lepiej wie, co się dzieje w majątku pani, niż w mojej szkatulce. Ja wprawdzie długów nie zaciągam i nie mam; a u nas to rzecz rzadka, że kto tylko nie odłużony, to mu zaraz dają milion, lub pół miliona gotowizny. Jezus Marya! — dodał, głęboko westchnąwszy — żebym ja miał pół miliona gotowizny!

— Więc pan prezes nie zechcesz mi zaczekać?

— Nie zechcesz? nie zechcesz? któż o tem mó-

wi, że nie zechcę? — odpowiedział, kiwając pobożnie głową. — Jakbym ja nie chciał przysłużyć się tak zacnej damie, jak pani? Uczucia chrześcijańskie każą nieść pomoc sąsiadom; głos silny podnosi się w sercu za każdym, co się do mnie ucieka; to też robię, co mogę, bo u mnie sumienie przedewszystkiem. Niech pan komisarz pani rozpyta się u biednej szlachty czaplinieckiej, jak gotów jestem każdemu dogadzać, choć nie widzę, zkądby się mogli niektórzy z nich uścić. Ale ja na to nie uważam, ryzykuję, bo mała strata mnie nie zuboży, a nie spalbym spokojnie, gdyby sąsiad wyszedł odemnie z zasmuconą twarzą. Ale tym razem, mimo najgorętszej chęci—dodał, głęboko wzdychając—dogodzić pani nie mogę.

— Dlaczegoż ja jedna mam być wyłączona z liczby tych sąsiadów, którym pan prezes tak chętnie niesiesz pomoc?

— Dlaczego? — odpowiedział, kręcąc palcami—dlatego, żeś pani bogatsza odemnie. Obowiązek sumienia każe mi być gotowym do wsparcia tych, co rzeczywiście potrzebują, a nie tych, co rają nadto.

— Ale czyż ja mam nadto? mój komisarz mówił mi, że gotowizny nie mamy wcale, a pożyczyć teraz nie ma u kogo.

— A, pani komisarz—odpowiedział, dając wolniejszy obrót palcom.—Ja komisarza nie mam i sam wiem dobrze, przejrawszy swoje rachunki, że czekać nie mogę. Komisarz to rzecz ładna i dobrze brzmi, alem ja wyrzekł się tej wystawy, sam gospodaruję i sam wchodzę we wszystko, i widzę to doskonale, że oblig zakładowy skończony, że na innych skryptach procentów kilkadziesiąt tysięcy, że tracę dużo na pani, obywatelce dwa razy bogatszej odemnie, i krzywdę robię biednym, z których nie jednemu mógłbym łyzy otrzeć. Komisarzby mi tego wszystkiego nie powiedział, bo co jemu do mojej duszy, i coby mu to szkodziło, że robiąc ulgę pani, obciążylbym się śmiertelnym grzechem. Niech mnie Pan

Bóg od tego uchował u mnie sumienie przedewszystkiem.

Widziała pani Włodzimierzowa grubą i niezgrabną hipokryzyę, ale nie chcąc irytować prezesa, udała, że tego nie spostrzegła i rzekła, przycisnąwszy wargi:

— Mnie się zdaje, że sumienie powinoby panu cokolwiek powiedzieć i za wdową, która sama rady sobie dać nie może i którą zapewne oficjaliści oszukują.

— Jezus Marya! — syknął prezes. — Wdował wdowa! wszak pani jesteś kobieta i Polka, a to wiadomo, że polskie panie, kiedy chcą, to mają dziesięć razy więcej rozumu i charakteru od nas. Gdybyś pani chciała się zająć, tobyś wiedziała, że panią durzą, że pożyczają bez potrzeby, że obiecują pani opłatę długów wtenczas, jak ceny się podniosą; a ja pani powiadam, że jak się doczekamy wysokich cen, to wtenczas pani powiedzą, że niema nic do sprzedania, bo ziarno myszy zjadły, a wódka wyschła ze szczętem.

— Pan prezes przestraszasz mnie. Mój komisarz wcale mi tego nie mówił.

— A, pani komisarz!—odpowiedział.—Ja komisarza nie mam, i panibyś dobrze zrobiła, żebyś go także nie miała. Ale to nie moja rzecz, ja tylko to wiem, że czekać nie mogę.

— Poradz-że mi pan, co mam robić?

— Najmędrsza rada pochodzi od własnego rozumu—odpowiedział.—Wszak masz pani dorosłego syna, który mógłby być gospodarzem, kiedy sama pani nie chcesz być gospodynią.

— On taki delikatny i ma inne widoki—odpowiedziała pani Włodzimierzowa.

— Jezus Marya! — rzekł, podnosząc głowę — szlachcic polski jest za delikatny do roli, do gospodarstwa? A do czegoż on przeznaczony? Czy nie do



tego, żeby leżał w aksamitnym szlafroku na jedwabnej sofie i czytał francuskie książeczki?

— Sądzę — rzekła, czerwieniąc się z niecierpliwości — że wychowanie... że wychowanie mojego syna do interesu naszego nie należy.

— Tak i ja sądzą — odpowiedział, kręcąc zwolna palcami i patrząc w sufit — dlatego zechcesz mi pani stanowczo odpowiedzieć, czy mi w tym tygodniu przysłesz pieniądze, czy nie?

— Zkądże ja wezmę, kiedy mi mówią, że niema?

— To już nie moja rzecz — odpowiedział, i patrząc zukosa na znękaną kobietę, dodał: — obowiązek sumienia nakazuje mi nie marnować posagu mojej córki i zabezpieczyć i tę jego cząstkę, którą mam u pani, procedurą sądową i opieką praw.

— Panie prezesie! — rzekła wreszcie z westchnieniem pani Włodzimierzowa — czy nie moglibyśmy tego interesu innym sposobem załatwić?

— Jakże to? — odpowiedział, zastanowiwszy obrót swych palców i słuchając z uwagą. — Pani może zamiast gotowizny chce mi dać bilety bankowe? I owszem, ja je przyjmę.

— Gdybym je miała, dawnobyś pan był zaspokojony — rzekła dumnie pani Włodzimierzowa.

— To wielka szkoda, że pani ich nie masz — odpowiedział zimno i znów umilkł, czekając, co powie.

— Pan przypominasz sobie ową propozycję, którąś mi robił przez marszałka? — rzekła nareszcie z rezygnacją.

— Jezus Maryja! czy ja mogę sobie wszystko przypomnieć? ja mam tyle interesów na głowie.

— Mój syn ma lat dwadzieścia trzy, a córka pana prezesa zapewne dziewiętnaście? — rzekła, zmuszając się do uśmiechu.

— Tak jest, siedemnastego grudnia skończy lat

dziewiętnaście — odpowiedział prezes naiwnie, uchyłając głowę.

— Mnie się zdaje — rzekła złamanym głosem — że mój syn byłby w stanie podobać się pannie Kamilli, gdybyś pan pozwolił mu starać się o jej rękę?

— Jak pani mówi? przepraszam, nie dosłyszałem — rzekł zimno i szydersko.

— Ja mówię, żebyśmy mogli dzieci nasze połączyć i proszę pana prezesa, aby pozwolił synowi memu mieć nadzieję.

Poprawił się prezes w krześle, zaśmiał się i rzekł do zmieszanej tem jego poruszeniem i śmiechem pani Włodzimierzowej:

— A, ponieważ pani z tej beczki zaczynasz, to przemówię i ja teraz do pani innym językiem. Proszę mnie posłuchać z uwagą, nie przerywać, a jak skończę, odpowiedzieć, co się podoba i zrobić, jak się będzie zdawało.

— Słucham pana — odpowiedziała cichym głosem.

— Przed pół rokiem — mówił prezes zupełnie innym głosem i tonem — robiłem pani propozycję, to prawda. Ja, szlachcic taki sam, jakim był mąż pani, jeden z pierwszych urzędników w gubernii, dawałem migdalikowi pani dziewczynę piękną, edukowaną, ze zdrowem ciałem i zdrową duszą, i której sytuacja, jeżeli jeszcze kilka lat pożyje, wyniesie do dwóch milionów. Zrobiłem to dlatego, że syn pani zdawał mi się chłopcem dobrym i niegłupim, chociaż go pani wypieściła, zepsuła, źle chowała i zamiast mężczyzny, zrobiła z niego lalkę cukrową. Zrobiłem to dlatego, że majątek pani zdawał mi się podobnym do uratowania, gdybym się w to wdał, a połączony z moim, stanowiłby wielkie dobro, któreby postawiły nasze dzieci w rządzie pierwszych panów na Wołyniu. Była to propozycja uczciwa, użyteczna i korzystniejsza dla państwa, niż dla mnie. Ale pani nie mogłaś zapomnieć dwóch rzeczy: raz,

żeś się urodziła księżniczką, powtóre, że mój ojciec był w służbie u wielkiego pana. Skrzywiłaś się na mój projekt i nie przyjęłaś go. Był to błąd, za który panią okoliczności ukarały i przywiodły do tego upokorzenia, że teraz robisz mi tę samą propozycję jaką ja pani pierwszej robiłem. I tak zawsze <sup>bywa</sup>. Gdybyś pani więcej zajmowała się praktyką życia naszego społecznego, a mniej urojonemi wypadkami francuskiego świata, tobyś pani była wiedziała, że z dobrej okoliczności należy zaraz korzystać, kuć żelazo póki gorące, bo zdarzenia uciekają, jak woda, i wrócić ich nie można, jak dnia wczorajszego. A teraz, gdym powiedział, co mi ciążyło na sercu i co pani przydać się może nadal, oświadczam, że synowi pani starać się o rękę córki mojej pozwalam, lecz kładę następujące warunki:

1) Że wtenczas dopiero pozwolę na ten związek, gdy moja córka sama tego zechce. Nie widzę bówiem żadnej potrzeby zadawać gwałtu jej sercu, a przytem wiem dobrze, że to nie taka kobieta, aby ktokolwiek bądź, a nawet ojciec, mógł jej zaimponować.

2) O zwrot należitości mojej teraz nalegać nie będę i jeżeli ten związek przyjdzie do skutku, zniszczę te obligi zupełnie. Ale nim to nastąpi, a czy nastąpi, nie wiem, wymagam: abyście mi państwo na sto pięćdziesiąt tysięcy znajdujące się w tych skryptach i na pięćdziesiąt tysięcy procentów, wszystkiego na dwakroć, wydali obligi zakładowy na Zabokrzyce, przylegające z drugiej strony do mojej Żurawki, z terminem także rocznym.

3) Jeżeli córka moja oświadczenie syna pani przyjmie, dasz mi pani natychmiast plenipotencję na rządzenie majątkiem pani, który gwałtownie potrzebuje ratunku i który zacny komisarz pani przyprowadzi wkrótce do ostatecznej ruiny. Teraz powiedziałem wszystko i czekam odpowiedzi.

Przez cały czas tej twardej perory siedziała

biedna kobieta z nachyloną głową, a lzy upokorzonej i złamanej dumy kapały na jej suknię. Widział to prezes, ale ani głos jego nie zmiękł, ani ton się nie zmienił. Gdy skończył, długo jeszcze pani Włodzimierzowa milczała, nareszcie otarła oczy, podniosła bladą twarz i rzekła:

— Jestem matka, jeżeli to ma być z dobrem mego syna, zgadzam się na wszystko. Byłeś pan twardym i niedelikatnym dla kobiety słabej i może zaślepionej, ale zdolnej panu przebaczyć tę chwilę, jeżeliś pan był szczerzym pod koniec naszej rozmowy, niż z początku, i jeżeli w tem, co ma nastąpić, dasz dowód tego sumienia, o którym tyle razy i z takim przeniknięciem mówiłeś. Jutro przyślij pan kogo do ułożenia żądanych obligów, a teraz pójdźmy zobaczyć, co dzieci nasze robią.

To powiedziawszy, powstała z godnością i odebrała Prezes nawzajem upokorzony tak niespodzianym znaleźnieniem się kobiety, którą chciał zniweczyć, spłótł prędko tłuste swe rączki, puścił palec szybkiego młynka i przechyliwszy głowę, szedł za nią.

## VII.

Gdy weszli do salonu, uderzył ich następujący widok. Przy fortepianie stała panna Beldeau i brzdąkając jedną ręką po klawiszach, śmiała się i mówiła coś do pana Henryka, który jej nie słuchał. Oparty o fortepian, z założonemi rękami i z twarzą jak trup błądą, stał biedny młodzieniec odwrócony od gada tliwej Francuzki i patrzył z natężeniem na pannę Kamilę. Panna Kamila siedziała na krześle bliżej stołu, w ułożeniu pełnem powabu. Głowa jej była zwrócona ku stojącemu obok niej mężczyźnie, z którym mówiła, twarz jej jaśniała radością, oczy i usta

wdzięcznie się uśmiechały, ręka oparta o stół igrała z lokami, a lewa nóżka w eleganckim trzewiczku, cokolwiek wyciągnięta naprzód, leżała na grzbiecie ślicznego legawca, który się u nóg jej zwinął. Ze owym mężczyzną był pan Józef, a owym legawcem był Amor, dzielający instynktem jego uczucia, tego łatwo się czytelnicy domyślą. Jak się zaś ta grupa ułożyła, to potrzebuje opowiedzenia.

Gdy prezes z panią Włodzimierzową wyszli, trwało przez niejaki czas milczenie. Panna Kamila odrazu spostrzegła, jakiemu wrażeniu uległ młody człowiek, i z okrucieństwem kobiety nie żądającej hołdu, jakiego jest przedmiotem, postanowiła dręczyć nowego swego adoratora i, jak się domyślała, pretendenta do swej ręki. Słyszała ona cokolwiek od marszałkowej, wspólnej sąsiadki i wiedzącej wszystko, jak ów młody człowiek był wypieszczony i wychuchany, jak go matka trzymała zawsze pod bokiem, jak do lat dziesięciu nie dawała mu noża do rąk, że by się nie skaleczył, jak go nie kazała uczyć ani łacińskiego języka, ani matematyki, że był delikatnego zdrowia, jak później nigdy nie pozwalała mu wsiąść na konia, żeby nie upadł, nie dała do rąk ani strzelby, ani pistoletu, żeby się nie zastrzelili, nie pozwoliła za nic kapać się ani w rzece, ani w stawie, żeby się nie utopił, jak go kazała tylko praktycznie nauczyć po francusku, trochę geografii i historii przez konwersację z guwernerem, a później od piętnastego roku życia pozwoliła mu karmić się samymi tylko romansami, aby się bawił, nabywał z nich znajomości świata i ładnych obrotów języka. To okropne wychowanie zniszczyło wszystkie zdolności i wrodzoną energię młodzieńca i dało mu jakąś sztuczną niedołężność, z którą się nie urodził wcale. Powiększyło ją jeszcze wyniszczenie fizyczne, przez obrazy, któremi nabita była jego imaginacja i przez związki tajemne, o których biedna matka nie wiedziała bynajmniej.

Silna moralnie i fizycznie, piękna i żywa panna, nie mogła bez pewnego rodzaju wzgardy i wstrętu patrzeć na biednego niedołęgę, który, jak słaba roślina zwraca się do słońca, aby zaczerpnąć od niego siłę i życie, zatopił w niej wzrok i całkiem się zapomniał. Wstręt ten, jakim ją przejął, postanowiła mu dać odczuć i rzekła niezmiernie seryo:

— Czy pan nie chory?

— Nie, pani—odpowiedział, czerwieniąc się—nigdy nie byłem zdrowszym.

— Pan musi nadto oddawać się pracy, która wyniszcza zdrowie pana. Jakież są nauki, nad którymi pan tak zawzięcie pracuje? Słyszałam, że pan niezmiernie lubi matematykę i wyłącznie się jej oddaje. Bardzo to ładnie i dla mężczyzny rzecz konieczna, ale ja sędzę, że to musi być praca nudna i zabijająca.

Wszystko to mówiła zwolna, z przyciskiem, i nie okazując bynajmniej, że mówi nieprawdę. Każde jej słowo uderzało go jak młotem; blednąc i czerwieniąc się naprzemian, słuchał jej ze spuszczonei oczyma; gdy umilkła, podniósł głowę, uśmiechnął się boleśnie i odpowiedział:

— Pani mi za wiele czynisz honoru; ja matematyki nie znam wcale.

— To może pan tak zagłębiasz się w łacinie? Belciu! jak się nazywa ten poeta rzymski, o którym czytałyśmy niedawno? Jego imię coś tak brzmi, jak kasztan we francuskim języku. Pan nie pamięta? — zapytała prędko, zwracając się do bladego jak ściana pana Henryka.

— Nie wiem — odpowiedział cichym głosem — o czem pani chcesz mówić.

— Pan gra? — zapytała znów, powstając i idąc do fortepianu. — Oto partytura „Normy”. Może pan i śpiewa?...

— Lubię muzykę — odpowiedział, idąc za nią

i opierając się na instrumencie, bo czuł, że ledwie stoi na nogach—ale nie śpiewam. Mam zbyt słabe piersi. Pani nie raczy spróbować?

— Zachryplam, jak pan słyszysz. Dużo dziś przed obiadem jeździłam konno, a powietrze było cokolwiek za chłodne. — Potem, patrząc mu bystro w oczy, dodała: — Pan zapewne ma dzielne konie i lubi tego rodzaju rozrywkę? Co to musi być za rozkosz dla mężczyzny, kiedy dosiadzie śmiałego i ognistego wierzchowca, kiedy poczuje się panem dzikiego i szlachetnego zwierzęcia, które napróżno szarpie mocną ręką, co go prowadzi, i wreszcie pyszni się zręcznością i siłą tego, co go ujarzmia i więzi! O! my kobiety, jeżeli pozwalamy sobie mężkich uciech, to i w dziesiątej części ich nie doznajemy. Nam potrzeba, aby koń był doskonale ujeżdżony, powolny jak dziecko, miękki i słaby jak kobieta. A to mdła rozrywka, to wszystko jedno, co kanapa na sprężynach. Nieprawdaż, panie? Pan podobno ma dzielne konie wierzchowe ze stajni sławuckiej?

Dobila tem zapytaniem niemilosierna dziewczyna biednego młodzieńca. Wolał skłamać, niż przyznać się, że nigdy w życiu na koniu nie siedział. Spuściwszy więc oczy, odpowiedział:

— Nie wiem, z jakiej stajni pochodzą, ale mam parę dobrych koni.

— A polowanie pan lubi? Co to musi być za ukontentowanie? Tyle razy z płaczem prositam ojca, aby mi pozwolił nauczyć się strzelać, a nie mogłam tego wyprosić. Jaki pan szczęśliwy—dodała z przyciskiem—żeś mężczyzna, że zręczność tego rodzaju, której nam, nie wiem dlaczego, bronią, jest obowiązkiem każdego z panów i istotną częścią ich edukacji.

— Tak, ma pani rację—wyjąknął biedny młodyk z rozpaczą w sercu i nie wiedział, co dalej z sobą zrobić i gdzie schować oczy, do których cisnęły się łzy upokorzenia. Szczęściem, dał się sły-

szyć turkot i wyprowadził go z ambarasu. Panna Kamila spojrzała w okno, gwałtowne drżenie ją schwyciło i twarz jej pobladła. Odwróciła się więc co prędzej, aby tego nikt nie zauważył, a panna Beldeau, poznawszy także przez okno przybyłego gościa, zaczęła zaraz śmiać się głośno i opowiadać po francusku panu Henrykowi przygodę, z której ich ten pan wyratował.

Wkrótce wszedł pan Józef, cokolwiek blejszy i mizerniejszy, niż był przed trzema tygodniami, ale postać jego wysoka i męzka, czoło szerokie i białe, wyraz twarzy energiczny i śmiały, stanowiąc uderzający kontrast z bladym i znękanym panem Henrykiem, wlały radość i szczęście w oczy panny Kamili i serce jej napełniły miłością i dumą. Spojrzał pan Józef wokół, rzucił okiem na swego współzawodnika, stojącego przy instrumencie z założonemi rękami i zatrzymał się chwilę przy drzwiach. Panna Kamila, jakby odgadła jego myśl, postąpiła parę kroków naprzód i wyciągnęła ku niemu rękę. Posunął się ku niej młodzieniec i wzajemne, lekkie ścisnienie dało im poznać, że się nie zapomnieli. Gdy pan Józef, schylając się z uszanowaniem, podaną sobie ręką całował, panna Kamila rzekła:

— Powinnabym, doprawdy, gniewać się na pana, żeś nas tak długo pozbawił przyjemności podziękowania za przysługę, jakiej doznałyśmy w naszej przygodzie. Nieprawdaż, Belciu?—dodała, czerwieniąc się—żeśmy często mówiły o tem, coby się było z nami stało, gdybyś pan był nie nadjechał.

Zaśmiała się Francuzka, jak zwykle, i potwierdziła słowa panny Kamili.

— Nie mogłem dotąd—odpowiedział zmieszany pan Józef—korzystać z zaproszenia pani, i tem wdzięczniejszy jestem—dodał głębszym głosem—żeś pani nie zapomniała jeszcze tak drobnej przysługi. Czy zastałem pana prezesa w domu?

— Mój ojciec jest w swoim gabinecie, i w ten

moment zapewne wyjdzie. Interes, o którym z mamą pana mówią — dodała, zwracając się do pana Henryka — musi być panu wiadomy. Czy potrwa długo? Pan nie wie?

— Prawdziwie, że nie wiem, o co idzie — odpowiedział, czerwieniąc się, pan Henryk i zwrócił się do panny Beldeau, która nie przestawała z nim gadać, chociaż jej prawie nie słuchał i tylko półgębkiem odpowiadał. Teraz widząc, że panna Kamila więcej zajęta jest nowym gościem, niż nim, puścił się w długą rozmowę o jakimś romansie Koka. Tymczasem panna Kamila zaczęła wypytywać pana Józefa o siostrę, o rodziców, o dziadka i babkę. Iskrzyły się od radości oczy młodzieńca, gdy spostrzegł, że zna jego rodzinę, że widać ją to interesowało, że się musiała wypytywać. Gdy jej odpowiedział na wszystkie zapytania, idąc ku oknu, rzekła do postępującego za nią młodzieńca:

— Gdyśmy się pierwszy raz widzieli, zgadłam, jeżeliś pan tego nie zapomniał, w którym domu w Czaplincach rodzice pana mieszkają. Teraz wiem wszystko już i znam każdą osobę, która składa rodzinę pana.

— O dziękuję, stokroć dziękuję pani za to interesowanie się — odpowiedział, patrząc na nią z rozrzwinięciem i miłością.

Spojrzała mu w oczy i spostrzegłszy łzę, co jak kropla rosy zawisła na jego długich rzęsach, zmieszała się zupełnie i poszła prędko do okna. Ale wkrótce splesnęła rękami i zawołała panny Beldeau:

— Belciu! Belciu! patrz, wszak i ten śliczny pies tego pana z nim tu przyjechał. O! niechże go pan pozwoli zawołać do pokoju. Nieprawdaż, Belciu, co to za piękne stworzenie?

I nie czekając odpowiedzi pana Józefa, którego to cokolwiek zażenowało, czuł bowiem nieprzyzwoitość wizyty z psem, który bez jego wiedzy za nim

wśląd przybiegł, otworzyła okienko, wyjrzała na dziedziniec i zawołała głośno:

— Amor! Amor!

Pies leżał spokojnie na bryczce, ale gdy usłyszał ten głos, podniósł głowę, zestrzygł uszami, spojrział bystro, z kądyby wychodził, a gdy poznał twarz i powtórzono wołanie usłyszał, jednym susem stanął na ganku, wpadł do przedpokoju, i mimo opozycji Ignacego, na którego groźnie warknęła, zaczął stukać do drzwi salonu. Podbiegła panna Kamila i otworzyła mu. Wszedł pies, kręcąc ogonem, spojrział bystro w oczy swemu panu, i przyłożywszy piersi do ziemi i warując, przyczołgał się do nóg panny Kamili.

— Patrzcież państwo — zawołała uradowana — co to za rozumne i wdzięczne stworzenie! Raz tylko pogłaskałam go i nie zapomniał mi tego. No! wstań już, wstań, pocziwy piesku — dodała, i gdy Amor posłuszny powstał, przyklekła z gracya, objęła jego szyję i głowę jego głaskać i karesować zaczęła, a spojrzawszy wdzięcznie na pana Józefa, którego szczęście wybiło się na twarzy, zwróciła raptem mowę do pana Henryka i rzekła:

— Panie Podziemski, pan, co lubisz polowanie, musisz i psy lubić! Nieprawdaż, co to za przepyszne zwierzę! a jakie karne i łaskawe! Chodź pan, pogłaszcz go!

W całym domu pani Włodzimierzowej nie było ani jednego psa, żeby który Henryczka nie ukąsił. Bał się więc psów pan Henryk, nie z natury, ale z nieoswojenia. Wszakże wszystkie upokorzenia, których dziś doznał, obudziły w nim jakąś odwagę rozpaczcy. Przystąpił bliżej, pochwalił Amora i chociaż ręka jego drżała, głaskać go zaczął. Mruknął pies, po całym ciele pana Henryka przeszło zwykłe jego nerwowe drganie.

Panna Kamila uśmiechnęła się, a biedny młodzieniec, spostrzegłszy ten szyderski uśmiech na jej

ustach, westchnął, zacisnął ręce, i wróciwszy na swoje miejsce, oparł się o fortepian. Już więcej nie powiedział pannie Beldeau, która, nie zważając na jego milczenie, ciągle trzepała i śmiała się.

Panna Kamila usiadła koło stołu, wsparła, jakżeśmy powiedzieli, lewą nóżkę na grzbiecie Amora, który legł przy jej nogach, i rzekła ciszej do rozmazanego i uszczęśliwionego młodzieńca:

— Pan nie chciałeś do nas przyjechać, nieprawdaż? Potrzeba było, żeby mój ojciec pierwszy zrobił znajomość.

Pan Józef milczał, spuściwszy oczy, a panna Kamila mówiła dalej:

— I gdyby mój ojciec nie dał się być do tego skłonić, byłby pan wcale nie przyjechał?

— Więc moja siostra miała rację! więc zgadła! O, mój Boże!—rzekł pędkiem, trąc ręką czoło.

— Cóż to ołgadła ta dobra siostra pana?—zapytała panna Kamila, patrząc na niego z wyrazem pełnym miłości.

— To, to, że pani przyczyniłaś się do tego szczęścia, jakie mi zrobiły odwiedziny ojca pani.

Spuściła oczy, twarz jej oblał rumieniec i nic nie odpowiedziała.

— Prawdaż to? O, niech mnie pani uszczęśliwi tem słowem!

— Pokłoń się pan serdecznie ode mnie swojej siostrze — odpowiedziała, spojrzawszy na niego przenikliwie.

Zadrzał do gruntu duszy młodzieniec, chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili drzwi gabinetu otworzyły się i weszła pani Włodzimierzowa i prezes.

Biedna kobieta, znękana rozmową z chytrym i twardym zdobywcą, przestraszona bladeścią swojego jedynaka, spojrziała podejrzliwie i dumnie na pannę Kamilę i pięknego młodzieńca, który stał obok, i poszła prosto do syna.

— Co tobie, Henryku?—zapytała go ciszej.

— Nic wcale—odpowiedział prawie z gniewem.

— Bądź gotów, zaraz jedziemy.

Ale panna Kamila, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na ojca, który się zmarszczył, nie chcąc się wydać ze swojemi uczuciami, z całą dyplomacją kochającej kobiety pobiegła do pani Włodzimierzowej i najśliczniejszą francuszczyzną rzekła:

— Słyszę, co pani mówi. O, proszę nie robić tej krzywdy mnie młodej gospodyni. W ten moment podadzą herbatę. Jeszcze pani za widna przyjedzie do domu. Nieprawdaż, panie Henryku?—rzekła z najśliczniejszym umizgiem — pan uprosi mamę, aby się nie śpieszyła?

Zajaśniały oczy biednego młodzieńca, twarz jego się ożywiła i zarumieniła, i matka, zdetonowana grzecznością panny Kamili i spojrzeniem syna, który ją błagał, została. Panna Kamila odprowadziła ją do kanapy, usiadła przy niej, i z niewypowiedzianą żywością, wdziękiem i uprzejmością prowadziła rozmowę.

Tymczasem pan Józef przystąpił do prezesa, złożył mu uszanowanie od ojca, który dla pilnego interesu przymuszony był wyjechać do Konstantynowa i sam służyć mu nie mógł.

Z początku prezes zimno się odklonił i kilka słów odbąknął; ale, widząc zabiegi panny Kamili koło pani Włodzimierzowej, jej dobry humor, jej grzeczność dla pana Henryka, udobruchał się, oddalił od siebie myśl przykrą, która go na widok rozmowy córki z panem Józefem uderzyła, i grzeczniej z nim rozmawiać zaczął.

— Niech-no papa patrzy—rzekła panna Kamila—co to za prześliczne zwierzę.— Pójdź tu, Amor!

Amor zbliżył się i położył głowę na jej kolanach.

— Widziałem go już — odpowiedział, krzywiąc się prezes.—Ale coż on tu robi?

— Ach, przepraszam kochanego pape, żem go

zawołała z powozu pana Starzyckiego, gdzie sobie spokojnie leżała. Wiem, że papa nie wielki amator, ale ja jakoś w tym względzie odrodziłam się od papy, za co spodziewam się papa niemniej mnie kocha—dodała z umiechem.—A przytem chciałam pokazać go panu Henrykowi który w tej mierze gust mój podziela. Nieprawdaż, panie Her.ryku?

— Najzupełniej—odpowiedział młody człowiek, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, a chcąc dać dowód, że tak jest w rzeczy samej, przystąpił do Amora i zaczął go zwolna głaskać. Ale ręka jego drżała i twarz widocznie pobiadła. Wytrzeszczyła na to oczy pani Podziemska, nie wiedząc, co się zrobiło synowi, a nim zdołała słowo wymówić, pan Józef rzekł:

— Mnie się zdaje, że najprzyzwoitsze dla niego miejsce będzie na dworze i na bryczce; i jeżeli pani pozwoli, każę mu wyjść precz.

— O, niech pan to zrobi—rzekła, składając ręce pani Włodzimierzowa.

— Amor! do koni—zawołał pan Józef.

Spojrzał pies na pana, potem na pannę Kamilę, jakby czekał potwierdzenia rozkazu.

— Idź, idź, poczciwy piesku, kiedy cię wypędzają.

Usłuchał natychmiast, a gdy podano herbatę, zasiedli wszyscy około stołu i zaczęła się zwyczajna rozmowa.

Panna Kamila była tak wesola, tak uprzejma dla matki i syna, że odurzyła ich i ujęła zupełnie. Gdy wyjeżdżali, prosiła o powtórzenie odwiedzin. Zaproszona wzajemnie, okazała gotowość i obiecała przyjechać z ojcem. Ale gdy prezes odprowadził gości do sieni, wbiegła napowrót do salonu i podając rękę panu Józefowi, rzekła drżącym głosem:

— A pan przyjedzie?

Nie mógł słowa wymówić uszczęśliwiony mło-

dzieniec; ścisnął tylko mocno podaną sobie rękę i do ust przytulił

— Szczególniej nie zapomnij pan pokłonić się ode mnie siostrze. O, jakbym rada ją poznać!

Gdy pan Józef powrócił do domu i wszedłszy do pokoju, zastał siostrę samą jedną, schwył ją w objęcia tulił do siebie z uniesieniem i wołał:

— Anulku, Anulku! tyś podobno zgadła!

## VIII.

Pan Ignacy Zahorowski, przyszyły zięć państwa Starzyckich, posiadał o mil cztery od Czaplincek małą wioseczkę, z której mógł wyśmienicie utrzymać siebie i żonę. Na początku lata spostrzegł był raz w kościele pannę Annę. Podobała się skromna i ładna jej powierzchowność, słyszał wiele dobrego o tym zacnym domu, i w tem przekonaniu, że przykład i wychowanie musiało ją i moralnie wykształcić na kobietę uczciwą, dobrą i uległą, postanowił tentować szczęścia. Wymyślił więc sobie interes, jakieśmy powiedzieli; potem otwarcie napisał do ojca, że mu się córka jego podobała, że szuka w niej tylko dobroci, przywiązania i obyczajów, a nie posagu, i prosi o pozwolenie bywania w ich domu. Pozwolenie, jak wiemy, nastąpiło; lepsze jeszcze zachęcenie, które wyczytał w oczach panienki, poszło za tem, a wszystko skończyło się zaręczynami, jak nam to panna Anna w rozmowie z bratem opowiedziała.

Gdy pan Józef przybył do Czaplincek, wtenczas pana Ignacego nie było w okolicy. Pan Ignacy pojechał za Żytomierz do stryja, który mieszkał w powiecie Owruckim. Stryj ten był głową ich rodziny, i młody człowiek, dawnym, szanownym obyczajem nie chciał przedsiębrać tak ważnej czynności w życiu, nie mając błogosławieństwa najstarszego z ro-

dzeństwa. Wszakże zbliżał się już moment jego powrotu i Anna coraz była niespokojniejsza.

W kilka dni po bytności pana Józefa w Szyzkowcach wieczorem cała familia zgromadzona była w pokoju. Dziadzio właśnie skończył opowiadanie jakiegoś zdarzenia w domu pani Kurdwanowskiej, starościny baranowskiej, wszyscy jakoś umilkli, a panna Anna, która siedziała przy oknie i patrzyła, zapomniawszy się zupełnie, głośno wzdychać zaczęła. Dziadzio w ten moment zaczął śpiewać:

Zostawię ja ciebie  
Temu, co jest w niebie;  
Za roczek, za drugi  
Powrócę do ciebie.  
A jak nie powrócę,  
Listy będę pisał:  
Ty będziesz płakała,  
Ja nie będę słyszał.

— Daj-że jej asan spokój z temi piosneczkami, bo się doprawdy rozplacze—rzekła babunia.

— Nie, babuniu droga!—odpowiedziała, krzepiąc się panienska. — Ja wiem, że teraz jesień, droga zła, i pan Ignacy choćby chciał to nie może się pośpieszyć.

— Ej, moja dziewczeczko — rzekł dziadzio—gdyby chciał, toby pośpieszył. Jakem się za młodu wybierał w pewną podróż, o której asindzka nie powinnaś wiedzieć — dodał, głaszcząc żonę — a było to w późnej jesieni, to pani Kurdwanowska, starościna baranowska, powiedziała mi: A dokąd-że to wasan w taką bezdroż pojedziesz? Ja uśmiechnąłem się i zaczerwiniłem, a ona mi na to: Aha, wiem, niema złej drogi do swojej niebogi. No, jedź wasan, jedź.

— To dziadzio myśli doprawdy, że pan Ignacy nie chce pośpieszyć?

— Myślę i bardzo myślę—odpowiedział z udaną powagą.

— Dlaczegoż to, proszę dziadzi?

— Boś go rozgniewała; jabym to samo zrobił—dodał seryo.

— Jakże to, mój dziadziu?—zapytała panienska, przyskakując do staruszka i karesując go.

— O, jak? a pamiętasz, jakieś się z nim żegnała, powiedziałaś mu: bądź pan zdrow, panie Ignacy! On cię prosił, abyś mu powiedziała: bądź zdrow, Ignasiu! nie chciałaś.

— Czy tylko to?—rzekła uspokojona.

— Oho, albow to mało! Poprawże się, jak wróci, ja ci szczerze radzę—i zaczął śpiewać:

Przeprós Kasiu Jasia,  
Boś go rozgniewała,  
Jak go nie przeprosisz,  
Nie będziesz go miała.

Zaledwie skończył, gdy dał się słyszeć turkot. Panna Anna krzyknęła, i w tejsze chwili otwarły się drzwi, i wbiegł młody człowiek, całował kolana babki, ręce dziadzi i rodziców, i stanął przed narzeczoną, nie mogąc słowa wymówić od szczęścia i radości.

— Uściskaj go, uściskaj kureczko! — krzyknął dziadzio ze łzami w oczach.

Rzuciła się w jego objęcia uradowana panienska i szepnęła mu do ucha.

— Drogi mój Ignasiu!

Przestroga dziadzi nie poszła w las, bo jakże miała nie usłuchać tak starego, tak poważnego człowieka?

Pan Józef i pan Ignacy znali się jeszcze w Krzemieńcu. Później zaś więcej z reputacyi uczciwości i dobrego prowadzenia się, niż osobiście. Panna Anna wkrótce odnowiła ich szkolną znajomość i radość w domu była powszechna. Cały tydzień przeszedł wesoło na rozmowie poufalej, na projektach umiarkowanych i nie przechodzących możliwości, na wspólnem wylaniu serc uczciwych, kochających i bezintereso-



wnych. Ślub odbył się skromnie i cicho w najbliższej parafii. Młodzi małżonkowie, którym dziadzio ustąpił swego pokoju, a sam spał w kancelaryi syna, zabawili jeszcze kilka dni u rodziców; i potem cała rodzina, z wyjątkiem ojca i babuni, którzy zostali w domu i później ich mieli odwiedzić, odprowadziła państwa młodych do Trawisk, wioski pana Ignacego. W krytej bryczce na resorach pojechała matka z córką; w bryczce pana Ignacego jechał dziadzio, a w najdyczance był pan Ignacy i pan Józef. W polowie drogi stanęli wytchnąć przed karczmą i dać koniom siana. Lecz zaledwie powysiadali z powozów, gdy zajechała karetą i prezes z córką i panną Beldeau, jadąc z rewizytą do pani Włodzimierzowej, stanął także przed karczmą. Pierwsza panna Kamila spostrzegła znajomą sobie najdyczankę i Amora, i nie czekając, co ojciec powie, krzyknęła:

— Ignacy, otwórz!

Zaledwie drzwiczki były otwarte, już pan Józef był przy karecie, podał rękę pannie Kamili, pomógł wysiąść prezesowi i pannie Beldeau i wszyscy poszli ku karczmie. Prezes powitał uprzejmie dziadzia, zarekomendował siebie i córkę matce, która się zdziwiła i zmieszala, gdy poczuła, z jaką uprzejmością, z jakim uczuciem ta panna okazała, piękna i bogata ścisnęła jej rękę; ale żadne słowa nie zdołała oddać tego wyrazu ciekawości, interesu i bojaźni, jaki malował się w oczach nieśmiałej i nieprzywykłej do obchodzenia się z wielkimi panami Anusi. Stała ona zdaleka obok męża i czekała, czy też do niej zwróci się, i jak ją przywita panna Kamila. Ale panna Kamila poszła do niej prędko i śmiało, wzięła jej obie ręce i rzekła ciszej:

— My się już znamy!

Zaczerwieniła się na te słowa młoda kobieta i lzy zakręciły się jej w oczach. Gdy prezes winował matce, gdy dziadzio rekomendował mu pana Ignacego, gdy pan Józef, spoglądając z radością na

uprzejmość kochanki dla siostry, zaczął rozmowę z panną Beldeau, korzystając z tego panna Kamila, wzięła pod rękę młodą kobietę i poszły wzdłuż karczmy. Sień była obszerna, próżna i czysta i można było po niej pospacerować. Gdy cokolwiek odeszły, Anusia, ściskając jej rękę, rzekła:

— Jaka pani dobra, że się tak z nami obchodzisz.

— Dlaczegoż mi pani to mówisz?—odpowiedziała panna Kamila, patrząc z miłością w tę błękitne oczy, zupełnie takie, jak u brata.—Wszak powiedziałam, że my się już znamy. Czyżbym się pomyliła? Pani, coś się domyśliła, że mój ojciec odwiedził was przeze mnie, nie domyśliłażbyś się reszty?

— O, panno Kamilo droga! mogłaby to być prawda?—zawołała w uniesieniu Anusia.

— Cicho!—rzekła panienska, oglądając się i tułac jej rękę do bijącego serca. — Nie nazywaj mnie panną Kamila. Tyś Anusia dla mnie, jam Kamilcia dla ciebie, myśmy siostry.

— O mój Boże, mój Boże! czyż ja spodziewałam się tak szczęśliwej chwili?—rzekła słabym głosem biedna kobieta, skłaniając odurzoną głowę na ramię panny Kamili.—O, gdyby mój biedny brat wiedział, jaki on szczęśliwy!

— Powiedz mi, Anulku, czy on mnie bardzo kocha?

— Możesz wątpić? możnaż ciebie inaczej kochać? Od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania waszego widziałem, że nieszczęśliwy, że stracił serce i spokój, że niepewność okrutna dręczy go i katuje.

— I nic ci nie mówił? nie przyznał się z niczem?

— O, droga Kamilciu! Ale Boże mój! jak mi dziwnie tak ciebie nazywać? Co to za szczęście? — rzekła, patrząc w te śliczne czarne oczy, w których lża, jak brylant, błysnęła.

— Cóż, Anulku, mów mi, mów o nim!

— Więc ty go kochasz?

— Kocham go — odpowiedziała panna Kamila, kładąc rękę na sercu; a potem, nachyliwszy się do ucha Anulki, szepnęła jej ciszej:—Kocham go bardzo, całą duszą, całym życiem, jakie jest we mnie. Ale mu tego nie mów.

— Ty mu sama to powiesz; on mi nie uwierzy, bo to dla niego nadto szczęścia.

— Sama mu powiem? Ach nie wiem, nie zdobędę się na to. Czekałam, jak zbawienia, żeby cię zobaczyć, ciebie, kobietę, kobietę kochającą, któraś odrazu serce moje odgadła, aby wylać przed tobą wszystko, co się tu zamyka, a tu tak wiele, mora droga Anulku, że się czasem piersi rozrywają. Bom ja sama, sama jedna, i niema żywej istoty, którejbym mogła co powiedzieć. O, on szczęśliwszy, on może mówić z tobą. Kiedyż on ci się przyznał?

— Widzisz, moje życie, on mężczyzna, silny duszą i ciałem i umie panować nad sobą. Widziałam, że cierpi, ale póki twój ojciec nie przyjechał do nas, milczał i cierpiał. Dopiero, jak od was wrócił, o! z jakim uniesieniem, z jakim szczęściem chwycił mnie w objęcia i zawołał: Anulku, tyś podobno zgadła!

— Podobno? — rzekła smutno panna Kamila — czyż on nie wiedział, co się we mnie dzieje?

— Daruj mu to. Trudno człowiekowi wierzyć świadectwu własnych oczu, kiedy szczęście lub klęska przechodzi wszelkie jego oczekiwania.

— Szczęście, szczęście! ach! kto to jeszcze wie, czy to nasze szczęście, czy niedola?... Ale precz z temi myślami—dodała, tuląc Anusię.—Na co ma nam dzień jutrzejszy zatruwać dzisiejszą chwilę, kiedy taka rozkoszna... bom ja teraz bardzo szczęśliwa, moja droga Anulku. Ale pójdźmy!

I poszły do kompanii. Na środku karczmy panna Kamila zatrzymała się i rzekła:

— Ach, byłabym zapomniała, Anulku! będzie my pisywać do siebie, nieprawdaż?

— O, będziemy, moja droga! Ale pozwolisz swoje listy pokazywać Józiewi?

Kiwnęła główką panna Kamila ze słodkim uśmiechem i poszły wesole z radosnemi twarzami. Gdy się złączyły z kompanią, pan Józef rzucił okiem na siostrę, i oczy jej wypowiedziały mu wszystko. Panna Kamila karesowała Amora; zbliżył się i rzekł jej ciszej:

— Dziękuję, dziękuję pan!

— Za co?—odpowiedziała, podnosząc na niego oczy, w których była cała jej dusza;—czy zato, że miałam szczęśliwą chwilę?

Byłby jej do nóg upadł, ale prezes nadszedł z dziadkiem i nic sobie więcej powiedzieć nie mogli.

Rozjechali się wkrótce, i łatwo sobie wyobrazić, jak długą, jak nieznośną wydała się ta droga panu Józefowi, który radby był pomówić z siostrą i dowiedzieć się, o czem rozmawiały.

Gdy się skończyła ceremonia powitania w domu nowej gospodyni, gdy się utuliły lzy matki i córki, gdy mąż oprowadził wszędzie żonę, i pełen szczęścia i radości zdał berło domowe w drogie jej ręce, gdy dziadzio, chodząc za nimi i stosowne piosneczki odśpiewując, nasprzeciwiał się do woli młodej mężatce, wtenczas dopiero Anusia, znalazłszy sposobny moment wykraść się z bratem do osobnego pokoju i opowiedziała mu wszystko.

Wielkie szczęście jest zwykle tak blizkiem wielkiej niedoli; każdy rozumny człowiek tak dobrze to czuje, że spełnienie najgorętszych życzeń naszych po krótkiej chwili napelnia serce smutkiem i trwogą. Tak się stało i z naszym panem Józefem. Gdy siostra skończyła opowiadanie, gdy się dowiedział, że kochany tak silnie, tak gorąco kochany, zbladł, jak trup, upadł na krzesło, zakrył twarz obiema rękami

i łyzy szczęścia, bólu i trwogi puściły się z jego oczu. Gdy podano wieczerzę, on nic w usta nie wziął; gdy wszyscy poszli spać, on chodził długo i marzył i myślał. Zmęczony wreszcie położył się, ale noc przeszła, dzień zajrzał w okna, przed którym krążyły obrazy niewypowiedzianego szczęścia, a za niemi rozdierające malowidła rozstania się, utraty i zapomnienia.

Tymczasem transakcja o kupno części państwa Pożyczkowskich wciągnięta była do akt, pieniądze wyliczone, intromisya wzięta. Pani Pożyczkowska, zabrawszy swoje dzieci drżące obok niej, i matki, pod które prezes kazał jej dać tyle podwód, ileby życzyła, wyjechała na mieszkanie tymczasowe do Szumsk, póki by się nie zdarzyła gdzie dobra dzierzawa. Wszedł więc prezes w posiadanie nowego dziedzictwa i, jak pająk, usiadł w samym środku Czapliniec, gotów po swojej sieci puścić się na wszystkie strony na pierwszą zdobycz, któraby mu się nawinęła. Gdy przytem i obliż zakładowy pani Włodzimierzowej otrzymał, i pewnym był, że się i ta wioska jemu dostanie, tembardziej zapragnął Czapliniec, które miały stanąć w samym środku jego rozszerzającej się majątności.

Ta podwójna chęć zawładnięcia tą wsią podwoiła i grzeczność jego dla domu państwa Starzyckich, których postanowił do pewnego czasu oszczędzać. Poznawszy bowiem rozum i przenikliwość pana Hipolita, bał się naprzód, aby ten nie ostrzegł swoich sąsiadów i nie odwrócił ich od pozbywania się swoich posiadłości; powtóre, chciał tą pozorną grzecznością dla jednego zamydlić oczy innym, wzbudzić ufność i okazać, że nie jest tak złym sąsiadem, jak o nim mówiono; nareszcie, mając zamiar różnemi drobnymi przykrościami dręczyć upornych, przyprowadzić ich do procesu i zmusić tym sposobem do wyrzeczenia się mająteczku i biedy, chciał oraz mieć pozór spra-

wiedliwości za sobą i pokazać, że z dobrymi żyje dobrze i w przyjaźni.

Wprawdzie mignęła mu była jakaś myśl zatrwająca, gdy wychodząc z gabinetu swego z panią Włodzimierzową, spostrzegł córkę w rozmowie z panem Józefem; ale panna Kamilla tak dobrze umiała potem ukryć swoje uczucia, tak na pozór obojętnie przywitała kochanka w karczmie, tak mało z nim mówiła, wygadawszy się serdecznie z jego siostrą, tak potem grzeczna była dla pana Henryka i jego matki w ich domu, że myśl ta zatarła się w głowie prezesa. Zniknęła ona z niej zupełnie, gdy chytra panienska w przejeździe przez wioski pani Włodzimierzowej odchwalić się ich nie mogła; zachwycała się ich położeniem, doskonałością gruntów, dodając, co by to był za majątek, gdyby był w ręku dobrego gospodarza.

Uśmiechnął się na to prezes, dziękował w duchu panu Bogu, że jego dziecię tak do niego podobne, i ogromny zamek zbudował na—lodzie.

Z tych tedy powodów, gdy pan Hipolit Starzycki, skłoniony przez ojca i żonę, ujętych uprzejmością prezesa w owej pamiętnej karczmie, ofuknięty nawet przez matkę, która, ulegając insynuacyom swego faworyta, wyrzucała mu niegrzeczność dla człowieka tak sprzedającego, i który został ich tak blizkim sąsiadem, zdecydował się nareszcie i z synem pojechał, przyjął go prezes z otwartemi rękami i nie wiedział prawie, gdzie go ma posadzić.

Panna Kamilla, spostrzegłszy przez okno zajeżdżającego pana Józefa, jak się domyślała, z ojcem, pobięła ku gabinetowi prezesa, dała mu znać, że ktoś przyjechał, a sama wyszła do swego pokoju, aby się cokolwiek uspokoić, utulić bijące gwałtownie serce i kochankowi dać czas obyć się i opamiętać. Przeczuwała ona, że musi wiedzieć o wszystkim i bała się raptownego spotkania, któreby ich w przytomności obojdwóch ojców zdradziło.

Po kwadransie rozmowy grzecznej, ale zwyczajnej, pan Hipolit Starzycki, spoglądając na wchodzącą pannę Beldeau, rzekł:

— Mam od mojej żony ukłon oświadczyć córce pana prezesa i od siebie podziękować za jej łaskawe obejście się z moją córką.

— Jezus Marya! — rzekł prezes — czyż to nie był jej obowiązek. Mając obligację dla brata, wiedząc jak ja szanuję rodziców, powinna była być uprzejmą dla córki. Tak ją wychowałem — dodał, wzdychając.

Gdy pan Hipolit nic nie odpowiadał, prezes tak dalej mówił:

— A przytem tak interesująca osoba, jak pani Zahorowska, nie mogła nie zająć mojej Kamilli. Jakże żałuję teraz, że tak późno się poznały, a poznawszy się, tak się oddaliły od siebie. Bardzo byłbym kontent z takiej kompanii dla mojej córki, bo osoba, w takim domu wychowana, jest zawsze użytecznym przykładem.

Znów nic na to nie odpowiedział pan Starzycki; pan Józef dla kontenansu przerzucał niby książkę, która obok niego na stoliku leżała, a prezes, zwracając się do panny Beldeau, dodał:

— Ale gdzież to Kamilcia?

— Zajęta w swoim pokoju — odpowiedziała guwernantka.

— Niech panna Beldeau będzie tak łaskawa i zawoła jej na moment.

— Jeżeli dla nas — rzekł seryo pan Starzycki — to niech pan prezes nie fatyguje panny Kamilli. Ja innym razem wypełnię swój komis.

Zastygło serce w piersiach pana Józefa, ale zagłębiwszy się w książce, nic po sobie nie pokazał.

— Bardzo się cieszę z tej obietnicy pana dobrodzieja — rzekł prezes — to mi daje nadzieję, że się częściej widywać będziemy. Ale jabyłem chciał po-

chwalić się przed sąsiadem swoją jedynaczką, której pan dobrodziej nie znasz.

— Nie miałem jeszcze tej przyjemności — odpowiedział zimno.

Tymczasem panna Beldeau poszła i po chwili otworzyły się drzwi i pokazała się panna Kamila. Na twarzy jej nie było uśmiechu, ale wyraz jakiś poważny i łagodny. Oczy jej patrzyły spokojnie, choć był powolny i pełen gracyi. Z dziwnem zajęciem spoglądał pan Starzycki na zbliżającą się z powagą okazałą panienkę; pan Józef powstał, trzymając się krzesła, bo nogi pod nim drżały, a panna Kamila, skłoniwszy się grzecznie i naturalnie ojcu i synowi, usiadła.

— Kamilciu! — rzekł prezes — pan Starzycki przywozi ci ukłony.

— Moja żona przypomina się pani — rzekł pan Starzycki — i ukłon przezemnie przesyła.

— Jakżem wdzięczna — rzekła uprzejmie — że pani Starzycka o mnie nie zapomniała. Jakżeście państwo dojechali wówczas, czy szczęśliwie? — dodała, obracając się do pana Józefa.

— Jak tylko można najszczęśliwiej — odpowiedział, nie śmiać podnieść na nią oczu.

— Mój Boże! — rzekła żywiej panna Kamila — jak ja żałuję teraz, że córka pana tak daleko mieszka. Raz tylko widziałyśmy się z sobą, a tak jakoś przystaliśmy do siebie. Czy panu nie mówiła o tem siostra pana? Jakaśmy się rozgadały, co to za miła rzecz takie spotkanie na tych nudnych popasach.

— Ja właśnie chciałem podziękować pani za tę uprzejmość, z jakąś pani ośmieliła moją córkę. Wychowana w samotności, prawdziwa wieśniaczka, nie wiem jak się znalazła.

— Zanadto pan ją surowo sądzisz. Naturalna, miła, bardzo interesująca osoba — rzekła panna Kamila. — Pan dawno wrócił od siostry?

— Już tydzień — odpowiedział pan Józef, spuszczać oczy.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz panny Kamili i wkrótce zniknął. Tak ciągnęła się rozmowa dalej. Panna Kamila najwięcej mówiła z ojcem, a synowi czasem tylko rzuciła zapytanie o gospodarstwie siostry, o jej zajęciach, czy będzie miała blisko jakie sąsiedztwo i t. d.

Wtem wszedł Ignacy i dał znać, że nową młocarnię przywieźli, i czeka przed gankiem.

— Aha, to ciekawa rzecz, bardzom kontent. Pan, co taki gospodarz, może zechce obaczyć—rzekł prezes podnosząc się.

— Z ochotą — odpowiedział pan Starzycki, i wyszli.

Zaledwie obaj ojcowie byli za drzwiami, gdy panna Kamila, spojrzawszy przenikliwie na pannę Beldeau, rzekła:

— Belciu! duszko! każ mi podać moją robotę i niech przyrządzają do herbaty.

Uśmiechnęła się Francuzka i poszła. Tylko co się za nią drzwi zamknęły, pan Józef był już u nóg panny Kamili, ścisnął jej kolana i wołał w uniesieniu:

— O! mój aniele, czym ja wart tego?

Rozmarzona panienka położyła obie rączki na jego głowie, ścisnęła ją, zaczęła igrać z jego włosami, a gdy on tulił do ust jej dłoń, nachyliła się, pocałowała go w czoło i rzekła słabym głosem:

— Wstań pan, wstań na miłość Boską!

Wstał więc, usiadł na swoim miejscu, i długo, długo patrząc na siebie, ani jednego słowa wymówić nie mogli.

— Nie masz pan nic od Anulki? — rzekła wreszcie panna Kamila.

Pan Józef podał jej bilecik. Otworzyła go prędko, zaczęła czytać; czytając wyciągnęła do niego rę-

kę, którą upojony młodzieniec tulił do ust i do serca. Gdy skończyła, rzekła:

— O! tak, to na zawsze! Ale bądźmy ostrożni. Usiądź pan tam.

Posłuszny jak dziecko, odurzony tą uroczą chwilą odszedł, usiadł i patrzył jeszcze, patrzył bez końca, jakby chciał przekonać się, że to nie sen, nie widziadło, które zniknie, gdy przyjdzie upamiętanie i ocknienie.

— Czytałeś pan to?... — zapytała panna Kamilla.

— Nie pani—odpowiedział.

— Pan, pani—rzekła z bolesnym uśmiechem.— Jak to teraz dziwnie brzmi. Ale nie trzeba nam się od tego oduczać. Anulka radzi nam ostrożność. O! i ma rację! Czy wiesz pan..

— Znów pan?—zawołał uniesiony młodzieniec, wyciągając do niej ręce. — Aniele mój! Kamillo droga! taki moment nie prędko się zdarzy.

— O! masz rację—odpowiedziała. — Raz tylko ci to powiem, mój jedyny. Ty, ty, ty, jesteś tu... i na zawsze.

— A teraz dosyć.

To powiedziawszy zerwała się, pobiegła do swego pokoju, i wkrótce ztamtąd wyszła panna Beldeau.

Gdy prezes i pan Starzycki wrócili od młocarni, zastali pana Józefa w obojętnej rozmowie z Fraczką.

— Gdzie to znów Kamilcia?—zapytał prezes.

— Głowa ją cokolwiek boli — odpowiedziała guwernantka, i prosiła o herbatę do swego pokoju.

Uśmiechnął się przenikliwy prezes i pomyślał:

— Znudziła się ze szlachcicem, jej to nie w głowie—i jeszcze grzeczniejszym był dla ojca i syna.

Podano wreszcie herbatę, przy której prezes opowiadał, kręcąc palcami i wzdychając, jakim sposobem z biedy przyszedł do posiadania części w Cza-

plincach, jak powodowany ludzkością uległ prośbom tych biednych ludzi i wybawił ich od kredytorów; jak teraz sam nie wie, co z tym kawalkiem ma zrobić, i zaproponował panu Starzyckiemu, aby od niego tę część odkupił, okazując się gotowym nawet stracić i rozłożyć mu na wyplatę na raty, jeżeliby nie miał tyle kapitału.

— Bardzo panu prezesowi dziękuję—odpowiedział pan Starzycki—ale ja nie mam nic prócz swojej części i części na Podolu, w której mój syn gospodaruje. Nie puszczam się nigdy na przedsięwzięcia, którym podołać nie mogę. Nie winienem nikomu ani grosza, i mam nadzieję, że żadnego długu dzieciom swoim nie zostawię.

— Admiruję, admiruję pana—odpowiedział prezes.—Jezus Marya! gdyby wszyscy sąsiedzi pana dobrodzieja tak postępowali i myśleli. Ale przykład taki, jaki im dajesz, nie działa na tych ludzi. A żal, żal! takie mająteczki, jakie mają, wystarczyłyby każdemu, ale trzeba się piędzą mierzyć, a tego rozumu Pan Bóg im nie dał. Wszyscy w długach.

— Każdy odpowiada za swoje postępowanie i życie—rzekł z powagą pan Starzycki—i los każdego z nas jest to ciągła konsekwencja naszych myśli i czynności.

— Jezus Marya!—rzekł prezes, wzdychając—jaka to święta prawda! I ja doznaję już skutków tego głupstwa, zem wlaź w niepotrzebne kupno. Ale cóż zrobić—dodał, kręcąc z wolna palcami i przechylając głowę—kiedy pan mnie wykupić nie możesz, niech już ta bieda zostanie przy mnie. Przynajmniej mam sumienie spokojne.

Zsunął brwi pan Starzycki, słuchając tych ostatnich słów i nic nie odpowiedział. Skończyła się herbata i pożegnali się uprzejmie. Prezes wymógł obietnicę częstszego widywania się, dodał, że ma się w niektórych rzeczach, dotyczących się gospodarstwa, poradzić tak biegłego znawcy, że go powiezie do

gorzelni, że chciałby mu pokazać swój browar i t. d.

Gdy pan Starzycki z synem wracali do domu, nic do siebie nie mówili. Ojciec, sam nie wiedząc, co sądzić o prezesie, rozważał i milczał. A syn? o! syn także milczał i bujał w siódmym niebie.

## IX.

Tymczasem prezes, który z biedy i jedynie przez ludzkość wlaź w posiadanie części państwa Pożyczkowskich, postanowił według planu z niej korzystać. Dla kilku chłopów osadzać ekonomia było niewarto, że zaś dworek był niezły, w samym środku wsi i na głównej ulicy, osadził więc w nim żyda. Żyd ten miał wódkę, miód, wiśniak, a nawet i wino; opatrzył się w stare fraki, niezupełnie zniszczone kapoty, płaszcze i t. d.; miał materyalne sukienki i chustki damskie, a pod wielkim sekretem znalazł i sztukę płótna i tytoń i muślin i tym podobne drobiazgi. Żydek to był niewielki, greczny i niezmiernie usłużny. Wódka jego była mocniejsza, lepszej miary i tańsza, niż u państwa Smyczkowskich i u pana Skrętskiego, wiśniaczek był doskonały, a wino z etykietami, co nadzwyczajnie ujęło pana Plachtę, jako rzecz niezmiernie „komilfo.“ W największy zaś fawor u wszystkich panów, a szczególnie u pań, wprowadziło Mordkę to, że nigdy nie zapytał o pieniądze, ale wszystko, co tylko kto chciał i ile chciał, dawał na kredyt. Z chłopami wszakże był ostrożniejszy, i im sprzedawał wódkę za gotowe pieniądze. Latwo się czytelnicy domyślą, że to był agent Szlomy, działający według jego i prezesa instrukcyi, że nic nie miał swego, ale wszystko należało do naszego Szejne Morejne, on zaś miał tylko procent od wyszynku i sprzedanych rzeczy.

Z początku wprawdzie nie podobała się ta nowość wielu panom. Szczególniej panowie Smycz-

kowski i pan Skrętski krzyczeli mocno i karali swoich chłopów, jeżeli który, zwabiony lepszą miarą, zawędrował do Mordki. Ale że Mordko ujął wszystkich, a szczególnie panie, nic nie pomogły wocyferacye dwóch zgodnych braci i rzeczy poszły swoim trybem. Tryb zaś ten był przewidziany przez prezesa. Znając naturę ludzką w ogólności, że się tentacyom trudno opiera, i znając naszą polską naturę w szczególności, że się im opiera mniej niż inne, wyrachował że podsunąwszy blisko wszystko to, czem chciał ich uwieść na pokuszenie, że ułatwiając nabycie nieograniczonym kredytem, łatwo wyprowadzi mieszkańców Czapliniec z granic umiarkowania, i już i tak obdłużonych jeszcze więcej pograży w długi.

Nie omylił się w swoich rachubach prezes. Gdy Szłoma umyślnie zaczął robić trudności, gdy pokazując to temu, to owemu sążnisty obrachunek, oświadczył, że więcej kredytować nie może, wszyscy rzucili się do nowego dobrodzieja, który okazywał największą gotowość, zaufanie, i oświadczył, że on im na tysiące zawierzy. Zapomniawszy więc o regestrach Szłomy, widząc, że u Mordki nic jeszcze nie ma lub mało, wyobrazili sobie nasi panowie, że nic nikomu nie winni i brali ryczałtem. A jak u nowego doktora wszyscy się chętnie kurują, czy zdrowi czy chorzy, tak i nasi obywatele schodzili się hurmem do nowego przekupnia i brali ile stało, czy kto czego potrzebował, czy nie. Pan Płachta pokrył wszystkie meble nową materyą i niezmiernie komilfo, pani Płachcina sprawiła dwie materyalne suknie, nowy beret, o który się Mordko nie wiedzieć zkąd wystarał, a korzystając z dobrej sposobności, że dawali darmo, wzięła u Mordki salopę z lisami, wprowadzie nie nową, ale jeszcze bardzo przyzwoitą. Ta salopa poprowadziła za sobą konieczność wyjeżdżania przyzwoiciej do kościoła i do sąsiadów, a zatem konieczność mienia krytych sani, które Mordko cza-

rownik jakby z pod ziemi wydobył. Nowe meble poprowadziły za sobą potrzebę dawania wieczorynek, tembardziej, że i panny Płachciny dostały po trzy pary nowych sukienek; ztąd i piwnica Mordki miała odbyć i wino z etykietami wyszło zupełnie.

Podobnie i pan Skrętski i panowie Smyczkowscy, przeprosiwszy się z Mordkiem, oporządzili się zupełnie. Panowie Zarzycki i Cepowski, przejrzawszy czego nie dostawało w ich domu i garderobie, pośpieszyli do Mordki; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, zapuściwszy dla postrachu panów Smyczkowskich i dla ujęcia panien Płachcianek, takie same wasy i bakenbardy, za pośrednictwem Mordki i dla większego złudzenia panienek, dostali i podobne czamarki. Słowem, każdy się śpieszył, każdy brał, każdy się ekwipował, każdy przy kupnie i wydawaniu rewersu wypijał wódkę słodką i gorzką, miód stary i młody, wino z etykietkami i bez etykietek. Bo czegoż mieli sobie żałować, kiedy to nic nie kosztowało, kiedy Mordko, poczciwy, nieoceniony Mordko dawał wszystko na kredyt? Takim to sposobem w przeciągu kilkunastu niedziel, kilkanaście tysięcy złotych na wszystkie prawie domy, oprócz państwa Starzyckich, Szłoma i prezes zapisali. Nikt wszakże nie domyślał się ani celu działania Mordki, ani źródła, z którego zawsze do niego tyle ładnych, tyle nowych rzeczy napływało.

Niektórzy z drobniejszej szlachty, mający po dwóch, po trzech i po czterech chłopów, zachęceni wspaniałością prezesa, który państwu Pożyczkowskim zapłacił za dusze więcej nawet, niż chcieli, i podmówieni przez nieocenionego Mordkę, który przy dobrym kieliszku tę myśl im poddał, udali się do prezesa i cząstki swoje sprzedali. Płacił im, co sami chcieli, robił wszelkie dogodności, koszty prawne brał na siebie, z długów Szłomy i Mordki strącał znaczną część, krzyząc na żydów, że biednych ludzi obdzierają i gromadził cząstkę do cząstki. Tym sposobem

właź pod bok panu Remigiuszowi Smyczkowskiemu, stanął za plecami pana Płachty, podsunął się pod oborę pani Biruckiej i pod toki panów Zarzyckiego i Skrętskiego. Żadnego wszakże dotąd nie zaprowadzał sporu, w odgraniczeniu gruntu i osiadłości największą okazywał łatwość, ze wszystkimi był bardzo grzeczny, a nawet czasami zajechał spojrzeń na swoje nowe dziedzictwa i obaczył ciekawe dziatki sąsiadów swoich na płocie, zawsze do nich podchodził, wychwalał ich piękność, obcierał im noski swoją własną chustką i nie omieszkał nigdy jakiegoś im zrobić prezenciku. W całych Czaplincach o niczem nie mówiono, tylko o prezesie, stawiano go na wzór sąsiadów i największe o nim powzięto nadzieje.

Utwierdził wszystkich w tem mniemaniu pan Skrętski. Prezes obszedł się z nim niezmiernie po przyjacielsku, dziecięcki jego pieścił, całował i obdarzał; tem ośmielony pan Skrętski udał się z prośbą o pożyczanie pieniędzy. Prezes okazał nadzwyczajną uprzejmość, ufetowawszy pana Skrętskiego u siebie, dał pieniądze i dla formy nazaczył tylko piąty procent. Gruchnęła ta wiadomość po Czaplincach i wszyscy rzucili się do łaskawego dobroczyńcy. Prezes dawał, oni brali, czy kto potrzebował, czy nie; bo jak nie brać, kiedy dają, kiedy nazaczają tylko piąty procent, kiedy jaśnie wielmożny dobroczyńca nie żąda innej ewikcji, jak prosty weksel na walorowym wprawdzie papierze, ale nawet i ten papier daje od siebie.

Tym sposobem znów kilkadziesiąt tysięcy nagromadziło się na czaplincieckich właścicielach. Żaden wszakże nie poszedł prosto ani do Szlomy, ani do Mordki obrachować się i zapłacić, ale każdy, zabrawszy gotowiznę, wywiózł ją do Krzemieńca lub do Dębna, i powrócił do domu z jak najlżejszą kieszenią. Ale zato co się stało z Czaplincami?... Czaplince oporządziły się, zrobiły się świetne i ładne i wyglądały... jak małeńki Paryż!

Pani Płachcina podwoiła wieczory; galon szczerzoty zajaśniał na kołnierzu Żorża; panny Płachcianki zaczęły się uczyć konno i brały lekcyjne od panów Smyczkowskich i w ich karczmie, zamienionej na maneż; półsorki pana Skrętskiego jaśniały mosiądzami; pani Birucka sprawiła sobie zieloną atlasową suknię do pomarańczowego szala; pan Birucki przywiózł od Bunia cały antałek wina; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi pokupowali sobie dzielne wierzchowce w tej nadziei, że będą towarzyszyć pannom Płachciankom w czasie przejażdżek po Czaplincach. Słowem, wszędzie było huczno, wesolo; karnawał przeszedł na wieczorach, obiedach i balach, a gdy w ostatni tydzień wieczorów nie stało, dawano i tańcujące śniadania, do których pan Płachta dał przykład, i gdzie wprowadził zamiast pirogów i prosiat, jako rzecz bardziej komilfo, czekoladę i wino szampańskie, którem pili z uniesieniem zdrowie prezesa, i które jakimś cudem znalazło się także u Mordki.

W takim wirze żyjąc, obywatele Czaplinców nie uważali, że od początku zimy zwożono mnóstwo różnego gatunku materiału, że składano go na każdej części, która należała do prezesa, który z powrotem wiosny miał przedsiębrać różne budowy. Wszakże nikt nie wiedział, co zamysła budować, i nic też to nikogo nie obchodziło, bo Mordko jak dawał, tak dawał, bo prezes był równie grzeczny jak pierwej, bo jeżeli który zmiarkował się, że przez głupstwo i nieśmiałość za mało pożyczyl, i jeszcze raz do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy pojechał, znów dostał pieniądze, dał skrypcik i wróciwszy do domu, dał balik, na którym znów pito zdrowie prezesa szampantem, którego już teraz u Mordki było podostakiem.

A u państwa Starzyckich?... U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio w swojej komórcie robił małe stoliczki i krzeselka na zabawki



dla prawnuka, którego się za kilka miesięcy spodziewał, matka szyła koszulki i czepeczki, babunia modliła się za wszystkich, ojciec gospodarował, a syn czytał, uczył się, aby się stać godniejszym anioła, który do niego zstąpił.

Cierpiał on wprawdzie, że rzadko tylko mógł widywać pannę Kamilę, że konieczność nakazywała im udawać zupełną obojętność i najzwyczajniejszą grzeczność, ale zdarzały się czasem szczęśliwe chwile, krótkie i jasne, jak błyskawica, w których ścisnienie ręki, połączone z wyrazem głębokiej miłości, ożywiało go, uspokajało i dodawało osnowy do marzeń na dwa lub trzy tygodnie niewidzenia.

Ten przymus nagradzali sobie kochankowie w listach, które oboje pisywali do Anulki, wiedząc dobrze, że ona je nawzajem zakomunikuje. W nich wylewali całą głębokość uczucia, co ich tak gwałtownie schwyciło, wynurzali wszystkie trwogi, co ich dręczyły, opisywali, a tem samem powtarzali każdą chwilę szczęśliwą, która im się na jedno мгновение, jak czyste niebo śród chmur, otwierała.

Tym sposobem przeszła zima i przeminęła Wielkanoc. Wczesna i prześliczna wiosna ożywiła ziemię, tchnęła miłością na wszystkie stworzenia i podwoiła żądze, tęsknotę i trwogi młodych ludzi tak blizkich sobie, tak dla siebie stworzonych, a przecież rozdzielonych nieprzewyciężoną przeszkodą, na której przełamanie żadnego nie widzieli środka.

Dwie okoliczności dręczyły szczególnie biedną heroinę naszą: najprzód to, że wkrótce zapewne pan Starzycki wyprawi syna na Podole, aby się zajął gospodarstwem. Chociaż panna Kamila wiedziała o tem dobrze, że babka, pozbawiona obecności wnuczki, przytrzymała go przy sobie, mówiąc nieraz synowi, że gospodarstwo tam nie uciecze, a moje życie ucieka co chwila, wszakże nie mogła przed sobą zataić, że nareszcie i staruszka ulegnie konieczności, i na wyjazd jego zezwoli. Druga okoliczność by-

ła ta, że dla ukrycia swoich uczuć, przyjmowała odwiedziny pana Henryka, a chociaż nie ośmielała go bynajmniej do wynurzenia uczuć, które jej zogródka i nieśmiało okazywać się starała, ale i nie odstępowała go tak, aby o niej raz na zawsze myśleć zaprzestał. Ta hypokryzja ciążyła jej szlachetnemu sercu i zatruwała jej spokój.

Wszakże wkrótce przypadek przyszedł jej w pomoc. Okoliczność, która go sprowadziła, zmusza nas cofnąć się cokolwiek wstecz.

Pan Henryk, wróciwszy z pierwszej wizyty od prezesa, z głową zajętą wdziękami panny Kamili, uczył się głęboko upokorzonym. Gdy się wyegzaminował, poznał, że zdrożne wychowanie zmieniło całym jego naturę, że nie ma w sobie nic męskiego, że niczem nie zdoła zająć, przez nic podobać się tak energicznej paniencie. Przybity temi myślami, kilka dni przebył w głębokim smutku. Napróżno matka starała się go rozweselić i wybadać; matce nic nie odpowiadał, a nawet jedną z jej panienek, która także smutek jego spostrzegła i tajemnie pocieszać go chciała, ze wstrętem odepchnął. Czwartego dnia, nawsunawszy czapkę na uszy, otuliwszy się dobrze, bez opowiedzenia się matce, poszedł. Daleko za domem spotkał pisarza prowentowego, który ze strzelbą na plecach szedł sobie nad staw, czy się nie zdarzy do czego puknąć. Był to Mazur z pod ciemnej gwiazdy, dawny kawalerzysta, człowiek żywy i weredyk i więcej zajęty strzelbą, niż rejestrami, jeszcze zuch i gotów do szabli i do szklanki. Gdy zamyślony i okutany panicz prędko obok niego przechodził, skłonił mu się pan Siodłowski, ale spojrzawszy miłośniernie, uśmiechnął się jakoś i ruszył ramionami. Spozstrzegł to pan Henryk i już nabitą mając głowę tą myślą, że wszyscy nim gardzić muszą, jak magajem, zatrzymał się i zapytał:

— Czego asan się uśmiechasz i ruszasz ramionami?

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, jeżeli to zrobił — odpowiedział, zdejmując kaszkiet — ale dalibóg, że mi żal patrzeć, jak się panisko okutało, jakby w trzaskający mróz. Kiedy to, proszę jaśnie wielmożnego pana, w takim wieku, mosanie, i w czasie takiego wieczoru, choćby w surduciku i w kaszkieciu, możnaby się przebiegać, a jeszcze włożywszy strzelbęczkę na plecy.

— Kiedy boję się przeziębici, panie Siodłowski.

— Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to. Jak to, proszę jaśnie wielmożnego pana, przeziębici się, kiedy miłosierny Bóg dał młodą krew, która będzie piec jak świecami, jeśli ją jaśnie wielmożny pan, mosanie, rozgrzejesz. Tylko nie trzeba tam siedzieć w pokojach, jak w futerałach, i nie smażyć się nad temi niemieckimi książkami, ale się ruszać, ruszać, panisku, jak na młodego pana przystało.

Pan Henryk westchnął i odwrócił się, a Mazur mówił dalej:

— O, widzisz go! jaśnie wielmożny pan wzdycha! Ochotkaby to była, ale już jaśnie wielmożny pan tak przywykł. A może i boi się trochę, żeby się mama nie zagniewała. Oj, toć bo to i bieda, że z panicza zrobili takiego, z przeproszeniem, mazgają, że paniskowi potem samemu wstyd będzie, mosanie, jak się gdzie popadnie między żwawych chłopaków.

Schwycił go młody człowiek konwulsyjnie za rękę i rzekł:

— Prawdę, prawdę mówisz, mój Siodłowski, ale cóż, kiedy ja nic nie umiem i wszystkiego się boję?

— Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to. Co tam nie umiem, co tam boję się? Alboć to święci garnki lepią, a panisko jeszcze nie młody? Wszystkiego się nauczysz, mosanie, i do wszystkiego przywykniesz, tylko trzeba się ruszać. Porzuć panisko te głupie książeczki, nie śpij na piernatach, ale na sianie, tę małą dyablicę Zuzię, co to się chwali nie wie-

dzieć czem, każ osiec różgami i wypędź z domu, a kup sobie, jaśnie wielmożny pan, psa, mosanie, konia, mosanie, strzelbę i pistolety, mosanie, to będziemy polować, jeździć, strzelać, chodzić od rana do nocy, a nie będziesz się panisko niczego bał, będziesz wszystko umiał, co żwawemu chłopakowi przystoi i nie będziesz tak wyglądał, jak masło maślane i jak śledź wymokły.

— Słuchaj, Siodłowski, dostań mi gdzie psa, upatrz wierzchowca, pistolety, strzelbę. Ja ci jutro dam pieniądze.

— Dobrze, z ochotą; proszę się na mnie spuścić.

— Ale — dodał pan Henryk bojaźliwiej — niech to wszystko będzie u ciebie, ażeby mama nie wiedziała.

Uśmiechnął się stary wiarus, pokręcił wężem i rzekł:

— Hm! dobrze to, że jaśnie wielmożny pan tak szanuje wolę jaśnie wielmożnej pani, ale kiedyż bo to prawdę powiedziawszy zgubne i robi z pani-ska wierutną babę.

— Jak się trochę ośmielę, jak już będę dobrze jeździć, to wtenczas powiem mamie i przekonam ją, że niema niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwo dla mężczyzny na koniu i z bronią? A cóż, u milion set dyabłów, daję bezpieczeństwo człowiekowi, jeśli nie koń, szabla i pistolet? — zawołał, zapalając się pan Siodłowski. — Ale bądź jaśnie wielmożny pan dobrej myśli! Ja jaśnie wielmożnego pana wszystkiego nauczę. Byłem, mosanie, instruktorem całego szwadronu, i zjadłby mi sto dyabłów który z moich wiarusów, żeby nie siedział na koniu, jak dratwą przyszyty.

Gdy to mówił, dał się słyszeć świst w powietrzu, przeciągało parę kaczek na staw, a pan Siodłowski w mgnieniu oka zmierzył i strzelił. Gdy się

obejrzał, pan Henryk stał odwrócony, pochylił się do ziemi i uszy rękami zatknął. Zaśmiał się głośno pan Siodłowski, a że kaczki leciały za wysoko, i żadnej nie zabił, zaczął zwolna strzelbę przeczyszczać i nowo nabijać. Gdy nabił, podał ją panu Henrykowi i rzekł:

— No, spróbuj-no panisko sam, a obaczysz, że nie taki dyabeł straszny, jak go, mosanie, malują.

Wziął biedny chłopiec strzelbę, ale ręka mu drżała, drganie objawiło się w całym ciele i zdradziło ciężką walkę. Nie mogąc się jednak zwyciężyć, pobladł jak ściana, a oddawszy strzelbę, zakrył sobie twarz ze wstydu i uciekł napowrót do domu.

Stał długo na miejscu oparty na strzelbie pan Siodłowski, patrzył za nim z politowaniem, a potem zawołał:

— Otóż to niemieckie wychowanie!

Wszakże zaraz na drugi dzień zjawił się pan Henryk u pana Siodłowskiego, przyniósł mu pieniądze i prosił, aby się zajął jego sprawunkami. Rzecz była nietrudna i w przeciągu tygodnia miał pan Henryk parę pistoletów, dubeltówkę, pałasz lekki i zgrabny, legawca wcale nieźle ułożonego i ślicznego kasztanka, który grzebał zgrabną nóżką, gdy go wyprowadzono, patrzył wokoło ciekawie i wesoło, ale za najmniejszym szelestem zestrzygał uszki i chrapał nozdrzami.

— Musi być bardzo dziki — rzekł pan Henryk, zbliżywszy się, aby go pogłaskać, ale nie mógł się przezwyćzić i cofnął się raptem, gdy koń zwrócił ku niemu głowę i parsknął.

— Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to — odpowiedział, śmiejąc się, Mazur. — Ot, obaczysz panisko zaraz, jaki on dziki.

To powiedziawszy, przystąpił śmiało, uderzył konia po grzbiecie dłonią, kasztanek wyciągnął się, a pan Siodłowski, zarzuciwszy mu tręzle na szyję, wziął się lewą ręką za grzywę i jak piórko wskoczył.

Potem poprawił się, nogi wyciągnął równo, i prawą ręką po szyi klepać go zaczął.

— Widzisz, jaśnie wielmożny pan, mosanie, co to za dzikość. Stoi, jak dziecko. Jedną tylko ma wadę, że trochę za miękki w pysku. Bo też nie trzeba go ściągać. Tylko ten szarpie konia, kto nie umie jeździć i boi się upaść. O, patrz-no panisku, co to za stępa, mosanie, a jaki klus, mosanie. Prawda, trzęsie trochę, ale to lepiej — znak, że mocny. A jak się osadza, mosanie!

To powiedziawszy, puścił się galopem prosto na pana Henryka i o krok przed nim stanął, jak wryty.

— Ho, ho! — zaśmiał się na całe gardło Siodłowski — jak mi panisko pobladło i trzęsie się, jak osina. Czy to jaśnie wielmożny pan myślał, że ja go nie osadzę i zatratuję swoje paniątko? Ej, pluń jaśnie wielmożny pan na to. Byłem ci ja instruktorem 1-go szwadronu 1-go pułku strzelców, i zjadłby mi sto dyabłów który z troich, jeśliby na placu, wyjeżdżając na ordynans, choć na pięć wyskoczył dalej niż mu kazałem. No, siadaj jaśnie wielmożny pan — dodał pan Siodłowski, zeskoczywszy z konia i uderzając go znów dłonią po grzbiecie.

— Za nic, za nic, mój Siodłosiu! — zawołał pan Henryk, zatrzepawszy rękami i odchodząc na bok.

Mazur pokręcił węża zdesperowany. Przeszedł tydzień na rozmaitych próbach strzelania i jeżdżenia, ale żadna się nie udała. Wreszcie wpadł na myśl pan Siodłowski, że trzeba po maleńku i stopniami panicza przyuczać. Posadził go więc najprzód z wielką biedą na solwarczną kobyłę, starą i ślepa, potem na swojego podjezdka, potem na konia, który chodził pod forysiem i w przeciągu zimy doszedł do tego, że nareszcie pan Henryk jednego dnia po Wielkiejnocy, gdy śniegi już zniknęły i ziemia stwardniała, odważył się wsiąść na swego kasztanka.

To samo było i ze strzelaniem. Powoli, sto-

pniami, ośmielał go, uczył, pokazywał i doprowadził do tego, że młody człowiek, chociaż zawsze z jakimś nerwowym wstrząśnieniem, ale strzelał po kilkanaście razy na dzień, chodził wieczorem nad staw, głaskał i zachęcał psa, a chociaż nigdy nic nie zabił, bo gdy przyszło pociągnąć za cyngiel, zawsze ręka jego zadrżała i przymrużyły się oczy, ale do celu kiedy niekiedy trafiał. Zdarzyło mu się nawet raz, że kulą zadrasnął kłodę, postawioną o dziesięć kroków, do której strzelał z pistoletu.

Wszystko to robiło się bez opowiedzenia się matce, która nie mogła z początku pojąć, co się stało synowi. Później wprawdzie dowiedziała się z боку; ale, widząc, że młody człowiek rzeświejszy, weselszy, że ciągły ruch i ustawiczne prawie przebywanie na dworze wzmacnia jego zdrowie, wyprowadza rumieniec na jego twarz—przypomniałszy sobie nadto rozmowę z prezesem, westchnęła i milczała.

Pan Henryk prawie co dwa lub trzy tygodnie bywał w Szyszkowcach. Zastawał tam czasem pana Józefa, i jakkolwiek ostrożni byli kochankowie, schwytał nieraz przelotne wejście, w pół wyraźne słówko, i instynktem kochającego i zazdrosnego serca odgadł prawie wszystko. Czuł on swoją niższość w każdym względzie i to upokarzające uczucie doprowadziło go do serdecznej nienawiści dla naszego bohatera.

W połowie kwietnia panna Kamila odebrała list od Anusi, w którym ciągle mówiła o blizkim wyjeździe brata na Podole. Zmartwiona, zła, smutna, chodziła prędko po pokoju, szukając w myśli środków i nie widząc żadnego ratunku. W takim usposobieniu zastał ją pan Henryk. Z początku odpowiadała mu półgębkiem, ale wkrótce, postanowiwszy go odstręczyć przynajmniej na czas długi, uwolniła się od jego wizyt przynajmniej na te chwile bolesne, póki pierwszy żal rozstania nie złagodzi się i nie opadnie, wpadła w jakiś szyderski humor, i jak w naj-

pierwszej ich rozmowie, mówiła mu tylko o koniach, o polowaniu, o strzelaniu z pistoletu, słowem, udawała nadzwyczajny zapał do wszystkich tych rozrywek męzkich i krzywiła się, wspominając o mężczyźnach nie wychowanych twardo i po rycersku.

Zbladł pan Henryk na te deklamacye, pożegnał się i wyjechał; ale wyjechał z postanowieniem przekonania panny Kamili, że nie jest takim mazgajem, jak może o nim myślała.

Następnego więc tygodnia kazał raniutko wyprawić swego kasztana z masztalerzem do Czaplincic i czekać na siebie w karczmie panów Smyczkowskich, a sam, siadłszy do koczka z Siodłowskim, pojechał później. Gdy przybył na miejsce *rendez-vous* i gdy osiodlano konia, kazał sobie podać toaletę, uczesał włosy, nastrzępił wąsiki, zapiał rajtfrak pod samą szyję, kaszkiet ustawił na głowie w determinowanej pozycji, i świszcząc szpicróżgą i brzękając ostrogami, z jakąś gorączkową odwagą dosiadł swego kasztanka.

Pan Siodłowski radował się swoim dziełem, bo w rzeczy samej niezłą miał minę pan Henryk; wziął cugle akuratnie, oparł rękę na prawej nodze z gracyą, osadził się mocno na siodle i cmoknąwszy, ruszył od karczmy. Pobiegł jeszcze ku niemu stary kawalerzysta, poprawił go, wyprostował nogi, odsunął trochę na tył i zawołał:

— Tak, głowa trochę na bok, stępo, mundsztuk wolniej, ostroga w pole. A ty pilnuj, żeby się koń nie rozgrzał, żeby się czego nie spłoszył, rozumiesz, kpie?

Te ostatnie słowa, naturalnie, zwrócone były do masztalerza. Już pan Henryk był daleko na drodze do Szyszkowic, a jeszcze pan Siodłowski stał we wrotach karczmy, i patrząc za nimi, mruzczał:

— Dobre chłopczysko, nie będzie z niego nigdy wielki zuch, ale dobre i to. Gdybym nie ja,

i tegoby nie było. Oj, te modne baby ze swoją niemczyzną!

Tak wykrzyknawszy, wrócił do karczmy i dla pocieszenia się, kazał sobie podać puzderko.

Zdarzyło się, że tegoż samego dnia, kiedy pan Henryk wybrał się do Szyszkowiec, pojechał tamże i pan Józef. Ze zboleiał sercem, ze smutną i bladą twarzą, stanął młody człowiek w salonie prezesa, gdzie wszyscy byli zebrani. Spostrzegła panna Kamila, że cios przewidziany blizki, i zbladła jak ściana. Ale zreflektowawszy się prędko, zaczęła rozmowę najobojętniejszą w świecie.

Po jakimś czasie pan Józef, zwróciwszy uwagę do gospodarstwa i siejby, znalazł sposobność dodać, że wyjeżdża za trzy dni na Podole, i że właśnie przyjechał pożegnać mieszkańców uprzejmego domu, gdzie on i jego rodzina znaleźli tak łaskawe przyjęcie. Wszystko to powiedziane było niezmiernie naturalnie i z wielką mocą nad sobą. Z takimże samem owładaniem gwałtownego bólu, który serce jej ogarnął, słuchała go panna Kamila, dodając prośbę, aby pani Zahorowska koniecznie ją odwiedziła, jak przyjedzie do rodziców. Prezes prośbę tę powtórzył, pan Józef obiecał i podziękował, a panna Kamila wyszła z pokoju. Po jakimś czasie wróciła z robotą, i usiadłszy, spokojnie znów rozmawiała. Wszakże w ciągu rozmowy, przez jeden z tych manewrów, których nie myślę uczyć piękne czytelniczki moje, pan Józef odebrał maleńką karteczkę. Trzymał ją i tulił w ręce z kwadrans, szczęśliwy, że ją miał, nieszczęśliwy, że jej przeczytać nie mógł. Aż dopiero, gdy prezes powstał i poszedł do okna, usłyszawszy turkot zajeżdżającego powozu, przeczytał te słowa:

„Drogi mój, biedny, jedyny Józiu! zostań tu jeszcze z papą—a potem jedź—czekać cię będę w tem miejscu, gdzie cię raz pierwszy obaczyła.”

Zaczerwieniła się twarz jego od radości, i spoj-

rzeniem dał znak, że będzie posłusznym. Tymczasem prezes zapytał:

— Któż to kazał zaprządz karyolkę?

— Ja, papo, przejadę się trochę z Belcią. Dzień tak piękny, a mnie cokolwiek głowa boli.

— Dokąd-że pojedziesz?

— Gdziekolwiek, przez wieś, na pole. Już się tak ładnie zieleni. Chodź, Belciu, jedziemy. Adieu, panie!—dodała, zwracając się do pana Józefa. — Życzę panu szczęśliwej drogi i deszczów na posiewy. Wszak deszcz potrzebny na posiewy, nieprawdaż papo?

— O, z ciebie wielka gospodyni!—odpowiedział prezes.

Zaśmiała się panna Kamila i dodała:

— A jeżeli pan zobaczysz siostrę przed wyjazdem, proszę się jej serdecznie kłaniać. Chodź, Belciu! Ukłoniła się raz jeszcze i pobiegła do swego pokoju.

Prezes tymczasem wyszedł z panem Józefem na ganek zobaczyć, jakie konie zaprzęgli. Wkrótce wyszła i panna Kamila w salopie i kapelusiku z guwernantką.

Gdy ją podsadzał pan Józef do powozu, gdy już noga jej była na stopniu, a ręce ich tuliły się z miłością i bólem, nagle tentent się rozległ na ulicy za bramą, i ujrzano rozhukanego konia, który w największym galopie wniósł na dziedziniec swojego jeźdźca. Biedny ten jeździec, blady, bez czapki, leżał prawie na szyi konia i trzymał się za grzywę; nogami objął brzuch jego i kiął go ze strachu ostroga, a strzemiona wolne i ciężkie, rzucając się na wszystkie strony, biły przeleknione zwierzę to po bokach, to po piersiach. Masztalierz zdesperowany, pędził za nim, i tym hukiem powiększał jeszcze przestraszonych kasztankę; krzyknęła na ten widok panna Kamila i rzuciła się ku panu Józefowi. Schwycił ją

młodzieniec, utulił w objęciu i wyniósł napowrót na ganek.

Gdy tak wszyscy stali, nim mogli się opamiętać i dać jaki ratunek, koń rzucił się w bok przed stojącym na drodze jego powozem, i pan Henryk, bo niestety! był to pan Henryk, wysadzony z siodła, upadł twarzą do ziemi i na domiar nieszczęścia trafił na maleńką kałużę, która po wczorajszym deszczu została. Ignacy pobiegł za koniem, który wpadł na drugi dziedziniec, gdzie były stajnie, i gdzie także pojechał masztalerz, a pan Józef poskoczył podając biednego Bajarda i zobaczyć, czy nie doznał jakiego przypadku. Zszedł i prezes, a panna Kamila i panna Beldeau zostały na ganku. Podniesiony przez pana Józefa biedny pan Henryk, powstał z zabloconą twarzą, zawstydzony, przestraszony, w pół żywy. Gdy go prowadzili ku domowi, zaśmiała się najprzód panna Beldeau, potem pannę Kamilę pochwycił jakiś śmiech spazmatyczny, że go pokonać nie mogła; potem zakomunikował się panu Józefowi; prezes także widząc, że nie ma kalectwa, śmiać się zaczął, a narzeczcie i Maciej parsknął głośno na koźle i brał się za boki. Przyszedł wreszcie do siebie pan Henryk, spojrzął po wszystkich, a w bohaterze naszym utkwił wzrok pełen gniewu i nienawiści. Potem dobył chustkę, obtarł się jak mógł, na zapytanie, czy go co nie boli, odpowiedział, że nic, że zdrów zupełnie, i gdy prezes prosił go, aby wszedł do domu, umył twarz i został z nimi na herbacie, dodając, że go każe odesłać powozem, pan Henryk, rzuciwszy okiem na duszącą się od śmiechu pannę Kamilę i na spoglądającego na niego z politowaniem pana Józefa, rzekł:

— Panie prezesie dobrodziejku, jeżeli chcesz mi łaskę zrobić, to pozwól, abym tym samym powozem, który tu stoi gotowy, odjechał do Czaplincic. Tam moje konie i ludzie.

— Z największą ochotą; jeżeli ci to zrobi przyjemność, ale wolałbym, żebyś został z nami.

— O! nie, nie, nie mogę—odpowiedział prawie z rozpaczą; ścisnął rękę prezesa, na pannę Kamilę nawet nie spojrzął, i wskoczywszy do karyolki, krzyknął na Macieja:

— Ruszaj!

Na w pół ze śmiechem zawołał Maciej na konie: hou! i pojechał.

Panna Kamila przestała śmiać się, i żał się jej zrobiło biednego młodzieńca, którego okropne cierpienie łatwo sobie wyobrazić mogła, a prezes, ruszając ramionami, rzekł:

— Jezus Maryja! nie chciałbym być na miejscu tego biedaka. Otóż to zaślepienia i nierozsądna matka zgubiła go zupełnie.

Gdy masztalerz podprowadził złapanego i drżącego jeszcze konia, zapytał go prezes, jak się stało?

— At, jasnie wielmożny panie, z kim innym nie byłoby nic. Ale nasz panicz, to Panie odpuść, i źle jeździ i wszystkiego się boi. Już tam na polu byle wrona porwała się z drogi, a koń nastawił uszy i parsknął, to panicz zrywał go zaraz mundsztukiem, żeby się na cuglach utrzymać, i tak go zbijał, bo koń miękki w pysku, i byle go szarpnąć, to się wspina. Gdyśmy tu wjechali w ulicę, dyabli nadali z rowu świnię. Coś ją tam nastraszyło, bo już jak na nieszczęście pójdzie, to nie wiedzieć z kąd co się weźmie. Otóż głupia świnią wyskoczyła raptem z rowu, i harkocząc, leciała, jak opętana, prosto koniowi pod nogi. Koń się rzucił, panicz się zląkł i ściągnął go, koń wspiął się trochę, panicz wypuścił nogi ze strzemion i uderzył konia w brzuch ostrogami. Ja mówiłem, na tysiąc dyabłów te ostrogi, ale on widać chciał się tu pochwalić; taj, jak go zakuł dobrze, mój koń pomknął się, jak oparzony, panicz puścił lejce i chwycił się za grzywę. Wtenczas koń dawaj

lecieć, co tchu, strzemiona dawaj bić go po bokach i po szyi, ja dawaj gnać za nim, ale nic nie pomogło. Ot, jak się to stało, jaśnie wielmożny panie!

Mimo żalu, jaki obudził stan pana Henryka, wszyscy znów śmiać się zaczęli, a masztalerz poprawił konia. Wrócili wszyscy do pokoju, rozmawiając o przygodzie młodego człowieka, i robiąc różne uwagi. Pan Józef widząc, że już z dzisiejszego *rendez-vous* nic nie będzie, pożegnał raz jeszcze prezesa, a gdy z uszanowaniem całował rękę panny Kamili, szepnęła mu panienska nieznacznie:

— Jutro o jedenastej!

## X.

Gdy pan Józef, miotany najrozmaitszemi uczuciami, dojeżdżał do domu, spostrzegł niedaleko od bramy wąsatego szlachcica, wojskowej postawy, z czapką na bakier, idącego ku niemu. Był to pan Siodłowski, zły i zmartwiony przygodą swego wychowanka, który widać nie siedział na koniu, jak dratwą przyszyty. Miał nasz Mazur minę zagniewaną i z jakimś ruchami niecierpliwości pokręcał wąsa. Cdy się zbliżyli do siebie o kilka kroków, krzyknął pan Siodłowski na Michasia:

— Stój!

— I cóż tam?—zapytał seryo pan Józef.

— Czy pan jesteś Józef Starzycki?

— Ja, o cóż idzie? kto pan jesteś?

— Jestem, mosanie — odpowiedział, pokręcając wąsa—były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców, mosanie, a teraz pisarz prowentowy jaśnie wielmożnej Podziemskiej.

— A — rzekł pan Józef, uśmiechając się — czy nie pan to uczyłeś pana Henryka konno jeździć?

— Zjadłby mi sto dyabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby tak jeździł, jak pan Hen-

ryk jeździ. To niemieckie wychowanie wszystkiemu winno, a nie ja. I w Paryżu, jak to, mosanie, mówią, nie zrobią z owsa ryżu. Ale to do rzeczy nie należy.

— A w czymże rzecz?—zapytał pan Józef.

— Oto w tem, mosanie, żebyś pan przeczytał tę karteczkę.

Wziął pan Józef i czytał te słowa, drżącą ręką, pisane:

„Wiem, co się święci. Widzę, gdzie pan zmierzal i po co sięgasz. Spostrzegłem od pierwszej chwili, że pan jesteś przyczyną tego sposobu, jakim mnie traktują. Za te wszystkie upokorzenia, których doznałem, pan mi zapłacisz. Jeśli pan równie śmiały na placu, jak w sięganiu po milionową pannę, to się rozmówisz z oddawcą tego biletu o broń, czas i miejsce.

Henryk Podziemski.”

Ledwie mógł oczom swoim wierzyć pan Józef, przeczytawszy te słowa. Uśmiechnął się, ruszył ramionami, i wysiadłszy z bryczki, której kazał jechać do stajni, odprowadził na bok pana Siodłowskiego i rzekł:

— Czy pan wiesz, o co idzie?

— A juści, mosanie, wiem.

— I to seryo?

— A juści nie żartem. Pan Henryk całą drogę płakał ze złości. Mówi, że pan jesteś przyczyną jego wstydu i że masz się także do onej panienski. Zgrzytał zębami i wołał biedak, że musi pana zastrzelić, lub sobie palnie.

— Pojmuję ja wstyd pana Henryka, ale czyż ja wypędzałem z rowu tę świnię, która nastraszyła jego konia?

— Tego ja, mosanie, nie wiem i to do mnie nie należy. Proszę o odpowiedź.

— Ale umież on strzelać, ten biedny panicz:

— Tak sobie, ja go uczyłem i strzela dobrze, Zjadłby mi sto dyabłów który z moich wiarusów, żeby tak strzelał, jak on. Ale z tem wszystkim strzela nieźle.

— Bo ja biję w asa — dodał spokojnie pan Józef.

— Chwali się — pomyślał Mazur i odpowiedział:—To do mnie nie należy. Przytem w pojedynku to niepotrzebne. Jegomość, dzięki Bogu, nie as, i o sześć kroków trafi pana, mosanie, pan Henryk.

— Cóż mam robić?—odpowiedział pan Józef.—Rad nie rad muszę przyjąć tę zabawną trochę propozycję. Wszakże pod pewnymi warunkami.

— Obaczmy mosanie, co to za warunki—rzekł pokręcając wąsa pan Siodłowski.

— Pierwszy—sekret; bo pan Henryk, który lepiej zna Francję, niż swój kraj, może nie wie, że to pachnie Sybirem, a przynajmniej fortecą.

— Juści się rozumie, bo i mnieby się dostało.

— Powtóre: że pan Henryk za trzy dni, to jest w sobotę o godzinie szóstej zrana, wyjedzie z psami i strzelbą, niby na polowanie i zatrzyma się pod laskiem mego szwagra, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej. Czy pan znasz to miejsce? Bo nie chciałbym za nic, aby się dowiedzieli przed czasem moi rodzice, a szczególnie moja babka, któraby to mogła przyplacić życiem.

— Rozumiem to mosanie, i ja jestem ojcem, i dlatego czekałem tu na pana.

— Dziękuję panu za to serdecznie — rzekł pan Józef, ściskając rękę starego żołnierza, który z coraz większem zajęciem patrzył na pięknego młodzieńca, którego każde słowo, każdy ruch był męzki i energiczny.

— Po trzecie: że każdy z nas będzie miał z sobą przyjacielską karteczkę, zapraszającą przeciwnika na słomki do lasku mego szwagra. Te karteczki wy-

mienimy na placu, aby na przypadek śmierci świadczyły, żeśmy nie byli wrogami.

— To rozumnie, mosanie, na to zgoda.

— Po czwarte: że będziemy się strzelać, idąc od pierwszej mety do drugiej, jak teraz zwyczaj.

— Wiem, wiem, mosanie; widziałem takich zuchów, co trzy razy dochodzili do drugiej mety o sześć kroków, mosanie, i żaden nie strzelił. A potem oba wystrzelili na wiatr i uściskali się. Pamiętam jak dziś, spisaliśmy się wtenczas naleźycie.

— Otóż i my tak będziemy się strzelać. Czy zgoda?

— Zgoda, tylko jak na pana patrzę, to mi żal, mosanie, tego biednego pana Henryka.

— Któż mu winien, że głupi?

— Ej! pluń pan na to, mosanie. To wszystko mamunia winna i niemieckie wychowanie. Ale na mnie się pan, mosanie, nie gniewasz — rzekł patrząc mu miło w oczy i wyciągając ręce.

— A za cóż? pan robisz swoją powinność—odpowiedział pan Józef i ścisnął jego rękę.

— Więc w sobotę, o godzinie szóstej rano, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej?

Pan Józef dał znak potwierdzający i rozeszli się. Gdy wszedł do pokoju, udając spokojność, postrzegł, że matka układa jego bieliznę. Zbliżywszy się do stołu, rzucił okiem na registr i przekonał się, że wszystkiego znacznie przybyło. Wziął więc jej rękę, i tuląc z miłością do ust i do serca, zawołał:

— Samaś to szyła, mamol! a twoje oczy?

Podniosła na niego oczy lez pełne, objęła jego głowę, i przytulając do piersi, rzekła:

— Anusia już ma wszystko. Teraz na ciebie kolej. Ale nie przeszkadzaj mi i idź do ojca, on na ciebie czeka.

Spojrzał na nią, jakby chciał wybać, dłaczego to powiedziała, ale widząc, że była zajęta i że



ży kapaly na bieliznę cienką, białą i starannie wyprasowaną, poszedł do pokoju ojca.

Ojciec także był zatrudniony. Twarz jego była smutna, poważna, ale nie surowa. Gdy się zbliżył, zobaczył na stole długi szereg książek, których registr ojciec kończył.

Stał długo syn w milczeniu i nie śmiał przerywać. Gdy robota była skończona, powstał pan Starzycki i, patrząc w oczy synowi, zapytał:

— Pożegnałeś się, mój synu?

Zaczerwienił się młody człowiek i spuszczać oczy odpowiedział, że się pożegnał.

— Przygotowałem ci lekarstwo — dodał ojciec, ukazując na książki. — Najlepsze i najciekawsze dzieła z historii, moralności i wojazów, jakie mogłem znaleźć w registrze księgarni, która została po Glücksbbergu w Krzemieńcu. Wiem, że gospodarstwa nie zaniedbasz, ale zawsze ci zostanie wiele czasu, i w tych to chwilach samotnych będziesz najwięcej potrzebował tego zbawiennego środka. To ci pomoże do otrzymania zwycięstwa nad sobą, które otrzymać musisz i powinieś. Jeżeli zaś i tego będzie mało, to to będzie jeszcze skuteczniejsze!

Powiedziawszy te słowa, wziął oprawiony niewielki sekstern i podał go synowi. Otworzył go pan Józef, drząc cały, i obaczył własną ręką ojca wypisane porządkiem najpiękniejsze, najprostsze, jasne jak dzień, święte jak niebo, prawidła z Ewangeli. Upadł do nóg ojcu rozrzewniony młodzieniec, i mocno płacząc ścisnął je i całował.

— Wstań — rzekł po chwili sam wzruszony ojciec, chociaż po sobie tego nie pokazywał. — Postrzegłem niedawno, co się w sercu twojem dzieje. Nie dziwię się, żeś się dał ująć tyłu powabami, takim rozumem i dobrocią, niezupełnie się nawet gniewam, że cię przypadek naraził na taką walkę. W niej wypróbujesz męskość swego serca i przyuczysz się pokonywać szalone chęci i przedsięwzięcia, przechodzące siły, bo życie, mój synu, jest ciągłą walką, a pokój jest tylko owocem zwycięstwa. Wywalczysz je, spodziewam się, dla siebie i dla mnie; tego żądam, i to ci najuroczyściej rozkazuję.

Gdy to powiedział, ścisnął rękę młodzieńca, który stał bez ruchu, i wyszedł z pokoju. Łatwo sobie wyobrazić stan naszego bohatera. Czuł on całą prawdę i świętość słów ojcowskich, a przecież nie mógł wykonać jego woli. Zaraz nazajutrz miał mu być nieposłusznym, i znów w sobotę miał może załobą napelnić serce rodziców. Ale mógłże nie pożegnać się z kochanką, nie pomówić z nią może raz ostatni? Mógłże nie stanąć, kiedy był wyzwany? Mógłże okryć się wstydem w oczach własnych, zaśłużyć na pogardę kobiety, której energię znał, i dać tryumfować nad sobą nieprzyjacielowi takiemu, jak pan Henryk? Wszystkie te myśli rozrywały jego głowę i pokój uciekł od jego serca.

Gdy przeszła wreszcie noc długa i bezsenna, wziął strzelbę na plecy, zawołał z sobą Amora i poszedł. Około godziny dziesiątej stanął na tem miejscu, gdzie po raz pierwszy obaczył pannę Kamilę. Droga już wówczas była sucha, brzegi jej zieleniły się młodą murawą, zboża ozime zaczęły zielonym puchem okrywać pola, laski na wzgórzach przywdziewały wiosenną odzież, skowronki bujając w powietrzu, głosiły wiosnę, miłość i nadzieję. Ale w sercu młodzieńca jej nie było. On czekał ostatniego widzenia się z aniołem swojego życia i miał się żegnać — na zawsze.

Postrzegłszy wreszcie powóz z daleka, szedł schyliwszy głowę, i niby nie uważając, aby okazać przed ludźmi przypadkowe spotkanie. Gdy się z nim zrównały, skłonił się pannie Kamili i pannie Beldeau i przystąpił do powozu, który się zatrzymał.

— Pan poluje? — rzekła panna Kamila.

— Wyszędłem trochę przejść się, tak piękny dzień — odpowiedział.

— I mybyśmy dobrze zrobiły, żebyśmy się trochę przeszły, nieprawdaż, Belciu?

Zgodziła się guwernantka z uśmiechem, otworzono powóz i panie wysiadły. Przywitawszy się z Amorem, panna Kamila rzekła do Ignacego:

— Jedźcie wy sobie naprzód, a my tu pochodzimy.

Poszedł powóz naprzód, a gdy się cokolwiek oddalił, panna Kamila dodała:

— Daj mi pan rękę.

Podał jej rękę znękany młodzieniec, tuląc nieznacznie dłoń jej do piersi. Ona zwiesiła się na jego ramieniu i tak szli powoli, mówiąc o pierwszej przygodzie, która była przyczyną ich znajomości. Nieznacznie panna Beldeau zaczęła się od nich oddalać, i znalazłszy jeden kwiatek wylażący z ziemi, zaczęła szukać z zapalem i więcej, tak, że młodzi ludzie zostali prawie sami, owiani wonnem powietrzem wiosny, na otwartem polu, pod czystym niebem, które serca ich widziało. Pierwsza to była chwila, gdzie mogli wygadać się swobodnie. Wszakże z początku milczeli, bo wszystkie słowa wydawały się im za ciasne, i nie mieściły w sobie nieskończoności ich uczucia. Nareszcie panna Kamila wzięła jego rękę, położyła na sercu, i wsparłszy głowę na jego ramieniu, rzekła z westchnieniem:

— O mój Józiu! mój Józiu! jakżebym była szczęśliwa, gdybym tak mogła przejść życie obok ciebie!

Objął ją rozmarzony młodzieniec, przycisnął nieznacznie, i potem zaczęła się rozmowa długa, słodka, rozkoszna i bolesna razem, bo pan Józef wiedział dobrze, a panna Kamila przeczuwała, że to ostatnia.

Niech mi piękne czytelniczki moje podziękują, że im tej rozmowy nie powtarzam. Słowa moje zespułyby tę złotą tkanę, którą ich młodsza od mojej imaginacja, ich wymowniejsze, bo może w tejsze

chwili bijące serce, na tem tle, którem im podał, wyhaftuje.

Wkrótce pan Józef został sam jeden na drodze. Brzegi jej zieleniły się, ozime zboża okrywały pola zielonym puchem, wzgórze przywdziewały się odzieżą wiosny, skowronki żywo i rozkosznie śpiewały i coraz wyżej podnosiły się pod niebo, a on stał wsparty na strzelbie, i słyszał tylko turkot odjeżdżającego powozu, chociaż już dawno przemiął, i widział tylko kurzawę wzbity przez jego koła, chociaż już dawno wiatr ją rozwał i rozniósł po polu.

W piątek rano pożegnał się pan Józef, i umocniony błogosławieństwem rodziców i babki, pojechał do siostry dla pożegnania się z nią i z dziadem, który właśnie gościł u wnuczki. Rozdzierało się serce biednego młodzieńca, gdy ostatni raz spojrzął na dach rodzicielski, który pokrywał tyle rozumu, tyle dobroci, tyle miłości, pod którym miał tyle przykładów umiarkowania i męstwa, gdzie odbierał żywe nauki pobożności, porządku i zgody. Chociaż wiedział, że kula pana Henryka, niewprawnego i bojaźliwego, może go ominąć; ale mógłże przewidzieć co zrobi przypadek? jak los, a może i sama nieumiejętność, tak niebezpieczna w pojedynkach, pokieruje ręką przeciwnika? Nie żałował on wprawdzie życia, bo nie miał nadziei, ale rodzice w żalobie, ale babka na katafalku, ale kochanka w rozpacz, stawały mu ciągle przed myślą. Gdy przed wieczorem wszedł do pokoju siostry, zastał ją siedzącą w dużym krześle i uśmiechającą się boleśnie, bo cierpiała biedna w swoim stanie, do dziadzi, który stał przed nią i drażniąc ją śpiewał:

A ów wąż nieszczęsny stał jej na zdradzie,  
Urwał jabłko z drzewa zakazanego  
I podał Ewie.  
Ewa skosztowała.  
Ewa skosztowała!

Dziwnym mu się wydał ten kontrast spokoju i wesołość starca z jego własnym smutkiem i ciężką obawą. Szczęśliwy dziadzio! pomyślał w duchu. Już przeżył wszystko, już dla siebie niczego się nie spodziewa, niczego nie lęka. Cieszy się tylko przez nas, ale i przez nas także zasmucić się może. Ta ostatnia myśl znów nasunęła chmurę na jego czoło, którą był widok dobrego humoru starca cokolwiek rozprędził.

Postrzegł to dziadzio, i mimo wielkiego wysilenia ze strony pana Józefa, domyślił się, że coś nadzwyczajnego ciąży na jego sercu. Widział to i pan Ignacy, widziała i siostra, ale ci ostatni, znając sekret serdeczny brata, udawali, że nic nie spostrzegają.

Jeszcze było dość widno, gdy obaj młodzi ludzie wymknęli się do ogródka, i tam pan Józef opowiedział bratu wszystko i prosił go, aby mu jako świadek towarzyszył. Zmartwił się serdecznie pan Ignacy; nie było wszakże co robić, trzeba się było przygotować. Gdy tak przechadzali się i rozmawiali o jutrzejszej ekspedycji, nadszedł dziadzio, który w niespokojności, i domyślając się czegoś, szpiegował ich i miał na oku. Biorąc więc za rękę pana Józefa, rzekł:

— A, złapałem waści na uczynku, macie sekreta; coś złego się stało, o czem nie wiem. Chcecież, abym dręczył się niepewnością? W ten moment czarno na białem! Chcę wiedzieć!

— Kochany dziaduniu—odezwał się pan Ignacy—już ja to i sam myślałem przez wzgląd na Anulkę, że niema potrzeby tego przed dziaduniem ukrywać. Józio ma jutro pojedynek.

— Do stu dyabłów, to nic do rzeczy — rzekł staruszek, poprawiając swoją czapeczkę.—I z kimże to, mości Burdo?

— Z panem Henrykiem Podziemskim — odpowiedział pan Ignacy.

— Z tym migdalikiem? to musiałeś go waść sam wyzwać — rzekł dziadzio, patrząc surowo na wnuka.

— Nie, drogi dziadziu — odpowiedział pan Józef. — Tegobym nigdy nie zrobił, chyba w ostatniej konieczności...

— Więc musiałeś go skrzywdzić, chłopcze! — dodał starzec prawie groźnie — a to jeszcze gorzej, bo on słabszy od ciebie.

— I to nie, drogi dziadziu — odpowiedział młody człowiek, spuszczać oczy.

— A cóż u dyabła za przyczyna? — zapytał starzec.

Tu pan Józef opowiedział całe zdarzenie. Słuchał stary z uwagą, a potem kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka, rzekł:

— Słuchaj-no waść, panie wnuku! jam już stary i nie pojedykowałem się w życiu tylko raz, i to wtenczas, gdym jeszcze był w domu pani Kurdwanowskiej, starościny baranowskiej. Poszło nam niby o cesarza chińskiego, a wiesz waść, jaka była prawdziwa przyczyna?

— Nie wiem, kochany dziadziu.

— Spódniczka, kochanku, spódniczka — dodał staruszek, nasuwając na ucho czapeczkę. — Czy i tu to samo? czy on ma waści za swego rywala?

— Podobno, kochany dziaduniu — rzekł, uśmiechając się pan Ignacy.

— I waść tę panienkę kochasz?

Pan Józef nic nie odpowiedział, ale mimowolnie westchnął, a dziadzio dodał:

— Ej bratku, wzdychasz? to widzę, żeś waść głupiuteńki. Tu wzdychać niema czego, ale powie-dzieć sobie stale i statecznie: to panna nie dla mnie! i obejrzeć się za inną, poczciwą, dobrą dziewczyną, i z błogosławieństwem rodziców stanąć na kobiercu.

Pan Józef uśmiechnął się na to boleśnie, a dziadzio mówił dalej:

— Ale nim to będzie, kiedyś wyzwany, powinieneś stanąć. Kiedyż spotkanie?

— Jutro, o szóstej zrana.

— Gdzie?

— W moim lasku od karczmy Niesiołowskiej.

— Kto twój sekundant?

— Ja, kochany dziadziu—rzekł pan Ignacy.

— Obejdzie się. Wasan masz żonę i wkrótce będziesz miał dziecko. Ta sprawka pachnie kozą i długą, a tymczasem Anulka mogłaby to życiem przypłacić. Ja będę twoim sekundantem—rzekł starcy, prostując się i poprawiając czapkę.

— O! mój drogi dziadziu! czyżbyśmy na to pozwolili—dodał pan Józef, całując rękę starca—żebyś się ty narażał?

— Cóż to u dyabła, myślicieź smarkacze, że ja was będę prosił o pozwolenie?—krzyknął, zapalając się.—Tak chcę i basta!

Umilkli oba, a staruszek, zreflektowawszy się, rzekł po chwili łagodniej:

— A tam w domu nic o tem nie wiedzą?

— Nic, drogi dziadziu.

— To dobrze. Zapewne na pistolety? bo to wy mazgaje szabli nie lubicie i krzyżowej sztuki ani *belmes*. A przecież to bywało na sejmikach, jeden zuch stanąwszy pod murem, sześciu lub ośmiu adwersarzy tego mógł pokiereszować. A masz dobre pistolety?

— Wierne, kochany dziadziu!—odpowiedział pan Józef.

— Nabij no je waść i przynieś tu, tylko ażeby Anulka nie widziała, *pro forma* weź waść strzelbę.

Poszedł młody człowiek, a dziadzio tymczasem przykazał panu Ignacemu, aby żonie nic nie wspominał, aby jak największą udawał spokojność, a jak

zrana zapyta, ażeby powiedział, że pojechali do lasku na słonki, i prosili o dobrą kawę, jak wróca.

Tymczasem pan Józef przyniósł pistolety. Odeszli cokolwiek dalej, a dziadzio, dobywszy nóż ogrodniczy, na pniu sporej lipy wykroił korę na wielkość dłoni, wziął pistolet, odmierzył dziesięć kroków, a nasaunawszy czapkę i wziąwszy się pod bok lewą ręką, wymierzył i strzelił. Kula uderzyła w drzewo na dwa palce od oznaczonego celu.

— Hm!—rzekł dziadzio, trochę niekontent—nie tak bije, jak trzeba. Spróbuj-no waść sam z drugiego.

Pan Józef strzelił, i w samym środku celu pokazał się punkt czarny i okrągły.

— Dobrze—rzekł dziadzio—będziesz waść strzelał z tego. Ten lepiej bije.

Uśmiechnął się pan Józef, bo wiedział doskonale, że oba pistolety równie wierne, ale oko dziadziowe już siedemdziesiąt osiem widziało. Gdy powrócili do pokoju, durzyli Anulkę, że strzelali do jastrzębia, który groził jej kurom, rozmawiali prawie wesoło, a po dziesiątej wszystko już było spokojnie w całym domu. Pan Józef tylko chodził długo po pokoju i wzdychał, a dziadzio chodził także do późna i modlił się.

Nazajutrz o godzinie szóstej, jak było umówione, z jednej strony zjawił się pod laskiem dziadzio z panem Józefem i Amorem, z drugiej pan Henryk z Siodłowskim i z psem. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki i opatrzeni myśliwskimi torbami. Gdy powysiadali z powozów, zbliżyli się do siebie z uśmiechem, i w przytomności ludzi podając sobie rękę, nieznanie zamienili żądane przez pana Józefa bileciki. W liście pana Henryka były te słowa:

„Kochany panie Józefie! Wiem, że przez lasek twego szwagra, około karczmy Niesiołowskiej, przeciąga chmura słonek. Choćbyście mi mieli zagrabić

strzelbę, przyjadę w sobotę z Siodłowskim. Jakbym się ucieszył, żebyś i ty przyjechał.”

Bilet pana Józefa był następującej treści:

„Drogi panie Henryku! Jeżeli chcesz strzelać do słońca, jak do wróbla, to przyjeżdżaj w sobotę do lasu mego szwagra, o ćwierć mili na prawo od karczmy Niesiołowskiej. Będę cię tam czekał i bez ciebie nie strzelę ani razu. A przywieź z sobą starego Mazura Siodłowskiego, on podobno lepiej się popisie od nas obudwóch.”

Potem każdy schował swój bilet do kieszeni, wzięli się pod rękę i poszli, kazawszy ludziom czekać na siebie w tem samym miejscu. Ale jak tylko byli w lesie, pan Henryk wyrwał rękę z pod ręki pana Józefa i poszedł naprzód. Twarz jego była blada, wargi zaciśnięte, oczy pały jakimś nienaturalnym ogniem, a całe ciało drżało jak w febrze. Pan Siodłowski przypatrywał się dziadziowi z uszanowaniem, i pokręcając wężą, a wyprostowawszy się po żołniersku, rzekł:

— A to jegomość dobrodziej, mosanie, sekundantem tego pana?

— Ja—odpowiedział stary—chcę obaczyć, jak się też mój wnuk popisie, i czym go dobrze wyuczył. Jajko wprawdzie w lot rozbija chłopak, ale na placu to co innego. Pan zapewne dawny żołnier?...

— Były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców — odpowiedział, podnosząc machinalnie rękę do czapki.

— Czy tam w reglamencie wasanów — rzekł dziadzio — nie było tego, że skłócić się za głupstwo, i strzelać się za głupstwo, jest to wykradać życie, które należy do kraju i do monarchy?

— Oho!—zawołał pan Siodłowski—zjadłby mi

sto dyabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby co podobnego zrobił.

— A czemużes pan—mówił dziadzio—nie użył i tu powagi starego wojaka i człowieka z doświadczeniem. Wszak oni się będą strzelać nie wiedzieć o co...

— Nie mogłem, proszę jegomości. Tak się chłopak zawziął, mosanie, jakby go ciągnęło na zgubę.

— Ha! to niema o czem gadać—rzekł dziadzio, i odtąd szli w milczeniu. Gdy doszli do małego wyřębu, gdzie było miejsce czyste i z drzew obnażone, pan Henryk obejrzał się wkoło i rzekł:

— Tu.

— A cóż, wasanie, dobrze i tu — odpowiedział pan Siodłowski.

Pozrucali więc z siebie torby, z których dobyli pistolety, pokładli strzelby, i pan Siodłowski zaczął odmierzać metę.

— Druga meta o sześć kroków — rzekł pan Henryk, zaciskając wargi.

— A toż na co?!—zawołał dziadzio.—Kto umie strzelać, trafi i o dziesięć.

— Pozwól, drogi dziadziu! niech będzie o sześć. Idziemy od pierwszej mety i każdy ma prawo strzelić gdzie zechce.

— Niech i tak będzie—odpowiedział stary, ruszając ramionami.—Wolałbym jednak szablę i krzyżową sztukę.

Oznaczył pan Siodłowski drugą metę, odmierzyl od niej w jedną i drugą stronę po piętnaście kroków, na każdym z tych punktów położył torbę na znak, i kazał przeciwnikom na nich stanąć. Gdy oba stanęli naprzeciw siebie, każdy z bronią w rękę, dziadzio przystąpił do wnuka i podał mu rękę. Pan Józef ją pocałował i rzekł cicho:

— Dziadziu drogi! powiedz mamie i babuni, że inaczej być nie mogło. Pożegnaj ojca, a jeżeli zginę,

nie obwiniajcie tamtej; to anioł, dziadziu, i ona temu nie winna.

To powiedziawszy, zwrócił się z zimną krwią do pana Siodłowskiego i dodał:

— Licz pan do trzech, panie Siodłowski.

Odstąpili obaj sekundanci o kilka kroków na bok i pan Siodłowski zaczął komenderującym głosem:

— Bacznosc! raz, dwa, trzy!

Po tem ostatniem słowie ruszyli obaj przeciwnicy z miejsca z wymierzoną bronią. Pan Józef szedł zwolna, zimno i prawie z uśmiechem, pan Henryk prędzej, z twarzą coraz bledszą, z zacisniętymi wargami, z oczami coraz mocniej iskrzącymi. Ale im bliżej przystępował, tem mniej pewnym stawał się jego krok, ręka drżała widocznie. Oczy zaczynały się przymykać. Sposprzegł to pan Siodłowski i zawołał:

— Śmielej! nie wyciągać tak ręki! niżej mosanie! wytrzymać mosanie!

Ale pan Henryk go nie słyszał. Ledwie uszedł kroków siedem lub osiem, gdy mimowolnie może pociągnął za cyngiel. Huk się rozległ i dym okrył przedział między przeciwnikami. Wówczas dziadzio zwrócił oczy na wnuka, ujrzał go na nogach, ale lewa ręka jego obwisła i na twarzy wypiętnował się ból gwałtowny. Trwało to kilka sekund, po których znów pan Józef szedł dalej i wołał na przeciwnika:

— Proszę pana do mety.

Z zamkniętymi oczami, z rękami zgietymi i drgającymi, jak w konwulsjach, szedł jednak pan Henryk; dziadzio, widząc stan okropny biednego młodzieńca, zawołał:

— Józiu! pod błogosławieństwem, zakazuję ci strzelać!

— Nie będę, drogi dziadziu! — rzekł wnuk, obracając się do starca.

Tymczasem pan Henryk postąpił jeszcze parę kroków, jęknął głęboko, zachwiał się i upadł bez zmysłów. Wysilenie tak gwałtowne, odwaga ta nie-naturalna i gorączkowa, dzieło miłości własnej upokorzonej, odebrały mu siły i przytomność.

Przyskoczył do niego pan Siodłowski i widząc, że tylko zemdlął, pokiwał głową, ruszył ramionami i rzekł:

— Biedne chłopczyko! mosanie, zemdlął, jak baba. Otóż to niemieckie wychowanie! Zjadłby mi sto dyabłów który z wiarusów moich, gdyby tylko mrugnął okiem, lub pobladł, kiedy dla przyzwyczajenia strzelał mu przed samym nosem.

Gdy pan Siodłowski tak rozprawiał i trzeźwił pana Henryka jak mógł, dziadzio tymczasem opatrywał ranę pana Józefa. Kula uderzyła go w lewe ramię, przedarła dość głęboko mięśnie i uwięzła pod samą skórą tak, że gdy dziadzio rękaw i koszulę rozzerznął, prawie sama wypadła z rany. Na wszelki przypadek miał dziadzio w torbie butelkę wody, ręcznik, bandaże i gąbkę. Obmył więc krew i zwiąszy kulę w palce, rzekł uradowany:

— No, chwała Bogu! jest na wierzchu. Masz waść lekcyę, która cię niewiele będzie kosztowała. Schowaj sobie tę kulę na pamiątkę i miej tę naukę, że ubogi szlachcic powinien brać się do równej sobie panny, aby miał pocziwą żonę, a nie do milionowych spódniczek. Boli cię, durniu, czy nie?

— Nie, nie, drogi dziadziu! tyś chirurg doskonały!

— Oho, pamiętam raz u pani Kurdwanowskiej, starościny baranowskiej...

Wtem pan Józef skrzywił się mocno, poczuwszy ból gwałtowny, a dziadzio mówił dalej:

— A widzisz, kpie, że cię boli... ale poczekaj.

Wtenczas dobył z torby chleba, wyjął pajęczynę, w którą się zaopatrzył, zmieszał to razem, zmiał i ra-

nę zapakował. Potem obłożył z wierzchu hubką, obwiązał bandażem i rzekł:

— No, rusz waść ręką, tylko zwolna.

Ruszył pan Józef ramieniem, ucałował rękę starca, który go uściskał i dodał:

— Ale minę miałeś dobrą. Nie taką, jak ten biedak. No! terazże kłamcie, jak na mękach, bo to, moi panowie, pachnie tęgą kożą.

— A juźci, proszę jegomości, trzeba łąać, jak można, mosanie—odezwał się pan Siodłowski, który nareszcie przyprowadził do przytomności pana Henryka.

Powstał biedny młodzieniec, blady jak z grobu, tarł długo ręką czoło, jakby sobie co przypominał, a potem, spojrzawszy wokoło, westchnął głęboko i poszedł.

Zabrał prędko pan Siodłowski swoje i jego oręże, ścisnął rękę dziadzia i pana Józefa, i poszedł także, mrużąc:

— Otóż to niemieckie wychowanie; zjadłby mi sto dyablów, mosanie, który z moich... i t. d.

## XI.

Gdy pan Henryk wszedł do pokoju matki, zastał ją siedzącą na kanapie i przerzucającą ciekawie książeczki żółte, zielonkawe i niebieskie, któremi była obłożona i których świeży transport odebrała z Odesy. Jakkolwiek była zajęta, przestraszyła się jednak biedna kobieta, zobaczywszy twarz syna. Wzrok jego był zupełnie zmieniony, włosy w nieporządku, czoło i lice nie okazywało najmniejszego śladu krwi, a w całej postaci i w ruchach okazywała się jakaś głęboka boleść.

— Co tobie, moje dziecię?—zawołała matka.

Odwrócił się, nic nie odpowiedział i zaczął chodzić po pokoju.

— Henryczku! na miłość Boską! przestraszasz mnie. Co ci jest?

— To, moja mamó—odpowiedział przez zęby— że przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Pożegnać?... Wielki Boże! dokądże chcesz jechać?

— Chcę ztąd uciec—odpowiedział — i ucieknę, to wiem, ale dokąd, tego jeszcze nie wiem.

Odrzuciła od siebie pani Włodzimierzowa Balzaka, Soulié zsunął się z jej kolan, zerwała się przerażona i przystępując do syna, zawołała:

— Henryczku!—czy chcesz, abym umarła?

— Nie, droga mamó, chcę ażebyś mnie rozsądniej kochała, niż dotąd. Powiadam ci, że tu zostać nie mogę i ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą.

— Dlaczegoż to, na miłość Boską?

— Dlatego, że tu nie śmiem oczu pokazać, żem się tu okrył wstydem, że tu każdy ma prawo gardzić mną, żartować sobie ze mnie, a gdy się rozniewiam, dać mi szcztka w nos, abym upadł i zemdłał.

To powiedziawszy, rzucił się w krzesło, zakrył sobie twarz i zaczął mocno płakać.

— O, ja nieszczęśliwa!—krzyknęła matka, zalamując ręce.

— A ja! — zawołał młody człowiek, powstawszy—jam stokroć nieszczęśliwszy, biedna matko! bom nieszczęśliwy przez ciebie?

— Przemennie?—zawołała, patrząc w osłupieniu na syna.

— Bóg mnie stworzył mężczyzną — rzekł z mocą — a ty, matko, zrobiłaś mnie gorzej niż kobietą, gorzej niż dzieckiem, zrobiłaś mnie lalką nikczemną, głupią, trwożliwą, ani sobie, ani ludziom nieużyteczną. Gdym był małym chłopcem, gdy mnie natura, może nawet energiczna, kto to wie? ciągnęła na świe-

że powietrze, na deszcz i słotę, w pole i do lasu, nie puszczałaś mnie, nie mogłem pobiegać, ażebym nie upadł, nie mogłem się wdrapać na drzewo, zbliżyć do rzeki, wsiaść nawet na drewnianego konia, ażeby mi się co złego nie stało. Do dziesięciu lat nie miałem noża w rękę, jak gdybym był przeznaczony na automat, któremuby wszystko za niego zrobiono, a on żeby leżał w pudełku, obwinęty w bawełnę, jak cacko szklanne, któreby za każdym dotknięciem mogło się rozbić w kawałki. O! był to grzech, moja biedna matko, którym niebaczną miłość twoja obciążała twoje sumienie. Ale któż wie? mogłoby się być jeszcze wszystko naprawić. O kilka mil miałaś szkołę, gdzieś mnie mogła oddać. Tam z towarzyszami młodości, z chłopakami pełnymi życia i siły, byłbym się wzmocnił, rozwinął; przez wstyd i emulację byłbym dobył ze swych piersi ostatek energii i stał się chłopcem jak oni i wyrósł wśród nich i z nimi na mężczyznę, któremuby nikt nie śmiał deptać po nogach i grać na nosie. Aleś tego nie zrobiła. Zamiast posłać mnie do szkół, póki były, przyjechałaś do domu jakiegoś włóczęgę Francuza, abym się nauczył paplać tak, jak on, ażebym był ciemnym i głupim, jak on, ażebym zawsze był przy twoim boku, obwinęty w watę, otulony piernatami, abym potem, gdy należało oświecać rozum, kształcić się nauką, miał czas dla rozrywki tylko pożerać te zgubne książeczki, które mnie nauczyły tego, czegom wiedzieć był nie powinien, które zbudziły moją imaginację i w dwudziestym roku zrobiły ze mnie drżącego, drażliwego i niedołęznego starca. O! tyś tego pewnie nie chciała, bo ty mnie kochasz, biedna matko! ale miłość twoja była niebaczną i grzeszną.

Zanosila się od płaczu nieszczęśliwa kobieta, a pan Henryk, widząc to, rzucił się jej do nóg i zaczął ścisnąć i całować jej kolana. Potem powstawszy, wziął ją za rękę i rzekł łagodnie:

— Nie płacz, droga mamol! ale pozwól mi jeszcze ratować się. Puść mnie, puść od siebie!

— Henryku! — odpowiedziała, składając ręce — mozem i zawiniła zbytciem i nieuważnem przywiązaniem. Czyżes mnie już nie dość ukarał? Dlaczegoż chcesz mnie jeszcze porzucić samą jedną i uciec odemnie?

— Nie od ciebie, droga mamol, chcę uciec, ale ztąd, z tego miejsca, z tych okolic; chcę i muszę uciekać.

— Czemuż to, co się stało? dla Boga!

— Czemu, czemu? Czy wiesz, moja matko, zkad teraz wracam?

— Zkad, zkad? — zapytała patrząc mu w oczy z trwogą.

— Wracam z pojedynku.

Krzyknęła przeraźliwie pani Włodzimierzowa, zerwała się i przyskakując do syna, zaczęła opatrywać jego głowę, piersi, ramiona, a potem, biorąc jego rękę i trzęsąc z całej siły, zapytała:

— Tyś nie ranny?

— O! wołałbym być rannym, wołałbym, żeby mnie tu przywieziono ze zgruchotaną ręką lub nogą, z przebitą piersią, niż skończyć tak nikczemnie, jakem skończył.

— Z kimże to, dla Boga, strzelałeś się?

— Z kim? z mężczyzną, moja matko, z mężczyzną w całym, wielkim znaczeniu tego słowa, z człowiekiem, który patrzył na moją kulę uśmiechając się, który szedł do mnie zwolna, krokiem pełnym, jak gdyby miał mi podać rękę do przyjacielskiego uścisku, wtenczas, kiedy ja szedłem do niego drżąc, kiedy oczy moje zakrywała mgła, kiedy w sercu była rozpacz, a konwulsye w rękę, które ją wiodły nie tam, gdzie chciałem. Ale to jeszcze nic, moja matko; jam go ranił. A on nie pokazał tego po sobie, szedł dalej, wołał mnie spokojnie do mety, a ja zdrów i cały dojsć do niej nie mogłem, upadłem



wprzód, nim strzelił i od samego widoku jego kuli zemdlałem jak kobieta.

To powiedziawszy, wplół ręce w swe włosy i zaczął je szarpać i wrywać.

— Henryczku, biedny mój Henryczku! — zawołała matka, tuląc jego głowę na swych piersiach.

Uspokoił się po chwili i rzekł:

— Widzisz teraz, mamó, że ja tu zostać nie mogę.

— O, mój Boże, mój Boże! — zawołała matka — ciężkom ukarana. Ale któż to jest ten twój przeciwnik? Cóżżeś mu zrobił, że cię wyzwał?

— Nie on mnie wyzwał, ale ja go wyzwałem — odpowiedział.

— I za cóż to? o ja nieszczęśliwa!

— Zato, że ona go kocha, a mnie kochać nie może; zato, że on wyższy odemnie, że silniejszy odemnie; zato, że on śmiały, a ja tchórz, że on ma rozum, a ja głupi; zato, że się uśmiechnął z politowaniem, gdym spadł z konia w jej oczach, że mnie podniósł z ziemi i postawił na nogach, jak dziecko, które upadnie i nosek sobie zwała. Słowem, zato, moja matko, że on mężczyzna, a ja mazgaj i baba. O, puść mnie, droga, biedna mamó! ja cię obwiniać nie będę, ja ci to wszystko zapomnę, tylko puszczaj mnie!

To powiedziawszy, wziął ją w objęcia, całował jej twarz, jej głowę, potem bladą, znekana, osłabioną i nie mogącą słowa przemówić, posadził na krześle, a sam wybiegł z pokoju.

W parę dni po tej bolesnej scenie między synem i matką, prezes odebrał następujący list od pani Włodzimierzowej:

„Uwielbiam pana, że syn mój wyjechał za granicę i kiedy powróci, nie wiem. Wszelkie zatem układy, o których mówiliśmy, skończone w tej chwili i nadal nie obowiązują ani mnie, ani pana. Może

„przeto teraz panna Kamila oddać bez przeszkody swą rękę panu Starzyckiemu, którego kocha i którego uznaje godniejszym od mego syna. A chociaż pan Starzycki raniony w pojedynku, jaki ci panowie w sobotę odbyli, sądzę jednak, że niema wielkiego niebezpieczeństwa.

„Z książąt W\* Włodzimierzowa Podziemska.“

— Jezus Maryja! — zasyczał prezes, przeczytawszy ten list, oparł się na krzesło, splół ręce na brzuchu i puścił dwa wielkie palce w tak szybkiego młynka, że ich prawie widać nie było. Posiedziawszy tak z kwadrans, zadzwonił i kazał zawołać córkę.

Weszła panna Kamila z twarzą spokojną, ale bladą i wyrażającą ukryte cierpienie. Spojrzał na nią prezes i już teraz nauczony czytać w jej licu, nie wątpił o prawdzie swojego, jak je w myśli nazywał, nieszczęścia. Nic więc nie mówiąc, podał jej list pani Włodzimierzowej. Wzięła go panna Kamila i zaczęła czytać. Przy pierwszych słowach lekki rumieniec okraszył jej lice. Stopniowo zsuwał się, znikł zupełnie, pod koniec panna Kamila wstrząsała się, zbładła jak trup, i gdy skończyła, opuściła ręce razem z listem, zachwiała się i upadła na ziemię bez zmysłów.

Krzyknął prezes przerażony, zerwał się, przykląkł przy córce, zaczął ją wołać najśłodszymi słowami, trzeźwił jak mógł, ale nic nie pomogło. Wtemczas rwąc na sobie włosy, wybiegł jak szalony i łamiąc ręce, zaczął krzyczeć na cały dom. Na to przeraźliwe wołanie zbiegli się ludzie, wyskoczyła panna Beldeau i wszystkie kobiety z garderoby otoczyły zemdloną. Jedna z nich przytomniejsza, zaczęła ją zbryzgiwać wodą, rozerwała pasek szlafrocza i powoli, powoli panna Kamila przyszła do siebie.

Gdy otworzyła oczy, podniosła głowę z pomocą kobiet, a potem usiadłszy na ziemi, rzuciła okiem na list, który obok leżał i zaczęła mocno płakać. Po-

zwolono jej wyplakać się dowoli, a gdy się cokolwiek utuliła, kazał ją ojciec odprowadzić do pokoju i położyć. Leżała tak panna Kamila z parę godzin, nie mówiąc ani słowa, nie wydawszy ani jednego jęku, ani jednego westchnienia. Potem wstała, zaczęła chodzić po pokoju, namyślając się, co zrobić, narzeczcie usiadła, napisała krótki bilet, wyjęła z toaletki małe pudeleczko, opieczętowała to wszystko razem i zawołała służącą Teresię, którą szczególnie lubiła. Wszystkie ją kochały niezmiernie, bo była dobra, wesola, niekapryśna i często je obdarzała. Ale Teresia szczególnie do niej była przywiązana.

Weszła więc dziewczyna z zapłakanymi oczyma i stanęła przed panią.

— Tyś płakała, Teresiu!—rzekła jej panna Kamila.

— Ach, Boże mój! pani tak okropnie zemdlą—odpowiedziała dziewczyna, całując jej rękę.—Co to się stało?

— Nic, moja droga. Słuchaj Teresiu! Ty mnie kochasz, nieprawdaż?

— O, moja dobra pani!—zawołała Teresia.

— Biegnijże z tem co tchu do Szlomy, tylko żeby nikt nie uważał, dokąd idziesz.

— Ja pobiegnę przez ogród.

— Dobrze... i oddaj mu to tak, ażeby nikt nie widział.

Dziewczyna wzięła pakiecik, pobiegła i w kwadrans potem już go Szloma miał w ręku. Szloma był w swoim pokoju, gdzie stały kufrы z rozmaitemi rzeczami, gdzie była szafa pełna książek, gdzie z boku stało biuro zamykane, a przed niem hotel czerwonym safranem obity. Sam Szloma w materyalnym szlafroku, w aksamitnej jarmulce, siedział na kanapie materyą obitej i wsparty z gracyą na poduszce z chwastami, jedną nogę w lśniących butach trzymał na kanapie, a drugą na ładnym dywaniku, który przed nią

leżał. W takiej postawie pan Szloma czytał „Żyda,” Lesynga.

Wokoło niego wszędzie było cicho, porządnie; w kąciku tylko, gdzie przybite było do ściany mosiężne wieszadło i gdzie wisiał ręcznik, stał brudny cebrzyczek, w który kapą regularnie woda, co wespół z delikatnym zapachem cebuli, ulatującej po pokoju, zdradzało pomieszkowanie żydowskie.

Gdy Teresia wbiegła i obejrzawszy się, że nie było nikogo, oddała mu pakiecik, Szloma rozpieczętował go, i nie zmieniając pozycyi, czytał ze zwyczajnym swoim, rozumnym i zgadującym uśmiechem te słowa:

„Panie Szloma! Tyś mi pierwszy mówił z szunckiem o domu państwa Starzyckich i o ich synu, który mnie mocno interesuje. Jak silny, jak głęboki to interes, domyślasz się zapewne, bo tobie niewiele potrzeba, abyś się domyślił. Dziś dowiedziałam się, że ten młody człowiek raniony, zapewne już nie u rodziców, ale w Trawiskach, w wiosce siostry swojej Zaborowskiej, ztąd o cztery mile. Nie mam kogo posłać, ażeby się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Stan mój okropny. Muszę się kryć z tem, co czuję, a umieram z niespokojności. Jedź natychmiast, mój dobry Szloma. Dowiedz się o wszystkim i powracaj. Tej przysługi nigdy ci nie zapomnę. Szloma! Tyś człowiek rozumny i wiesz dobrze, czy można polegać na wdzięczności takiej, jak ja, kobiety.”

„P. S. Co tu przyłączone, to dla twojej Racheli.”

Otworzył Szloma pudełko i zobaczył piękny fermoar brylantowy, zamykający dwa sznureczki ślicznych pereł. Cały prezent mógł być wart więcej, niż dwieście dukatów. Zaiskrzyły się oczy żyda,

uśmiech ukontentowania przebiegł po jego ustach, ale wkrótce zmiarkował się, i sądząc po żydowsku z wartości podarunku o uczuciach panny Kamili i jej niecierpliwości, otworzył prędko swoje biuro i odpisał te słowa:

„Rozkaz pani będzie natychmiast wykonany. Oddawna domyślałem się wszystkiego i nie dziwiłem się, że się tak stało. Taka, jak pani, kobieta, nie mogła nie ocenić *taki młody człowiek*. jak pan Starzycki. Rachela dziękuje pani za śliczny podarunek. Szkoda, że usługa nie warta takiej zapłaty.”

W pół godziny potem już Szloma był na drodze do Czapliniac.

Tymczasem prezes nie zasnął gruszek w popiele. Uspokoiwszy się o córkę i widząc, że spokojnie leży, nie płacze i nie mdleje, wrócił do normalnego stanu. Znał prezes doskonale energię i determinację swej córki, przekonał się tylko-co, jak gwałtowna jej miłość; zatrwożył się więc nadzwyczajnie, aby cała jego krwawa praca nie posłużyła do wzbogacenia szlachcica bez jego wiedzy i woli. Nie polegając więc bardzo na swojej powadze, chciał obudzić ambicję szlachetną w ojcu pana Józefa, i zapewnić sobie w nim sprzymierzeńca. Napisał zatem do niego następujący list:

„Z przyłączonego tu listu pani Włodzimierzowej dowiesz się wielmożny pan dobrodziej, co się dzieje. Znając charakter, sposób myślenia i umiarkowanie wielmożnego pana dobrodzieja, nie sądzę, abyś wiedział o tem i pochwalał szalone zamiary swojego syna. Chociażby moja córka nawet szczerze myślała o tak nierównym związku, o czem wątpię, bom z nią jeszcze o tem nie mówił, to łatwo pan dobrodziej wniesiesz, że ja na to nigdy nie pozwolę. Mam nadzieję, że wielmożny pan dobrodziej, jako

człowiek pełen honoru, ocenisz moje powody i stosowne przedsięweźmiesz środki.”

Gdy pan Starzycki listy te odebrał i przeczytał, kazał natychmiast konie zaprzęgać, a tymczasem odpisał prezesowi. Nic nie mówił żonie i matce, dokąd jedzie, objawił im tylko, że wróci za dwa dni. Twarz jego była spokojna, choć w sercu śmiertelna twoga. Obszedł jeszcze umyślnie całe gospodarstwo, wydał potrzebne dyspozycje, powiedział żonie, co rozkazał i czego miano dopilnować, a ucałowawszy ręce matki i utuliwszy w swem objęciu czulej niż zwykle żonę, która wtenczas dopiero w nim spostrzegła jakąś zmianę i cokolwiek strwożyła się, wsiadł i pojechał.

W tymże samym czasie prezes rozpieczętował odpowiedź na swój list, uśmiechnął się i odetchnął wolniej, znalazły następujące słowa:

„Możesz jaśnie wielmożny pan dobrodziej być zupełnie spokojnym i nie trwożyć się szalonymi zamiarami mojego syna. Upewnić mogę jaśnie wielmożnego pana, że on ich nie ma, bo ja o nich nie wiem. Gdyby panna Kamila była ubogą panienką, przyjąłbym ją z radością pod swój dach i błogosławiłbym niebo za taką synową. Z takim zaś posagiem, jaki ma, nie jest partją dla mego syna. Taki jest mój sposób myślenia. Mój syn zna mnie dostatecznie i wie o tem, że mi nie może być nieposłusznym. Śpij więc jaśnie wielmożny pan spokojnie.”

Położył prezes ten list na stole, złożył ręce pobożnie, wznosił oczy do nieba, kiwając przytem głową na znak dziękczynienia i westchnąwszy jeszcze kilka razy, spuścił swe rączki do zwyczajnego położenia, a zacząwszy powoli obracać palcami, rozważał jak dalej postąpić.

W teje samej karczmie, gdzie przeszedł jesieni

panna Kamila poznała się z Anulką, zjechał się Szloma z panem Starzyckim około godziny dziesiątej wieczorem. Noc była ciepła, pogodna i widna; nie zajeżdżali więc obaj na nocleg, tylko kazali dać koniom siana. Gdy sobie zajrzeli w oczy i poznali się, po pierwszym przywitaniu rzekł Szloma:

— Pan dobrodziej nie myśli nocować?

— Mam pilny interes—odpowiedział.—Ale i ty, panie Szloma, nie każesz zajeżdżać także?

— Mam także pilny interes—odpowiedział żyd ze zwykłym uśmiechem. — Pan dobrodziej jedzie zapewne do córka, chciałem powiedzieć do córki, do Trawisk.

— Zkądże o tem wiesz, panie Szloma?

— Domyślam się i nie dziwię się, że pan dobrodziej nie nocujesz. Okoliczność jest taka, że ojcu pilno.

— Więc ty wiesz o wszystkim?

— Wiem, i żebym dał dowód, jak pana dobrodzieja szacuję, to mu się przyznam, że ja tam jadę także.

— Prawda, tyś konfident prezesa — odpowiedział pan Starzycki z przekąsem. — Zapewne posyła cię prezes dla przekonania się, że rana niebezpieczna.

— Może pan prezes byłby kontent — odpowiedział żyd z uśmiechem — żeby rana była niebezpieczna. Ale ja posłany jestem od takiej osoby, która by połową majątku, a może i połową życia zapłaciła, aby tak nie było.

— Więc to panna Kamila cię posłała?

— Teraz pan dobrodziej zgadł — odpowiedział żyd.

— Czy masz jaki list?

— Nic nie mam — odpowiedział. — Mam tylko zobaczyć syna pana dobrodzieja, przekonać się, czy nie ma niebezpieczeństwa, i jak najprędzej powracać. A może będę mógł co poradzić. Bo pan dobrodziej

wie, że ja jestem syn doskonałego cyrulika, i byłem przeznaczony na doktora, nim ożeniłem się i wziętem się do handlu. Mam nawet z sobą dobre plasty na rany i pudełko z instrumentami, które mi ojciec zostawił w sukcesyi.

— Jedźmyż prędzej, panie Szloma — odpowiedział Starzycki, ujęty wyrazem twarzy i tonem mowy tego szczególnego żyda, a potem dodał:—Wszakże, jako ojciec, mogę od ciebie wymagać jednego przyrzeczenia?

— Słucham pana dobrodzieja.

— Ja nie aprobuję uczuć mego syna. Nie dlatego, abym nie cenił panny Kamili...

— A!—rzekł żyd z gestem podziwienia — co to za panna!

— Wiem o tem. Ale ja żądam, aby mi synowa przyniosła w dom błogosławieństwo swoich rodziców, a nie wielki posag.

— Ja zawsze szanowałem pana dobrodzieja — odpowiedział żyd, zdziwiony takim sposobem myślenia.

— Dlatego — mówił dalej pan Starzycki—chcę, aby mój syn o tem zapomniał; a od ciebie, panie Szloma, żądam i żądam seryo, abyś tym młodym ludziom w niczem nie pomagał i żadnej komunikacyi im nie ułatwiał. Przyrzekasz mi to?

— W tem i mój interes — odpowiedział żyd.—Pan prezes bardzo mi potrzebny, a mógłby się dowiedzieć!

— Dowie się przezemnie — rzekł pan Starzycki stanowczo — jeżeli to nie będzie ostatnia usługa tego rodzaju, którą robisz pannie Kamili.

— Będzie ostatnia, daję panu dobrodziejowi słowo honoru — rzekł Szloma, wymawiając znów ten ostatni wyraz z pewną pretensją, jako dziwnie brzmiący w ustach żyda. — Ale jedźmy — dodał—bo tam biedna panienska rachuje kwadransy i minuty do mego powrotu.

W trzy godziny stanęli przed domem pana Ignacego. Wszyscy tam spali spokojnie i cichość była zupełna. Uspokojony tem ojciec, wszedł do pokoju. Wkrótce pan Ignacy, Anulka i dziadzio byli na nogach i w pół godziny dowiedział się pan Starzycki o wszystkim. Rana pana Józefa była lekka i nic nie znacząca, i nie potrzebowała więcej, niż tydzień czasu do zupełnego zagojenia; nie on wyzywał pana Henryka, niczem go nie obraził, ale wyzwany stanął odważnie; nie strzelał pierwszy, choćby mógł być od pierwszej nawet mety obalić swego przeciwnika. Pociężyło to wszystko strwożonego ojca, który, podniósłszy myśl dziękczynną do Boga, kazał obudzić syna i zaprowadził do niego Szłomę.

Gdy pan Józef zobaczył przed sobą ojca, podniósł się, wziął jego rękę, i tuląc do ust, zawołał:

— Daruj, ojcze, nie mogłem ci być posłusznym.

— Wiem o tem, uspokój się—odpowiedział poważnie ojciec. — Był to skutek konieczny pierwszej słabości, której nie pokonałeś odrazu. Ale o tem potem. Pokaż swą ranę. Panie Szłoma, zobacz, ponieważ cię to interesuje i znasz się na tem.

Żyd odwiązał, zobaczył, obmył ranę, dobył ze swojego pudełka plaster, okroił go zgrabnie lśniącemii nożyczkami, położył delikatnie i obandażował. Potem, obracając się do obecnych, rzekł z uśmiechem:

— Bądźcie państwo spokojni. Ile się znam na tem, mogę upewnić, że za pięć lub sześć dni zagoi się. Ale potem, żeby się nie jęczyło, to pan jeszcze ten drugi plaster przyłóż, i już go nie odejmuj, póki sam nie odpadnie.

To powiedziawszy, wziął inny plaster, wykroił znów kwadratową sztuczkę, zawinał zgrabnie w bicik panny Kamili i oddał panu Józefowi. Ale oddając, ścisnął go nieznacznie za rękę, i nachyliwszy się, jakby jeszcze chciał obejrzeć bandaż, szepnął mu do ucha:

— Niech pan to schowa i przeczyta.

Zaczerwinił się młody człowiek i plaster znikł pod kołdrą.

— Ale chodźmy—rzekł żyd.—Mnie pilno wracać, a ten pan potrzebuje odpoczynku i spokojności. Pan dobrodziej sfatygowany także i zmęczony moralnie — dodał, zwracając się do ojca, i wymawiając ten wyraz z przyciskiem i pretensją.—Dobranoc państwu!—rzekł, kłaniając się układnie, i wyszedł posuwisto i z godnością.

Wkrótce pan Józef został sam, rozwinął papier, poznał rękę kochanki, czytał, czytał kilka razy i całował każdy niemal wyraz, nie zważając na to, że list był adresowany do żyda, że się znajdował w ręku żyda i w kieszeni żydowskiej.

Nazajutrz ojciec wszedł do pokoju syna, usiadł przy jego łóżku, i po kilku zapytaniach łagodnych i okazujących troskliwość ojcowskiego serca, odezwał się:

— Mam nadzieję, mój synu, żeś nie zapomniał, com ci mówił, gdyś wyjeżdżał z domu.

— O! nie, nie, mój drogi ojcze! nigdy jeszcze w życiu nie zapomniałem żadnego twojego upomnienia. Każde twoje słowo jest dla mnie głosem nieba.

Wyciągnął ojciec rękę, którą syn z rozrzewieniem ucałował. Po jakimś czasie, wydobywając list pani Włodzimierzowej, prezesa i kopię swojej odpowiedzi, dodał.

— Przeczytaj to, Józiu!

Wziął pan Józef listy i przeczytawszy, oddał ojcu. Potem upadł na poduszki, zakrył oczy, i tak długo leżał milcząc.

— Czy pomyliłem się, odpowiadając i ręcząc za ciebie?—rzekł wreszcie ojciec.

— Nie, nie, nie, mój ojcze! Może to przyplące zdrowiem, a może nawet... ale któż wie? — dodał prędko, krzepiąc się.—Bóg mi dopomoże i myśl o was umocni mnie.

— Daję ci moje ojcowskie błogosławieństwo na tę ciężką drogę, mój synu! Walcz, walcz z sobą samym. Masz do poprawienia ogromny błąd nierozumu i nieumiarkowania. Niech nie myślę, że i ciebie ogarnął ten szal, który na nas wionął. Rzuć okiem naokoło siebie! wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talent, a ztąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośpiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występłą, uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców.

Umilkł poważny człowiek, schylił głowę i ciężko się zamyślił. Syn milcząc, patrzył na niego ze czcią i podziwieniem, a po chwili rzekł drżącym głosem:

— Ojczce, daruj mi, daruj, jam cię głęboko zasmucił.

— Prawda, mój drogi! — ale mam nadzieję, że mnie pocieszysz. Bądź mężnym, bądź wytrzymałym w tej walce. Bez walki nie ma cnoty, bez cnoty nie ma zasługi; a nam potrzebna ogromna masa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie. A teraz, bądź zdrów! Pisz do matki i do babki. One nie wiedzą, o niczem i nie chciałbym, aby się dowiedziały; a sam jedź, jedź, mój synu, i pamiętaj o tej naszej rozmowie.

To powiedziawszy, uściskał syna, pożegnał się z resztą rodziny i pojechał.

W parę dni potem prezes, widząc córkę spokojniejszą, bo ją Szłoma zupełnie uspokoił, zawołał ją do swego gabinetu, kazał usiąść, i złożywszy, jak zwykle, rączki na brzuchu, rzekł słodko:

— Jakże się masz teraz, moja droga Kamilciu!

— Dobrze, kochany papo — odpowiedziała, patrząc mu bystro w oczy i przewidując stanowczą jakąś rozmowę.

— Czegoż tak na mnie patrzysz, moja droga? czy cię to zadziwia, że ja z troskliwością pytam się o twoje zdrowie?

— Nie, drogi papo! — odpowiedziała. — To mnie zadziwia, że zaczynasz tak zdaleka i nie mówisz wprost tego, co chcesz powiedzieć.

Puścił prezes prędszego młynka swe palce, zaambarasowany taką otwartością, i zbity z ułożonej kolei.

— Jezus Marya! — rzekł po chwili, westchnąwszy — jak to źle, kiedy ojciec nie jest najpierwszym powiernikiem i przyjacielem swojego dziecka. Ztąd nieufność we wszystkich, ztąd niewiara w jego miłość, w jego troskliwość rodzicielską. A przecież, gdybyś była mogła widzieć, jakim się przeraził, gdyś tu upadła bez duszy; jaką rozpaczą, jakim bólem napełniłaś mnie, tobyś nie mówiła, że zaczynam zdaleka, pytając się o twoje zdrowie, bo twoje zdrowie i twoje szczęście bliższe mojego serca, niż moje własne.

— Daruj mi, drogi papo! — rzekła, całując jego rękę. — O tem ja nigdy nie wątpiłam. Sądziłam jednak, że po takim wypadku miałeś mi co innego powiedzieć.

— Ach, rzeczywiście wypadek przykry, i ja bym rad o nim zapomnieć, a nie chciałbym odnawiać twojej rany. Dla panienki bowiem takiej, jak ty, musi to być rzecz bolesna — mówił prezes, przechyliwszy głowę i kręcąc z wolna palcami — kiedy od niej ucieka kawaler, którego osądziła za przyzwoitą dla siebie partyę.

Wpatrzyła się w niego panna Kamila, i uśmiechając się boleśnie, odpowiedziała:

— Daruj mi, drogi papo! ale znów przychodzi mi do głowy, że nie to mówisz, co chcesz powiedzieć.

— Jakto? — rzekł, udając zadziwienie prezes — więc to nie odjazd pana Henryka tak cię mocno dotknął?

— Kochany ojcze!—rzekła seryo—ja cierpię mocno, głęboko; piersi moje zalewa ból, oczy co chwila napelniają się łzami, a ty, ojcze, żartujesz i igrasz z moim smutkiem. O, prawdziwie, nie widzę w tem tej miłości, tej troskliwości, o której mówiłeś.

— Więc to o pana Starzyckiego rzecz idzie?— rzekł prezes. — Więc to jego oddalenie, jego pojedynek i rana tak cię przeraziły, żeś upadła bez zmysłów, nie pomyślawszy o tem, co czuje i jak się przerazi ojciec?

— Wtenczas mnie jedna myśl, mój ojcze, opanowała. Zapomniałam o tobie, o sobie, o wszystkim: myślałam tylko, że go mogę utracić.

Po tych słowach zaiskrzyły się oczy panny Kamili i twarz jej okrył rumieniec. Prezes wziął z zimną krwią ze stolika odpowiedź pana Starzyckiego i trzymając ją w dwóch palcach, rzekł:

— Chociaż nie przez pojedynkę, moja droga, ale podobno utracisz go na zawsze. Boś ty, widzę, przeznaczona na to, aby się ciebie kawalerowie wyrzekali. Patrz, moja Kamilciu, pan Starzycki pisze mi także, że ty nie jesteś partyą dla niego.

Z bladą twarzą, drżącą ręką, wzięła panna Kamila list z rąk ojca i zaczęła czytać. Widać, że ją słowa te uspokoiły, bo znów lekki rumieniec na twarz jej powrócił. Oddając ojcu list, rzekła:

— Szanuję tę szlachetną dumę zacnego człowieka, i wcale inaczej tłómaczę sobie te słowa, niż ty, mój ojcze.

— Jezus Maryja! tłómacz je sobie, jak chcesz, a sens zawsze jeden i tenże sam wyjdzie, to jest: że pan Starzycki ciebie nie chce.

Uśmiechnęła się boleśnie panna Kamila i nic nie odpowiedziała. Prezes po chwili milczenia znów się odezwał:

— Dwa razy nam się udało, ale mówią, że do trzech razy sztuka. Według przysłowia więc, a przysłowia zamykają głęboką mądrość, możemy jeszcze

raz spróbować. Mam dla ciebie jeszcze jednego pretendenta, czy pozwolisz mu przyjechać?

— Nie, mój ojcze, to daremne—odpowiedziała z mocą.—Ja pana Józefa Starzyckiego kocham, i jeżeli nie będę jego żoną, to nie będę niczyją.

— To nie będziesz niczyją — rzekł wówczas prezes zupełnie innym tonem, poprawiając się w krzesło.—Czy rozumiesz, moja panno, że ja będę uważał na twoje romansowe wzdychania, na twoje łzy, że się dam zmiękczyć nawet twojami mdłościami? Nie dla takiej szuji pracuję i zbieram. Wybij to sobie z głowy, bo pozwolenia mego nie otrzymasz nigdy.

— Widzisz, papo — rzekła z innym uśmiechem panna Kamila—mówiłam dobrze, żeś co innego chciał powiedzieć.

— Teraz wiesz, com chciał powiedzieć — rzekł prezes, sapiąc.—A jeszcze dodam ci to, że jeżeli bez mojej woli, bez mego pozwolenia oddasz rękę temu szoldrze, jak Bóg żywy, cały majątek oddam siostrzeńcowi, a ty zostaniesz na suchym chlebie swego pana Starzyckiego.

— Czy myślisz, ojcze, żebym nie była stokroć szczęśliwszą, niż teraz? O, to ci przysięgam na cienie mojej matki! Ale bądź spokojnym, tego nie zrobię... i nie przez obawę utraty posagu. Mnie idzie o twoją miłość, mój ojcze! o twoje błogosławieństwo, którebyś mi nie dał, a nie o majątek, którybyś mi mógł odebrać.

To powiedziawszy, przyklękła, pocałowała go w kolano i wyszła prędko.

Smutno schodziły dni pannie Kamili. Przed ojcem tylko udawała spokojność, ale gdy na nią nie patrzył, nic jej rozerwać nie mogło. Panna Beldeau, która szczerze się do niej przywiązała, po próżnych usiłowaniach rozweselenia jej, dała pokój i zostawiła ją sobie samej. Co dzień wieczorem wychodziła panna Kamila do ogrodu, przechadzała się do późna w alei topolowej, która go zdobiła, siadywała na ła-

weczce, i tak marząc, słuchała szumu drzew, ścigała okiem chmury, które nad jej głową ciągnęły, płynęła myślą z księżycem, który bujał po niebie.

Siódmego dnia po rozmowie z ojcem siedziała tak panna Kamila pod drzewem, oparła głowę o pień jego i patrzała na niebo jasne, błękitne, na gwiazdki migające pomiędzy ruszającymi się zlekką listkami, na księżyc cichy, milczący, który przez gałęzie drzew do niej zaglądał, i na twarz jej rzucał łagodne światło. Wieczór już był późny, i cichość zupełna ją otaczała.

Wtem poczuła panna Kamila, że coś dotknęło jej kolan. Porwała się z zamyślenia i lekko krzyknęła, obaczywszy Amora, który podszedł cicho i głowę na kolanach jej położył.

— Amor, Amor!—zawołała, głaszcząc go i powstając. — Gdzie twój pan, Amorze? O, on tu musi być, prowadź mnie, prowadź!

Uradował się pies, pokręcił ogonem i zwróciwszy się napowrót aleją, oglądał się, czy idzie za nim. Ledwie kilkanaście kroków uszła, gdy spostrzegła zdaleka kochanka. Stał oparty o drzewo z założonymi rękami i nie ruszał się z miejsca, chociaż ją widział. Panna Kamila chciała podbiec ku niemu, ale czując, że słabnie, usiadła na ławeczce. Wtenczas pan Józef przystąpił z wolna, usiadł także... i tak długo siedzieli obok, nietylko nic nie mówiąc, ale nawet nie patrząc na siebie. Nareszcie panna Kamila odezwała się złamanym głosem:

— Nie myślałeś o mnie, narażając tak życie. Nie wiedziałeś o tem, że gdybyś był zginął, jużbyśmy byli złączeni... tam.

— Im prędzej, tem lepiej—odpowiedział pan Józef z głębi piersi.—Bo tu nie będziemy.

— Nie, mój jedyny, nie będziemy — odpowiedziała, rękę kładąc na jego rękę, którą on utulił w swoich dłoniach.—Dlatego niepotrzebnieś teraz przyszedł. Ja dałam słowo ojcu, że bez jego pozwolenia nie będę

twoją; a tymczasem, gdy zobaczyłam to pocziwe zwierzę, pomyślałam natychmiast, że ty tu, że twoje konie tu, że mogę rzucić się w twoje objęcia, z tobą uciec i nie odstać od ciebie, aż na katafalku, aż w grobie. O, nie należało przyjeżdżać.

To powiedziawszy, wzięła się za głowę i ścisnęła dłońmi czoło, które widać i teraz jeszcze te same myśli rozrywały.

— Daruj mi to, Kamilo, ja nie chciałem i nie spodziewałem się ciebie widzieć. O, i ja także dałem słowo ojcu i nie dotrzymałem go. Pierwszy to raz w życiu i ostatni. Jechałem do siebie. O trzy mile ztąd spostrzegłem za wzgórzem dwór i ogród z topolami. Przypomniałem sobie Szyszkowce, niewysłowiona tęsknota ogarnęła mnie; ty stanęłaś mi żywo w myśli, z całym wdziękiem swojej postaci, z całym wyrazem swych oczów, z całą anielską dobrocią swego serca. Zapomniałem o wszystkim i podjechałem tu, i wkradłem się jak złodziej do tego miejsca, aby zobaczyć przynajmniej te drzewa, pod którymi się przechadzasz, i ten dach, pod którym tęsknisz za mną. Bóg mi dał więcej szczęścia, niżelim pragnął. Ale, jeżeli każesz, pójdę natychmiast.

— O nie, zostań jeszcze — rzekła, kładąc rękę na jego ramieniu i opierając na nim głowę.—Wszak to już raz ostatni. Czyż cię już nic nie boli?

— Nie, moja droga—odpowiedział, obejmując ją i tuląc do siebie.—Twoja głowa leży na tem samym miejscu, gdzie była rana.

Podniosła głowę panna Kamila i pocałowała go w ramię.

— Nie narażaj się nigdy więcej—rzekła—bo ja żyję póty, póki ty żyjesz; bo, choć nas rozdzielono, myśli nasze zostaną razem, i dusza z duszą, tu i tam, wiecznie. Nieprawdaż, mój luby?

Upadł przed nią rozmarzony kochanek i głowę swą na jej kolanach położył. Ona znów zaczęła się bawić jego włosami, podniosła jego twarz, i tak mu



się przypatrywała. Chwila to była straszna. Cienie długie od topoli padały na nieszczęśliwych; ómiło się coraz bardziej w oczach drżącego młodzieńca, twarz paniąki zbliżyła się do jego twarzy, a oddech jej obwiewał go, jak tchnienie z raju. Przestraszył się; wspomniał ojca, jakby w oddalonej chmurze usłyszał te słowa: walcz, walcz, mój synu! I zerwał się z rozpaczą w sercu, i odskakując na kilka kroków, stanął, zatopiwszy ręce we włosach.

Panna Kamila została na miejscu. Po chwili burza jej serca ucichła i łzy rzewne polały się po twarzy. Długo tak siedziała, potem powstawszy, zbliżyła się do niego i rzekła spokojnie:

— Józiu mój! dobry, szlachetny Józiu! bądź zdrów, bądź zdrów na zawsze!

Chwycił ją młodzieniec w objęcia, usta ich spoily się, i po długim ostatniem pocałowaniu, po wyszeptanych bolesnych słowach: bądź zdrów! bądź zdrow! panna Kamilla wyrwała się z rąk jego i jak mgła zginęła między drzewami.

Stał jeszcze na miejscu młodzieniec. Księżyc już zachodził, ciemniało na dworze, a jeszcze ciemniej było w jego duszy. Nareszcie poszedł, poszedł na prawo w inną ulicę, z tej jeszcze w inną i obszedł po za dom, z kądem było widać jej okno. Okno było otwarte i oświetlone, a panna Kamilla stała w niem: z załamanemi rękami, z podniesioną głową i patrzyła w ciemniejące coraz niebo. Ukłąkł pan Józef zdaleka, wyciągnął do niej ręce, jęknął głęboko, jak gdyby z tym jękiem serce miało się rozskoczyć i uciekć. Gdy się dzień zrobił, był już o cztery mile od Szyszkowiec.

## XII.

Prezes, uspokojony o córkę, która zdawała się tylko zamyślona i posepna, ale której silne zdrowie

cios ten wytrzymało, nie wierząc w stałość takich uczuć i spodziewając się, że czas je zupełnie uleczy, zwrócił całą uwagę na Czaplince i postanowił rozpocząć wielką swą ekspedycję. Miał prezesa, oprócz części nabytej od państwa Pożyczkowskich, jeszcze kilka innych drobnych cząstek w Czaplincach. Jedną z nich, jak powiedzieliśmy, graniczyła z bokiem panów Skreńskiego i Zarzyckiego, druga dotykała obory pani Biruckiej, trzecia przyległa była do dziedzińca pana Remigiusza Smyczkowskiego, czwarta przytykała do ogródka kwiatkowego pańien Płachcianek, na który wychodziły także okna sypialnego pokoju pani Płachciny. W tym to ogródku latem często przesiadywała ona z córkami, i tam im pan Jakób wieczorem grywał na gitarze i śpiewał.

Każda z tych cząstek, chociaż nie mogła przynosić dochodu, ale do celów prezesa wybornie posłużyła. Na każdej z nich leżały już zwiezione zimą stopy materyałów i wszędzie był stróż, który ich pilnował; ale nikt jeszcze nie wiedział na co to, i eo gdzie budować miano. Gdy nadeszła sposobna pora, pokazało się mnóstwo cieśli z różnych wsi prezesa, a także i najętych. Rozpoczęły się roboty na wszystkich razem punktach. Rznieto kłody na fundamenty, przygotowywano podwaliny, obciosywano słupy i krokwie, słowem, praca szła szybko, gorąco, jak w forticy, przygotowującej się do szturm i dopełniającej obronę na punktach źle jeszcze obwarowanych. Prezes i sam często wyjeżdżał, popędzał robotników, a gdy go się pytano, co to będzie, odpowiadał grzecznie, układnie, ścisłał za rękę pytających, dzieciom przywoził pierniczki, ale nic nie powiedział stanowczo.

Wszakże gdy rozmiarono grunt i pozakopywano kloce dębowe, na których miały leżeć podwaliny, wyszedł pan Remigiusz, zawołał pana Pawła i zaczęli miarkować i rozważać. Z rozmiarów budowy, ze stanowiska słupów i ilości przygotowanego mate-

ryału, przekonali się oba bracia, że to miała być ogromna karczma.

— Karczma! nie ma wątpliwości — zawołał pan Remigiusz.

— Karczma, tak jest — rzekł pan Paweł.

— Karczma, do stu dyabłów, koło moich wrót i pięćdziesiąt kroków od naszej — krzyknął pan Remigiusz i pokręcił węża.

— O pięćdziesiąt kroków od naszej, czy dyabła zjadł! — zaryczał pan Paweł i z tejże samej strony węża pokręcił.

— Ja mu łeb rozwałę, temu szelmie! — krzyknął Remigiusz.

— Ja mu kości połamię, temu huncwotowi! — dodał pan Paweł.

A tymczasem robotnicy robili świszcząc i trzaski padały pod nogi rozgniewanych braci. Przyszło im z początku na myśl spędzić kijem cieśli z roboty; ale pomyśleli, że ludzie cudzy, że może który odplacić kijem za kij, że może się wywiązać proces. Gdy do tych refleksyj przyszła i ta myśl, że każdy z nich winien był prezesowi po kilka tysięcy, że termin tuż był za pasem, dali pokój gniewom i postanowili udać się z prośbą i perswazją do jasnie wielmożnego dobroczyńcy, aby im tej przykrości nie robił.

Jednego także poranku pan Skrętski i pan Zarzycki, wywabieni ciąglem stukaniem toporów i krzykiem pracujących ludzi, wyszli każdy na swój tok, spojrzeli na siebie, nie ukłoniwszy się jeden drugiemu, i zaczęli się przypatrywać robocie. Postrzegli także założone fundamenty i przymocowane podwaliny wielkiego budynku, obaczyli podwoły, które zwoziły cegłę i dochodzili, coby to być miało? Budynek założony był tak, że jedną połową dotykał do toku pana Skrętskiego, a drugą do toku pana Zarzyckiego. Od jednego zaś końca szły w pewnych dystansach postawione słupy, na których właśnie cieśle przymocowywali rynnę do sprowadzania wo-

dy. Postrzegłszy to pan Skrętski, zbliżył się o kilka kroków do pana Zarzyckiego, a pan Zarzycki do niego. Gdy już byli w takiej odległości, że mogli się rozmówić, rzekł pan Skrętski:

— Wszak to podobno będzie gorzelnia?

— Zdaje się, że gorzelnia — odpowiedział pan Zarzycki.

— Patrzej pan — mówił dalej pan Skrętski — w środku pokopane fundamenty na mur pod kotły, jak Boga Kocham!

— A prawda — odpowiedział pan Zarzycki — wszak to już i słupy pod rynnę wkopane.

— Ba, nawet i rynnę przymocowują — rzekł znów pan Skrętski, przychodząc bliżej — jak Kocham żonę i dzieci!

— Ładna rzecz gorzelnia pod samym tokiem — rzekł pan Zarzycki, jeszcze zrobiwszy parę kroków.

— To nam dyabli tego szelmę nadali! — krzyknął pan Skrętski i znalazł się obok pana Zarzyckiego.

I wtenczas dopiero podnosząc głowę jeden na drugiego i uchylając czapki, powiedzieli sobie nawzajem: dobry dzień panu.

— Co tu robić w tem zdarzeniu? — zapytał pan Zarzycki.

— Nie pozwolili! to nie ma sensu, to przeciwko prawu! — krzyknął pan Skrętski. — Odezwijmy się razem, panie sąsiedzie.

I oba zaczęli krzyczeć na ludzi, kazali zaprzestać robotę, perswadując, że gorzelnia nie może być tak blisko toku. Ale robotnicy nie odpowiadali im ani słowa i świszcząc, robili dalej. Gniew straszny porwał pana Skrętskiego, chciał już przeleźć przez płot i kijem spędzić z roboty zuchwałców, ale go sąsiad zreflektował i przypomniał, że prezes ma ich w ręku. Postanowili więc także udać się do wymowy i perswazyi, polegając na rozumie i sercu jasnie wielmożnego dobroczyńcy.

— Wyjdź no mężu i obacz, co to się tam bu-

duje na gruncie prezesa — rzekła na drugi dzień potem pani Birucka, która właśnie była u krów i widziała, że o kroków dwadzieścia od jej obory wzniesiony już zrab kwadratowego niewielkiego budynku i nawieziona wielka kupa węgla. Poszli więc oboje i pan Birucki przekonał się, że to miała być kuźnia.

— O, ja nieszczęśliwa! kuźnia tak blisko od mojej obory? a toż ten człowiek nie ma Boga w sercu — zawołała pani Birucka. — A wszystkiemu toś asan winien — mówiła dalej, mszcząc się na mężu, który zwykle wszystkiemu był winien.

— A toż jakim sposobem, mój ty aniołku? — zapytał pan Birucki najlagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

— A tak, ja dawno mówiłam, że trzeba było spłacić Czapowskiego, kiedy oddawał tę częśćkę za bezcen.

— Ale zkadże pieniądze, mój aniołku!

— Nie było pić, nie było się przyjaźnić z Buniem Krzemienieckim, nie było posyłać co moment do Szlomy, nie było, nie było... — wołał coraz silniej aniołek.

— Ale nie było także kupować szalów pomarańczowych, mój aniołku, nie było... — chciał jeszcze coś powiedzieć, dobywając z szerokiej piersi męztwa i głosu, gdy pani Birucka z zaiskrzonymi oczyma przyskoczyła do niego i krzyknęła:

— Coś ja nie gospodyni? ja marnotrawna? czy to ja nie oszczędzam, nie zbieram, czy to ja nie kradnę przed tobą, opoju! niedołego! Czy to ja jaka głupia Płachcina z beretem i w aksamitach? czy to ja mam kochanków?... — wołała, następując na męża, który coraz ustępował, ale widząc, że żółć rozlała się po jej chudej twarzy, odwrócił się, zatknął uszy i poszedł prędko do domu. Tam, przypomniawszy sobie dług u prezesa, antałek wina i atlasową zieloną suknię żony, westchnął i postanowił udać się z prośbą do prezesa.

W parę dni potem wieczór był śliczny. Pani Płachcina siedziała w altanie, melancholicznie patrząc na pana Jakóba i podnosząc do góry palcem swój przyplaszczony nosek, aby się wydawał zadartym. Pan Jakób mówił jej o pani Włodzimierzowej, która teraz była smutna i samotna po wyjeździe syna za granicę. Pani Płachcina mówiła to o księżnie Polinie, z którą kiedyś była w przyjaźni, to o hrabi Januszu, który się kiedyś w niej kochał, to nareszcie o prezesie, który ją ciągle inwituje i bardzo podejrzany sposobem zagłada w oczy.

— Co to tu prezes wybudował za ogrodem pani? — zapytał pan Jakób, pokazując na długą jakąś budowę naprędce skleconą, na której już stały krokwie, ale dach jeszcze nie był posyty.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem pani Płachcina — zapewne jakąś galeryę dla promienady. Daje mi to do myślenia — dodała z wyrazem, który obudził zazdrość pana Jakóba — bo, *en voyez vous*, naprzeciwko mojej altanki jest nawet furteczka w ścianie.

— Ach! ach! prawda — odpowiedział pan Jakób, uzbrowszy swój wzrok w wyraz pełen wyrzutu.

— *Soyez-y tranquille, Monsieur* Jakób — odpowiedziała, podając mu rękę.

Podano herbatę, przyszły panny Płachcianki, a gdy Żorż, obtarłszy wprzód palcem nos, sprzątnął przybory, wziął pan Jakób gitarę, założył jedną nogę na drugą, utopił brodę w halsztuku, gdy brał wysokie tony, i zagrawszy preludjum tremolando, zaczął śpiewać: *Te brzóz kilka*. Ale zaledwie skończył pierwszą strofę i powtarzając ostatni wiersz, doszedł do uroczego słowa: Lucyna, gdy nagle tuż za niemi powstało ciągle, rozmaite, przeraźliwe beczenie owiec i jagniąt. Porwali się wszyscy, wybiegli z altany i postrzegli wielkie stado owiec, które pastuchy zaganiiali do owego nieskończonego jeszcze budynku.

Niestety! poznała wówczas pani Plachcina, że to nie była galerya dla promenady, z podejrzanym celem wybudowana, ale poprostu owczarnia. Łatwo sobie wyobrazić złość tej damy, tembardziej, że dostrzegła na ustach pana Jakóba złośliwy uśmiech. Panny Plachcianki nie posiadały się od gniewu.

— Jakto, mamol! — krzyknęła panna Zenobia — więc pod nosem tu będziemy mieć owczarnię, a toż nie będzie można wyjść do ogródka, taki będzie smród okropny.

— Toż rzecz niegodna — zawołała panna Kryspina — nie będziemy mogły słowa tu przemówić, ani słyseć jedna drugą przy tem ciąglem beczeniu.

— To szkaradnie, podle — dodała pani Plachcina, chodząc arystokratycznie po ogródku. — Pod oknami mojego sypialnego pokoju! toż ja całą noc oka nie zmruję, bo ta bezecna muzyka nie ustanie do białego dnia.

Jakoż dziesiątki owiec wołały: be! inne dziesiątki odpowiadały: me! a jagnięta, pochwycawszy głos podany przez matki, oktawą wyżej ciągnęły go dalej, dalej bez końca. Pani Plachcina sapała ze złości, a panny Plachcianki załamywały ręce. Poszli wszyscy do pana Plachty szukać rady. Pan Plachta zgryzł się okropnie, szczególnie dlatego, że to było zupełnie nie komilfo mieć owczarnię pod nosem. Ale, że z natury nie był bardzo odważny, a więcej kroił na dyplomate, nie rzucił się więc, jak Ajaks, między te owce, aby je w pień wyciąć, ale postanowił także udać się do prezesa z perswazją i wymową. Tymczasem panienki zatykały uszy, pan Jakób schował gitarę, jako już niepotrzebną, bo beczenie w rozmaite fugi i tony dochodziło aż do pokoju.

Prawie razem przybyła cała deputacja czapliwiecka do prezesa. Wysłuchał każdego z uwagą przechyliwszy głowę i kręcąc jak tylko można najpowolniejszego młynka. Gdy się pan Skrętski uno

sił, a pan Remigiusz powiedział mu nawet grubiaństwo, kiwał pobożnie prezes głową, jak gdyby wszystkie te gniewy i niesłuszne pretensye ofiarowywał Panu Bogu. A gdy skończyli, zaczął ścisnąć ich za ręce, prosił siedzieć i tłómaczył się i uniewinniał, że mu nawet do głowy nie przychodziło zrobić przykrość tak zacnym sąsiadom, że chciał tylko mieć jakąkolwiek korzyść z tych porozrucanych cząstek, które mu nie przynosiły żadnego dochodu i które tylko z miłosierdzia i przez ludzkość ponabywał. Ale teraz, kiedy wie, że to im tak niemiło, to najserdeczniej im dziękuje, że go ostrzegli i będzie się starał, aby jak najprędzej zaspokoić ich trwogi. W domówienie do tej oracyi poprosił ich do sali, gdzie zastawione było sute śniadanie. Rozweseliło się całe grono widokiem najrozmaitszych wędlin, półmisków befsztyku, kotletów, ogromną salaterką najdoskonalszego bigosu, a szczególnie baterją butelek, w której środku, jak dwudziesto-czterofuntowa armata, stał srebrny wazon, z którego sterczała okrągława główka butelki z szampanem. Po śniadaniu wszyscy z rumianą twarzą i iskrzącymi oczami pożegnali jaśnie wielmożnego dobroczyńcę i zanosłszy do domów nadzieje i uspokojenie, oczekiwali cierpliwie skutku obietnic prezesa.

A tymczasem na ułożonych już podwalinach wznosiły się słupy i szkielet karczmy coraz widoczniej rysował się w oczach panów Smyczkowskich; gorzelnia rosła jak na drożdżach i kocioł ogromny już wmurowywano, kuźnia pokrywała się dachem, z którego wylazil komin, mający wyrzucać iskry na oborę pani Biruckiej; a owce beczaly wieczorem, beczaly w nocy i rano tak, że oczy pani Plachciny pobladly od bezsenności, a twarzyczki panien Plachcianek straciły czerstwość od braku świeżego powietrza.

Poznali wówczas wszyscy, że prezes z nich sobie żartował i krzyk powszechny na jaśnie wielmożnego dobroczyńcę powstał w Czaplińcach. Powię-

kszyła się ta wrzawa, a zarazem trwoga ogarnęła wszystkich, gdy jednego dnia Mordko, ów poczciwy i usłużny Mordko, obszedł wszystkie domy, pokazał każdemu długi regestr i prosił o pieniądze. Wszędzie mu naturalnie odpowiedziano, że nie ma, bo u kogoż są pieniądze na przednówku, na wiosnę, gdy w polu dopiero nadzieja? Żyd pokiwał głową, westchnął, że mu bardzo potrzeba, ale wreszcie biorąc na rozum tłumaczenia się i eksplikacje swoich dłużników, wydobyl rewersiiki każdego, zsumował cały dług, przyłożył do tej sumy dziesiąty procent i podając każdemu walorowy papier, żądał, aby mu każdy wydał formalny weksel z terminem trzymiesięcznym. Kontenci, że się tak niewielkim kosztem zbyć mogli żyda, bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru, wszyscy wypełnili żądanie Mordki, który, kłaniając się grzecznie i zapytując, czy jeszcze czego nie trzeba, zdał wszystkie uprzednie rewersiiki i poszedł.

We dwa dni potem z takiemiż, tylko jeszcze dłuższymi regestrami i z większą układnością i grzecznością, zjawił się Szloma. Gdy mu podobnie odpowiedziano, że pieniędzy nie ma, zsumował także rewersiiki, a ponieważ się znajdowały i trzechletnie, przydał do całej sumy dwudziesty procent i podając każdemu walorowy papier, prosił o weksel. Trudno się było wymawiać i wykręcać, chociaż Szloma krótszy jeszcze naznaczał termin; wiadano bowiem, że Szloma nie żartuje, że ze wszystkimi urzędnikami jest w przyjaźni, że jak się uprze, to za bezcen weźmie remanenty. Każdy zatem chwycił się podanego środka odczepienia się od żyda, tembardziej, że środek był łatwy, bo cóż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru. Zrobili więc wszyscy, czego żądał. Szloma składał w pugilares czysty i elegancki weksel do wekslu, zdzierał wszystkie rewersiiki i z uśmiechem i godnością podając piękną swą rękę każdemu z tych panów, kłaniał się i wychodził

W tydzień potem, gdy wszyscy zebrali się na śniadanie do pana Płachty, ponieważ to był jeden moment komilfo, owce bowiem znajdowały się w polu i nie beczwały, gdy cała kompania wykrzykiwała na prezesa, a ten i ów podochocony zaczynał drwić z Mordki i ze Szłomy, których się tak tanim kosztem pozbyli, zajechał na dziedzińiec posłaniec prezesa, który, dowiedziawszy się, że wszyscy panowie znajdują się u pana Płachty, prosił o pozwolenie wejścia i gdy wszedł, wyjął ze swojej teczki z dziesięć listów jednostajnej formy i wielkości, rozdał je wszystkim, a gdy przekonał się, że każdy ma w rękę to, co do niego było adresowane, ukłonił się i wyszedł.

Spojrzeli po sobie panowie i jakoś leniwo brali się do odpieczętowania. Pierwszy pan Skrętski, jako człowiek żywy, choć wysoki i chudy, zdecydował się, rozerwał kopertę, i gdy przeczytał, podniósł list do góry, i trzęsąc nim zawołał:

— A, to szelma!

Na ten odgłos wszyscy rzucili się do kopert, przeczytali, i wkrótce ta sama klątwa z różnemi modyfikacyami i przydatkami rozległa się po pokoju. Gdy skonfrontowali potem swoje listy, przekonali się, że wszystkie były jednej treści, słowo w słowo zawierały to samo, jedną i tą samą ręką były pisane. Cyfry tylko, jak najstaranniej wykaligrafowane, były różne u każdego. Tak zaś brzmiały te odezwy:

„Wielmożny mości dobrodzieju! Z okazji zbliżającego się terminu wypłaty należącego mi długu, w moc weksłu wydanego dnia... grudnia 1838 roku, oraz przyjąwszy od Mordki i Szłomy, jako gotowe pieniądze za arendę, której z przyczyny nieuiszczenia się wielmożnego pana dobrodzieja nie mieli czem zapłacić; przyjąwszy, mówię, za gotowe pieniądze weksel wielmożnego pana dobrodzieja, wyżej rzeczonym żydom dnia tego i tego wydany, mam honor oświadczyć, że potrzebując gwałtownie pieniędzy, czekać tylko mogę do dnia i godziny, oznaczonej

w wyżej rzeczonych wekslach, po upłynieniu których, jeżeli nie otrzymam zadosyćczynienia, zmuszony będę udać się pod opiekę praw i sądownie poszukiwać swojej własności. Spodziewam się i ufam, że wielmożny pan dobrodziej uwolnisz mnie od tego kroku, do którego wyżej rzeczony gwałtowne moje potrzeby zmuszą mnie i przywiodą niezawodnie. Mam honor być z najgłębszym uszanowaniem i serdeczną życzliwością wielmożnego pana dobrodziejstwa najniższym sługą.“

Opadły ręce naszym panom. Zasiedli w kółko na krzesłach, każdy ze swoim listem w ręce. Siedzieli tak długo w milczeniu, w milczeniu poważnym i uroczystym, jak niegdyś owi senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych, gdy oczekiwali Gallów.

### XIII.

*Externus timor maximum concordiae vinculum*— powiedział stary Liwiusz. Wielka ta prawda rzymskiego historyka nawet i do Czaplinców tym razem zastosować się dała. Ustały gniewy, zaczęły się schadzki, odwiedziny, wzajemne naradzania się, ściskanie rąk, a nadewszystko częste zachodzenie i wzajemne zapraszania się do Mordki, który wytrzymał pierwszy wybuch za ustąpienie swoich weksli prezesowi, zyskał znów względy i ufność dawaną jak pierwaj na kredyt. Gdy raz panowie Smyczkowsy, pan Skrętski i pan Zarzycki zeszli się u niego, żyd, korzystając z tej sposobności, podał im myśl, aby części swe w Czaplincach odprzedali prezesowi, dodając ze znaczącym uśmiechem i kiwaniem głowy, że tym tylko sposobem pozbędą się biedy. Wtenczas otworzyły się im oczy. Poznali, że Mordko był kreaturą i agentem prezesa, i obeszli wszytskich braci, postanowili zrobić formalny związek i wspólnemi siłami opierać się tak zgu-

bnym zamachom. Zebrali się więc wszytsy u pana Plachty. Pan Skrętski objawił swoje myśli, wyłożył całą chytrłość postępowania prezesa, przypomniał jego sposoby z ową wdową w Żurawce, mówił z ogniem o karczmiu, która się wznosiła przy samej bramie pana Remigiusza, o gorzelni, od której miały spłonąć ich toki, o kuźni, która miała podpalić oborę pani Biruckiej, i o tej nieszczęśliwej owczarni, od której pani Plachcina miała dostać suchot. Dalej wyłożył całą piekielną chytrłość, z jaką na ich zgubę nastawiony był Mordko; jak od dawnego czasu, z poduszczenia prezesa, czyhał na nich Szłoma; jak nareszcie ten sam prezes, ze zdradzieckim przymieleniem wciągał ich w swoje sidła, pożyczając z taką łatwością tak wielkie sumy i dostarczając nawet walorowego papieru. Jasno jak na dłoni wyłożył potem mówca cały plan prezesa i jego nieustanne dążenie do owładnienia ich majątkami.

— Chce nas wydziedziczyć, chce z torbami puścić! — wołał z zapalem, powstawszy z miejsca i bijąc ręką o stół, że aż się okna trzęsły. — Czyż na to panowie pozwolicie? czyż nam nie stanie dosyć sił, dosyć energii, aby się temu oprzeć? Prawda, winniśmy mu wiele, czasy złe i dochodów niema, ale czyż nie możemy sprzedać naszego zboża na gruncie, kiedy się tak pięknie zieleni? czy nie możemy pozbyć się wszytskiego, co niepotrzebne, co zbyt kowe? Będziemy chodzić piechotą, spać na sianie, odziewać siebie i żony płótnem, karmić się nakoniec suchym chlebem, byle prezes nie tryumfował, byleśmy nie byli zmuszeni wyzuwać się ze swojej własności. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszytsy.

— Przyrzeczmy sobie jedność, wspólne działanie, nieżałowanie żadnej ofiary, bo tu idzie o dach, który okrywa nasze żony i dzieci...

— Przyrzekamy, przyrzekamy! — zawołali, i ręce wszytskich sploty się węzłem jedności, przyjaźni i zgody.

— A teraz przystąpmy do wybrania prezesa naszego związku — rzekł pan Skrętski, czerwieniąc się i spuszczając oczy skromnie, bo się spodziewał, że jednogłośnie okrzykniętym zostanie. Wszakże oszukał się w swoich nadziejach czapliniecki Cicero. Chociaż wszyscy słuchali jego filipiki z zajęciem i aplaudowali jego wymowie, nikt się jednak nie odezwał. Zacerwieniła się znów twarz pana Skrętskiego, ale już nie ową skromnością oczekiwanego wyboru, lecz gniewem, gdy pierwszy pan Zarzycki, a za nim pan Cepowski, którzy przy tej okazji przypomnieli sobie swoje gęsi i prosięta, zaproponowali pana Płachtę. Tu znów okazał jawną opozycję pan Birucki. Przypomniał sobie żonę i wyobraził sobie to piekło, jakiego miał w domu, gdyby się na takie wyniesienie pana Płachty zgodził, zaproponował pana Remigiusza. Pokręcał węża pan Remigiusz z lewej strony, co zwykle czynił, gdy był kontent, i spojrzął na brata, aby wybór jego poparł. Ale pan Paweł, będąc aż nadto przekonany, że miał więcej rozumu, chociaż brat lepiej grał na skrzypkach, niż on na klarynecie, że zatem był godniejszym do piastowania takiej godności, zdziwił się, czemu wybór nie padł na niego, i zmarszczywszy brwi, pokręcił węża z prawej strony. Spozstrzegł to pan Remigiusz i nie spodziewając się, że się utrzyma, kiedy go nawet brat opuszcza, zrzekł się powierzzonego sobie urzędu i zaproponował znów pana Płachtę. Tak więc po wielu krzykach, po zaciętych debatach i sporach, w których już przechodziło do zerwania całego związku, za pośrednictwem pana Jakóba, który się w połowie sesji zjawił i melodyjnym swym głosem opanował serca i gniewy złagodził, wybrano nareszcie znaczną większością pana Płachtę. W nagrodę zaś tak czynnego udziału, jaki miał pan Jakób w szczęśliwym dojściu do skutku zbawiennego dzieła, a bardziej z tego względu, że jako syn muz, zdolniejszy był do pióra od innych, jednomyślnie obrany był sekretarzem związku.

Wtenczas otworzyły się drzwi; pani Płachcina, na której twarzy odbijał się nowy lustr, który padał na całą rodzinę, weszła otoczona córkami i pierwsza powinszowała mężowi. Za nią szedł Żorż w liberyi i trzymał tacę, na której był kielich i butelki z winem. Pierwsza pani Płachcina wypila zdrowie męża i kolej poszła rzędem. Pili potem zdrowie pani prezesowej, zdrowie pań prezesówien, zdrowie sekretarza, a gdy podano więcej butelek, zdrowie każdego z członków związku z osobna, potem zdrowie całego związku w ogólności, potem zdrowie Czapliniec; nareszcie pan Birucki, zapomniawszy o żonie i o świecie, *ditto* na kolanach wniósł zdrowie prezesa związku. Wszyscy po kolei klęcząc wypili zdrowie pana Płachty, a potem krzyknawszy, aby podano więcej kielichów, wszyscy klęcząc, ściskając się, całując i płacząc, wypili zdrowie: kochajmy się!

Nazajutrz, gdy każdy przypomniawszy sobie, co się wczoraj stało i opowiadał żonie całą kolej wypadków, w miarę tego, jak mu się rozjaśniało w głowie, wszedł pan Jakób do pana Skrętskiego i z polecenia prezesa objawił mu, że się mają oba udać do pana Starzyckiego w deputacyi i zaprosić go do związku.

Gdy stanęli pod tym dachem cichym i spokojnym, i przed człowiekiem poważnym, którego wzrok przenikliwy padał na nich z pewnym rodzajem wyższości, pan Skrętski cokolwiek się zmieszał i nie wiedział, od czego zacząć. Ale nareszcie rozgadał się, i ze zwykłą sobie krzykliwością rzecz poselstwa swego wyłożywszy, cały wypadek dnia wczorajsze go opowiedziawszy, do związku przeciwko zamachom prezesa w imieniu wszystkich i pana Starzyckiego zapraszał. Uśmiech jakiś przebiegł po ustach poważnego człowieka, a za nim nastąpiło krótkie, ale stanowcze odmówienie.

— Czyż pan myślisz — zawołał pan Skrętski — że on pana pożałuje dlatego, że panu baki świeci i klania się? To flut, jakich jeszcze nie było.

— Prezesa znam dobrze — odpowiedział pan Starzycki — zamiarów jego domyślam się, a co będzie, tego nie wiem. Żyję pod opieką praw i pod opieką Boga, wierzę w skuteczność pierwszych i w sprawiedliwość Opatrzności. Pewny zatem jestem, że jeżeli sam w dół nie wleżę, nikt mnie weń nie wepchnie.

— A, obaczymy — rzekł pan Skrętski, przygryzając wargi.

— Naturalnie, jeżeli żyć będziemy — odpowiedział pan Starzycki.

— Więc nam pan stanowczo odmawiasz?

— Odmawiam — odpowiedział — i dziwię się nawet, że panowie, znając mój sposób życia i mój sposób myślenia, przychodzą z taką propozycją.

— I nawet słowem, jeżeli nie czynem, nie zechcesz poradzić braciom i sąsiadom? — rzekł pan Skrętski.

— Każdy najlepiej radzi sobie sam — odpowiedział — bo każdy za siebie odpowiada. Ale jeżeli panowie chcecie...

— Powiedz pan, nie zatrzymuj się. My wiemy, żeś pan człowiek myślący i z doświadczeniem. Cóż pan nam radzisz?

— Radzę panom — odpowiedział — abyście tę piękną modlitwę pacierza: „Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń Boską, miłość ludzką“, którą odmawiacie zapewne po raz i bez uwagi, odmawiali po trzy razy i z zastanowieniem się nad jej głęboką mądrością.

— Jeszcze radzę panom, abyście codziennie rano i wieczorem przypatrywali się tym dwóm palcom lewej ręki, z których jeden dłuższy, a drugi krótszy.

— I na cóż to? — zapytał z gniewem pan Skrętski.

— Na to — odpowiedział — abyście panowie pamiętali, że ten dłuższy powinien oznaczać waszą perceptive, a ten krótszy wasz ekspens. Więcej już panom nic nie mam do powiedzenia.

Pan Skrętski odwrócił się z pogardą i wyszedł, a gdy byli za bramą, zawołał:

— To gałgan, egoista, bratać się chce z wielkim panem. Zapłaci on mu za to.

— Może spodziewa się jeszcze, że prezes za synka jego córkę swą wyda — rzekł pan Jakób. — Pani Włodzimierzowa mi o tem mówiła — a co?

— Dureń! — krzyknął pan Skrętski — da on mu figę, nie córkę — i poszli do pana Plachty zdać sprawę ze skutków deputacyi.

Pan Plachta, jako dyplomata, nie łajał pana Starzyckiego, nie hałasował wcale, ale zrobiwszy tylko uwagę, że nie jest wcale komilfo tak kuso przyjmować deputacyę, którą on wysłał, i pokazywać jej dwa palce, nazначzył sesyę generalną na przyszły wtorek, gdzie miano materyę tę roztrząsać i przedsięwziąć stanowcze środki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

Ale w księdze wyroków inaczej było napisane. Właśnie gdy pan Skrętski, upokorzony przyjęciem pana Starzyckiego i zdawszy z niego sprawę, wracał do domu zły i głodny, spostrzegł na swoim dziedzińcu cudzego chłopca i dziewczynę, którzy z jego ludźmi szarpałi się i ciągnęli do siebie za jedno skrzydło gęś, którą kobieta państwa Skrętskich trzymała za drugie i wyrwała im z całej mocy. Krzyczała biedna gęś od gwałtownego bólu, krzyczał chłopak i dziewczyna, że to ich gęś, krzyczały kobiety domowe, że ich; pani Placyda, stojąc na ganku otoczona dziećmi, piskliwym głosem powiększała wrzawę, którą pokrył grzmiący głos pana Skrętskiego, wpadającego na tę scenę, jak aktor czynny i straszliwy. Pan Skrętski nie rozsądził tej sprawy, jak niegdyś król Salomon spór dwóch matek, ale kijem, który miał w ręce, zaczął grzmocić chłopca i dziewczynę, a poznawszy ich, że to byli ludzie pana Zarzyckiego, podwajał razy, zachęcając, aby ich połowę oddali swemu panu. Gdy biedni ludzie, zbici i złajani uciekli, wyrzekłszy się swojej gęsi, zaniesiono ją do kuchni i żeby się nie męczyła, zarżnięto.



Wypadek ten ważne za sobą pociągnął skutki. Pan Zarzycki, przyprawiony do ostatniej niecierpliwości, wyszedłszy razem z synem na ganek, zaczął łajać i wymyślać na pana Skrętskiego. Usłyszawszy to pan Skrętski, ze swojej strony wyszedł, i wybuch gniewu był tem okropniejszy, że długo pokrywana i tajona zawziętość otworzyła sobie nareszcie krater i z płomieniami, dymem i lawą wyrzuciła się w powietrze. Nareszcie pan Zarzycki pogroził panu Skrętskiemu śledztwem i kazał natychmiast synowi osiodłać konia i udać się do „stanowego”. Wrócił pan Skrętski do pokoju, sapał i zżymał się, kłął i krzyczał, aż nareszcie zbliżywszy się do swego stolika, żeby napisać także do „stanowego” i całą rzecz objaśnić, spostrzegł list prezesa i wielką cyfrę długu najstaranniej wykaligrafowaną. Przyszła mu myśl światła; uśmiech zemsty przebiegł po jego ustach, porwał się z miejsca i zawołał:

— Chcesz śledztwa? dobrze, będziesz miał tu nie jedno śledztwo, ale nie ze mną.

Kazał więc natychmiast zaprzęgać konie, pojechał do prezesa i pierwszy ów założyciel pamiętnego związku, ów orator gwałtowny i zawzięty, na złość panu Zarzyckiemu część swoją odprzedał. Przyjął go prezes z otwartymi rękami, nie targował się ani chwili, wziął ekspensy na siebie i jeszcze zaprosił na obiad. Gdy przedugodne punkty przy uproszonych świadkach były podpisane, prosił tylko pan Skrętski o pozwolenie pomieszkania przez miesiąc lub dwa i o sekret na takiż termin.

Tegoż samego dnia, bo jak pomyślności, tak i klęski lubią się skupiać i spadać razem, pani Birucka wyszła przed wieczorem do ogródka, z którego widać było dziedziniec pani Płachciny. Owce wracające z pola nie pozwalały przechadzać się po ogrodzie i przesiadywać w altanie, musiała więc pani Płachcina z córkami używać gdzieindziej świeżego powietrza. Dostąpiwszy tak wysokiej godności w Cza-

plńcach, nie zdejmowała już teraz aksamitnej sukni i bereta, i tak przystrojona przechadzała się po podwórzu. Zabawnem się to pokazało pani Biruckiej do tego stopnia, że się w głos zaśmiała. Obrażona pani Płachcina, przypomniawszy sobie fałszywy przepis na baby i rozmaite ruszania ramionami, zbliżyła się z arystokratycznym chwianiem ku plotowi, i rzekła z powagą:

— Cóż to asanią tak śmieszysz?

— Asanią! — zawołała pani Birucka. — Aj! patrzaj, jaka mi wielka pani!

Od słowa do słowa przyszło do ostrych przy-cinków. Przyszłoby było i do ostrzejszych, tembardziej, że i panny Płachcianki zaczęły się już odzywać, i panny Biruckie także wybiegły, niosąc sukurs matce, ale pani Płachcina, nie chcąc kompromitować swojej nowej godności, odwróciła się z powagą i poszła. Wszakże nazajutrz rano, nie wiadomo czy to była swawola panienek, czy wzajemny rozkaz matek, na bramie pani Płachciny napisane było wielkimi literami słowo: *Oweczarnia*, a na bramie pani Biruckiej słowo: *Kuźnia*.

Tu już wszelkie względy ustały i eksplozja gniewu, zapalczywości i zemsty rozległa się, jak huk burzy. Wróciwszy ze swojego ogródka pani Birucka, gdzie do ostatnich słów skłóciła się z panią Płachcina, napadła pozostałym jeszcze zapasem furji na męża. Nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki, i kazawszy natychmiast zaprzęgać i zabrawszy z sobą pana Biruckiego i potrzebne dokumenty, pojechała do prezesa, któremu, także na złość swojej sąsiadce, część swoją odprzedała.

W dwa dni potem pan Remigiusz Smyczkowski, położywszy przed sobą list prezesa, zaczął obliczać wszystko, co może mieć, obrachowywać sperandę z pola, oceniać remanent, meble, suknie, słowem wszystko, oprócz skrzypców. Spostrzegł, że

jeszcze więcej nie dostaje. Posłał więc do żyda, który siedział na ich wspólnej karczynie, i od czasu pojawienia się Mordki znacznie utracił, aby mu przyniósł tenutę za ostatni kwartał. Przybiegł żyd przestraszony i oświadczył, że wczoraj wszystkie pieniądze zabrał pan Paweł. Gniew nadzwyczajny porwał pana Remigiusza. Przypomniał sobie ową haniebną dezercję brata w czasie wyborów i chcąc tymczasem spędzić złość na tym, kto był pod ręką, wyszturzał żyda, jak śmiał oddać pieniądze bez jego wiedzy, kiedy to karczyna wspólna.

— Nu — zawołał żyd — co mnie do tego? Pan Paweł także gniewał się i mówił, że pan jemu z przeszłego kwartału nie dał ani grosza.

— Łesz—krzyknął pan Remigiusz — i ten łajdak łże także. Ale poczekajcie, dam ja wam, wypędzę cię, huncwocie!

— Aj waj! co to z tego? ja i sam już nie chcę.

— Nie chcesz, nie chcesz, kanalio, a kontrakt, szelmo! a kontrakt?

To mówiąc, trzymał żyda za rękę i okładając go cybuchem, obracał się z nim w kółko.

Wyrwał się żyd z rąk pana Remigiusza i pobiegł krzycząc do pana Pawła. Ale trafił z deszczu pod rynnę. Pan Paweł wpadł w nadzwyczajną wściekłość na brata, a gdy żyd obraził go jeszcze jakimś słowem, wykropił także żyda i wypędził. Odebrawszy tym sposobem przez prokurację wielkie ciężki, arendarz dwóch braci zgodnych wracał płacząc do domu; ale jakież było jego podziwienie, gdy zobaczył pana Remigiusza, który zwoławszy naprędce ludzi z toporami, piłami i drągami, kazał karczynie rozbić.

— Aj waj! co pan robi? — wołał żyd nieszczęśliwy.

— Nie dajecie mi pieniędzy — odpowiedział zimno pan Remigiusz, to ja swoją połowę zabieram.

Dowiedziawszy się o tem pan Paweł, zawołał:

— O! kiedy tak, poczekajże, to ja ci zrobię lepiej.

I kazał zaprządź konie, pojechał do prezesa i na złość bratu część swoją odprzedał.

Tym sposobem prezes był już posiadaczem prawie połowy Czaplinców, a nikt jeszcze o tem nie wiedział, prócz tych, co sprzedali, bo każdy prosił o sekret. Pan Zarzycki tylko nie mógł zmiarkować, co to znaczy, że pan Skrętski, spotkawszy go, ukłonił mu się z umizgiem i ironią.

Pani Płachcina zdziwiła się, że pani Birucka, wyszedszy do ogródka, przybliżyła się umyślnie, aby była lepiej widziana, a gdy pani Płachcina na nią spojrzała, wzięła się za poły i bardzo nisko dygnęła.

Pan Remigiusz także nie pojmował, dlaczego mu brat nie mówi ani słowa za rozebanie części karczyny, ale przechadza się spokojnie, pali fajkę, spogląda na niego z uśmiechem i z lewej strony wąsa pokręca!

Łatwo się czytelnicy domyślą, że wtorek minął, a sesji generalnej nie było. Pogłoska o wzajemnych kłótniach i zatargach najcelniejszych członków związku rozeszła się prędko i nikt z pozostałych nie chciał się ryzykować. Widząc to pan Płachta i zważywszy, że żadne środki z prezesem nie pomogą, że mu winien wiele, że żyjąc komilfo, jak nic wprzódy nie zebrał, tak i na przyszłość nie zbierze, wziął na sekret żonę i z dyplomatycznym uśmiechem powiedział jej, jakiego figla chce zrobić sąsiadom i jak zręcznie pozbędzie się kłopotu.

Żona, która także ze swojej strony chciała pozbyć się owiec i pani Biruckiej, rękami i nogami chwyciła się projektu męża. Ułożyli się więc o cenę, jaką miał zaproponować, ale że to był dyplomata, prosił żonę o sekret, aby myśl jego nie rozleciała się po Czaplincach, aby go nikt nie uprzedził i ceny nie zbil. Zabrawszy więc potrzebne dokumenty, cichaczem, manowcami, niby w zupełnie inną stronę wyjeżdżając, udał się do prezesa i na złość sąsiadom część swoją odprzedał.

Gdy te najważniejsze transakcje były napisane, podpisane i posłane do akt, wtenczas dopiero prezes podniósł głowę i rzecz cała gruchnęła. Krzyk powstał na zdrajców, ale już było za późno. Każdy z pozostałych miał pod boki prezesa i każdy prędko to uczuł. Wszystkie woda we wsi była w jego ręku. Pan Starzycki tylko miał sadzawkę pod swoją brzezinką, obfitą i rybną, ale ta była starannie ogrodzona, zamknięta i wystarczała tylko dla jego bydła i koni. Do pól także, do sianozęci, wszędzie trzeba się było otrzeć o prezesa, lub się przez jego grunt przedzierać. Wszędzie tymczasem były warty, nigdzie nie puszczano, grabiono, jeżeli co wpadło i zagnano do swojej ziemi obchodzić po pół mili i więcej. Zmuszeni taką surowością, przyciśnięci długiem, którego termin ekspirował, jedni po drugich zbywali swoje posiadłości tak, że ledwie lato upłynęło, a już prezes był panem całych Czaplinc, wyjąwszy części pana Starzyckiego.

Cicho było, ale smutno w tym zacnym domu. Brama ciągle zamknięta, ostrożność największa nakazana, aby nikt z ludzi nie śmiał nogą stanąć na gruncie prezesa, ażeby po nic się nie udawał do żadnego z jego poddanych, aby nie ważył się dopuszczać najmniejszego zatargu, najmniejszej kłótni.

Pan Starzycki zrobił się jeszcze bardziej zamkniętym i milczącym, ale uczucie swojego prawa, cierpliwość, którą czerpał w rozumie i sumieniu, i rezygnacja, która splywała z nieba do tej duszy szczerze pobożnej, nadawały jakiś dziwny majestat i rozrzuwający wyraz jego twarzy. Patrząc na ten stan syna, dziadzio czasem był do łez wzruszony, czasem zupełnie innych doznawał uczuć: gniewał się, zapalał i zaczynał grozić czereśnią.

#### XIV.

Bał się prezes pana Starzyckiego, nie dlatego, aby mu imponowała cnota i rozum, aby miał to prze-

konanie, że krzywda uczciwemu i niewinnemu człowiekowi zrobiona, czy prędzej, czy później, odbiera zasłużoną karę, ale poprostu przez wzgląd na córkę, której determinację znał, której miłość widział, chociaż udawał, że nic nie dostrzega. Postanowił więc ponętą zysku trafić do jego przekonania i posiadać koniecznie i ten kawałek ziemi, który leżał w środku jego obszernej dziedziny i ciągle drażnił jego zdobywcze serce.

Chciał najprzód przez Szłomę rozpocząć te negocjacje, ale Szłoma, z wielkim podziwieniem prezesa, odradzał mu zaczepiać pana Starzyckiego i niczego podjąć się nie chciał. Wysłał więc Mordkę i przez niego kazał mu ofiarować po siedemdziesiąt i po siedemdziesiąt pięć dukatów za duszę.

Ale pan Starzycki odpowiedział, że ziemi, którą ojciec jego ciężką pracą wysłużył, którą on ulepszył, obrobił i upiększył, na której porodziły się i wychowały jego dzieci, za nic i nikomu nie odstąpi. Po niej jakim czasie znów prezes przez jednego ze swoich oficyalistów jeszcze korzystniejsze ofiarował warunki, ale taką samą odebrał odpowiedź. Wtenczas, nie zważając już na nic, mając, jak mówił, spokojne sumienie, wziął się do środków zwyczajnych. Klóć więc go szpilkami drobnych przykrości i pretensyj, ale pan Starzycki znosił wszystko stale; szkody drobne, bez których nie mogło się obejść, wynagradzał pierwszy, o swoje się nie upominał i nie okazywał najmniejszego śladu niecierpliwości. Zato dziadzio zżymał się, gniewał, unosił i nieraz groził czereśnią.

Dowiedział się o tem prezes i uważając to za słabą stronę tej fortecy, której zdobyć nie mógł i którą kapitulować nie chciała, postanowił z tej strony atak przypuścić. Poznawszy dobrze charakter, żywoci i słabości starca, stosownie do tego plan swój ułożył.

Z lewej strony ogrodu pana Starzyckiego był ogród warzywny, niegdyś pana Cepowskiego. Obejrawszy pozycję, prezes przekonał się, że zaraz za

plotem była wielka szparagarnia, którą dziadzio sam założył, sam pielęgnował i z której sam na wiosnę wyrzynał szparagi; że dalej był duży plac, zasadzony najpiękniejszymi truskawkami, z których najpierswsze niósł synowie; że dalej była szkółka szczepów najrzadszych i najstaranniej utrzymana; słowem, że cały ogród był wzorowo urządony, wszędzie czem użytecznem zajęty i, jak ulubione dziecko, czysty i wypielęgnowany. To było dosyć dla prezesa.

Ogród ów przyległy zamienił na oborę i tam zaczął trzymać wszystkie folwarczne świnię.

Krew uderzyła do głowy zanego starca, gdy to spostrzegł. Chwycił za czereśnię, ale powoli, powoli zreflektował się i uspokoił. Całą noc jednak spać nie mógł, raz przez bojaźń o swoją pracę, drugi raz przez tę myśl, że to zrobiono umyślnie, na złość, na złość im, którzy nikomu krzywdy nie zrobili. Nazajutrz jednak raniuteńko zapowiedział pastuchom, że jeżeli nie będą pilnować i którakolwiek świnią wlezie do ogrodu, to najprzód świnię zastrzeżli, a im gości połamie. Pogrózka ta doszła do prezesa i powiększyła jego apetyt. Tydzień przeszedł spokojnie.

Ale jednego dnia o świcie posłyszał dziadzio jakieś gruchanie w ogrodzie. Zerwał się, ubrał coprędzej, chwycił czereśnię i gdy wyszedł, spostrzegł z dziesiątek ogromnych świń, z całą progeniturą córek i synków, rozkoszujących się po szparagach, podrzucających w górę truskawki z korzeniami i buszujących w szkółce dziadziowej. Pastuchy, spostrzegłszy dziadzia, weszli do ogrodu, niby wypędzać. Wtenczas już dziadzio nie był panem siebie, rzucił czereśnię i jednego z nich ugodził w plecy tak silnie, że ten upadł na ziemię. Przypadł do niego starzec, zaczął go bić, szarpać za włosy, i opamiętał się dopiero wtedy, gdy chłop wywrócił się nawznak, oczy w ślup postawił i cały krwią się oblał. Wtenczas dziadzio odskoczył, zalał rękę, wspomniawszy na te przykrości i ambaras, jakie sprawi

synowi. Nie zważał już na świnię, które nie przedstawiały ryc jego szparagarni, i stojąc tak na miejscu z zakrytą twarzą nad konającym, czy zemdlonym człowiekiem, starzec prawie osiemdziesięcioletni zapłakał.

Przybiegł syn, zbiegli się domownicy, zaczęto oblewać i ratować człowieka, który po długich zachodach, nacieraniu wodą, octem i spirytusem, spojrział nareszcie przytomniej, westchnął i zaczął przychodzić do siebie.

Ale i ze strony prezesa był już tam ekonom, był Mordko i wielu innych ludzi, przygotowanych widać za świadków. Gdy chłop przyszedł do siebie, rozebrano go i opatrzone znaki. Kiwał głową ekonom, kiwał Mordko, kiwali ludzie. Wyniesiono z wielką ceremonią pastucha, który iść czy nie mógł, czy udawał, że nie może; a pan ekonom wyprawił natychmiast posłańca do prezesa, a bryczkę i trzy konie posłał po sprawnika i lekarza powiatowego, dla zrobienia formalnego śledztwa.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie był zany starzec, zagrożony procesem kryminalnym. Najrozmaitsze uczucia nim miotały; a ta myśl, że ściągnął taki kłopot i wrzawę na cichy i spokojny dom syna, że starą żonę, zgryzioną tym wypadkiem, wyprawił o chorobę i zaprowadził do łóżka, że stał się ofiarą zimnej i wyrachowanej złości egoisty bez czucia, przywozili go do rozpacz, rozdzierającej serca obecnych.

Szcześnie, że tego samego wieczora przyjechała Anulka i przywiozła starcowi żwawego i śmiejącego się prawnuka. Złagodził się cokolwiek jego ból i sen na kilka godzin pokrzepił jego sily.

Nazajutrz przyjechali sprawnik i lekarz powiatowy i rozpoczęło się śledztwo. Chłop wprawdzie miał się nieźle i żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, ale z miny i mowy tych panów poznał pan Starzycki, że rzecz była naprzód ukartowana, jak to śledztwo poprowadzone być miało. Wtenczas strwo-

żył się mocno i zasmucił głęboko niebezpieczeństwem ojca, którego kochał nadewszystko. Nie namyślając się długo, zdecydował się pan Starzycki pojechać do prezesa, i dla oszczędzenia zgryzot i wstydu starcowi, którego czcił, ugiąć się przed człowiekiem złym, którego nie szacował.

Anulka, dowiedziawszy się o zamiarze ojca, napisała list do panny Kamili pełen rozpacz. Opisała jej całe zdarzenie, wystawiła stan drogiego dziadka, odmalowała smutek, boleść, przestach, jaki padł na cały ich dom, dotąd tak cichy i spokojny; wspomniała o chorobie babki ztąd wynikłej i o jej rozpacz, że może umrzeć, nie pobłogosławiwszy swego Józia; napomknęła jak mogła najdelikatniej o niesprawiedliwości prezesa, o przygotowaniu umyślnem całego tego nieszczęścia, słowem, każdy jej wyraz był silnym, rozdzierającym, mogącym poruszyć nawet obojętną osobę. Łatwo sobie wystawić, do jakiego stanu musiał przyprowadzić pannę Kamilę, którą rzecz ta pod tak rozmaitemi względami interesowała.

Anulka tajemnie oddała list ten człowiekowi, jadącemu z ojcem, i poleciła mu, aby koniecznie oddał pannie do rąk. Było to dosyć trudno, ale przypadek pomógł.

Pan Starzycki, przyjechawszy, poszedł prosto do prezesa. Przechodząc przez salę, spotkał pannę Kamilę; przywitał ją z uszanowaniem, popatrzył przez chwilę z dziwnym jakimś wyrazem przywiązania i litości, i poszedł dalej. Zmieszana, rozrzewniona, rozdarła bolesnymi wspomnieniami, nie mogła słowa wymówić. Usiadła biedna, zalała rękę i lzy puściły się jej z oczu. Po kilkunastu minutach, przyszedłszy cokolwiek do siebie, zajrzała w okno, a zobaczywszy powóz, wyszła, żeby choć z człowiekiem pomówić o tych, których tak kochała. Wtenczas furman zlął z kozła, i poznawszy pannę Kamilę, oddał list Anulki. Chwyciła go co prędzej i pobiegła do swego pokoju.

Prezes przyjął pana Starzyckiego z miną poborną i układną. Przechyliwszy głowę i puszcżając wielkie palce najpowolniejszego młynka, zawołał:

— Jezus Marya! kto by się spodziewał takiego nieszczęścia? Można się rozgniewać i unieść, ja sam jestem prędk; ale żeby człowiek w takim wieku tak się zapomniał? Biedny chłop umrze, jak mi mówiono.

— Ja sędzę, że panu prezesowi mówiono, że nie umrze—odpowiedział z powagą pan Starzycki.

— Ach! nie, mówiono, mówiono, że umrze.

— Kto to mówił, ten skłamał—rzekł, czerwieniąc się cokolwiek zacny człowiek, oburzony widokiem takiej hipokryzyi.

— Było za co się rozgniewać, to prawda—mówił dalej prezes—ludzie starzy przywiązują się szczególnie do każdej trawki, którą wypielegnąją. Ja sam bardzo lubię ogród, a szczególnie szparagi, ale że bym się tak uniósł, nigdy. Sumienie przedewszystkiem. Życie człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, powinno być dla nas rzeczą świętą, i grzeszy, poddaje się całej surowości praw, kto się na nie targa, jeszcze za co? za trawkę! Jezus Marya! czyż to się godzi?

— Panie prezesie!—rzekł z mocą, wyprowadzony z cierpliwości pan Starzycki—ja tu przyszedłem do pana z prośbą o umorzenie tej sprawy, która, jako przez pana przygotowana, skombinowana i wszczęta, tak i przez pana umorzona być powinna. Nie mam ja pretensyi do doskonałości, ale gdybyśmy zamienili role, i gdybym ja zaczął mówić, miałbym daleko więcej do powiedzenia. O tem pan wiesz dobrze.

Przygryzł wargi prezes, zaczerwienił się, potem, zacząwszy prędzej kręcić palcami, zapytał:

— Czy śledzwo już skończone?

— Śledztwo jeszcze nieskończone—odpowiedział pan Starzycki—bo widać, że ci panowie jeszcze nie wiedzą dobrze, jak pan chcesz, żeby skończonem było.

— Jezus Marya!—odpowiedział prezes—cóż tu już odemnie zależy? Wszyscy żyjemy pod prawem, prawo nami rządzi, a nie my niem. Ja się do tego mieszać nie mogę i tym panom dyktować, o co mają zapytywać, jak mają widzieć rany i stan umierającego. To od nich zależy dać zdanie, czy jest kryminał, czy nie.

— Uniesienie gniewu — odpowiedział pan Starzycki — jest zapewne nagannem, bo skutkiem jego może być zbrodnia, choć mimowolna. Ale kto zwołna wszystko przygotowuje, aby ten gniew wybuchnął, i z zimną krwią naraża dwóch ludzi, jednego na śmierć lub kalectwo, a drugiego na zbrodnię, ten nie wie czem jest, i czy mu wolno mówić o kryminalach.

— Nie rozumiem pana—odpowiedział prezes.

— Rozumiesz mnie pan bardzo dobrze, bo ja zawsze mówię, co myślę, a zatem tłómaczę się jasno! Ale prosiłem pana, nie ciągnij mnie pan za język, abym nie powiedział więcej, niż chciałem; bo powtarzam panu, że mam dużo do powiedzenia; a powtóre, że przyszedłem tu nie z kazaniem, któreby było grochem na ścianę, ale z prośbą.

Zagryzł znów wargi prezes i jeszcze prędzej kręcąc palcami, zapytał:

— O cóż idzie?

— Czy chcesz pan, czy nie chcesz umorzyć tę sprawę? Gdybym to ja zrobił, lub mój syn, bądź pan pewnym, żebym się u pana ani pokazał. Znalazłbym sposoby bronienia się, jak znajdę i teraz, jeśli się pan upierać będziesz. Ale ponieważ tu idzie o starca osiemdziesięcioletniego, ponieważ od tego zależy zdrowie, a może i życie mojej matki, dlatego przychodzę i proszę pana, i proszę usilnie, abyś tę rzecz kazał skończyć zagodzeniem chłopca.

— Jezus Marya! czybym ja nie rad? Ale jeżeli umrze?... Pan się uśmiechasz... daj Boże! daj Boże! żeby nie umarł. Zapewne, względy to ważne: stary

ojciec, matka sędziwa! Z jednej strony wstyd, a tam może śmierć. Jezus Marya! czyjeżby się serce nie wzruszyło? a tembardziej moje. Nie mówię ja, żebym mógł mieć jaki wpływ na tych panów urzędników, niech mnie Bóg uchowa, ludzi takich sprowadzać z drogi; ale mógłbym wpłynąć na mojego chłopca dobrą radą, wreszcie i pogrózką. Bo któż winien, jeżeli nie on, że nie patrzył, jak mu było przykazano. Ale cóż? ci nieszczęśliwi ludzie mówią mi zawsze, że takiego rodzaju sprawy będą ciągle, że temu nigdy nie będzie końca, póki cudzy poddani i obcy panowie będą we wsi. Dlatego, jeżeli pan przyjmiesz pewien warunek...

— Jedzie pan przez Jampol i Ostróg do Czaplinc — rzekł pan Starzycki, uśmiechając się z politowaniem, a potem z twarzą poważną i surową dodał:—że pan tak krętą ścieżką prowadzisz rozmowę, tego panu nie mam bardzo za złe. Ta egzercycya może pana bawić jako dowód rozumu, a jeżeli doprowadza do pożądanego rezultatu, daje panu tę pociechę, żeś rozmawiał z głupim. Ale że pan tak zdaleka przygotowujesz takie wypadki, i niby nie chcący kopiesz jamy na drodze ludzi uczciwych, to coś więcej, niż zabawka, to występek.

— A, więc pan chcesz, żebym mówił wprost— rzekł prezes zupełnie innym tonem i głosem. — Otóż panu powiem, że mogę umorzyć tę brudną sprawę, ale pod pewną kondycyą; dodaję oraz, że to jest kondycya *sine qua non*...

Tylko co chciał prezes wymówić to, czego się pan Starzycki oddawna domyślał, gdy nagle drzwi się otwarły, i weszła panna Kamila z zapłakanymi oczami, z surową twarzą i z listem w ręce.

Prezes zbladł cokolwiek, obaczywszy córkę. Rączki jego czempędzej i jakby machinalnie złożyły się na brzuchu i palce zaczęły się obracać.

Panna Kamila spojrzała na pana Starzyckiego,

który powstał z wyrazem pełnym czułości i czci, i rzekła drżącym głosem:

— Drogi papo! pan Starzycki przyjechał tu prosić cię, abyś tę nieszczęśliwą sprawę kazał umrzeć. Dowiedziałem się o tem zdarzeniu z tego listu i proszę cię także, kochany papo, niech się to skończy zagrodzeniem chłopca.

— Nibyż to chłop nie człowiek — rzekł prezes, wróciwszy znów do tonu słodkiego i pobożnego — że go można skaleczyć, a potem zagodzić.

— Wpuszczając szkodę do cudzej własności — odpowiedziała — i stając na drodze człowieka uczciwego, ale prędkiego, wiedział, na co się naraża, i nie zrobił tego zapewne bez obiecanej nagrody. Można tę nagrodę podwoić.

— A jeżeli umrze? — rzekł prezes, przygryzając wargi.

— Nie umrze pewnie — odpowiedziała z intencją. — I jak mu kazano ledz i mdleć pod uderzeniami, tak, gdy mu każą wstać ze śmiertelnej pościeli, upewniam cię, drogi papo, że wstanie i pójdzie.

— Jezus Marya! jakim ty tonem mówisz to — rzekł prezes, przechylając głowę.

— Mówię — odpowiedziała — tonem kobiety, której serce pęka od żalu i której czoło pokrywa się wstydem.

— Pięknie to jest, moje dziecko — odpowiedział — litować się nad cudzą biedą, a nawet nad cudzą nieroztropnością, która do niej doprowadza; ale nie widzę, dlaczego serce twoje pękać miało, że człowiek stary zapomniał się, i dlaczegożbyś się wstydzić miała, że za swój błąd i uniesienie musi pokutować. To dla ciebie sprawa obca... idź sobie.

— O, mój ojczel! — odpowiedziała, przystępując bliżej — jak to źle, że mnie zmuszasz powiedzieć ci to, co ci teraz powiem. Sprawa ta nie jest mi zupełnie obca. Pokój tych znacznych ludzi obchodzi mnie więcej, niż mój własny, bo ich szanuję i kocham, bo to są rodzice tego, którego mi Bóg nazna-

czył za towarzysza w tem życiu, a którego mi, ojczel, dać nie chcesz, sądząc w grzesznej dumie, że wiesz lepiej, niż niebo, co mi do szczęścia potrzebne. Dlatego serce moje pęka. Wstydę się zaś... — tu umilkła i zakryła sobie twarz obiema rękami.

— Mów, mów! — rzekł zmieszany prezes, i nadrabiając miną. — Czego się wstydzisz?

— Wstydę się — rzekła, podnosząc głowę — wszystkich tych czynności, które się robią w moim imieniu i dla mnie, a których ja nie chcę i nie aprobuję.

— Jezus Marya! — zawołał prezes — czy nie do mnie się to ściąga? i czy nie myślisz mnie sądzić?

— Nie wolno dzieciom sądzić rodziców — odpowiedziała z zapalem — ale grzech i rodzicom stawiać dzieci w takim położeniu, że muszą być ich współnikami, lub sędziami. Milczałam dotąd, mój ojczel!... i potrzeba było takiej bolesnej ostateczności, aby te słowa przedarły się przez moje usta; ale Bóg widzi, ile nocy przeplakałam, ile godzin przepędziłam na kolanach, aby cię niebo natchnęło innymi myślami. Bo nie takie są twoje czynności, mój ojczel, abym się niemi pysznić mogła. I na cóż to wszystko robisz? czy dla zbogacenia mnie, jedynej swojej dziedziczki? Ja nie chcę tych grzesznych bogactw. I tak mam nadto, aby być nieszczęśliwą. Jeżeli umysł twój potrzebuje zajęcia, masz o ścianę marszałka, masz z drugiej strony hrabiego. Z nimi walcz, jeśli cię to bawi. Ale obarczać biednych całą siłą zimnej krwi, rozumu i pieniędzy; korzystać z ich nieuwagi, glupstwa, nieumiarkowania, a nawet szlachetnego gniewu... to nieuczciwie, mój ojczel, i ja umyvam ręce od wszystkich skutków tych machinacyj.

Oparł się prezes o poręcz krzesła i słuchał, przymrużywszy oczy i blade jak ściana. Postrzegła to panna Kamila, rzuciła się przed nim na kolana, i ręce jego całując, wołała:

— Ojczel! ja cię kocham. Bóg widzi moje serce. Uczyni-że zadość prośbie córki, która wyrzekła

się szczęścia całego życia, aby ci dowieść, że wolę twoją szanuję.

— Idź precz, niewdzięczna dziewczyno! — krzyknął prezes, podncsząc się i drżąc od gniewu. A potem, zwracając się do pana Starzyckiego, dodał z gwałtownością: — Widzisz pan, do czegoście mnie doprowadzili, i czujesz to pewnie sam, czy macie teraz jakiegokolwiek prawo do mojego względu. Oświadczam więc wam, że nie doznacie żadnego, że was ścigać będę od dziada do wnuka, że jeden jest tylko środek, którym możecie uniknąć mojej zemsty, bo to już zemsta, to wam objawiam jasno i wyraźnie. Jeżeli pan dziś, natychmiast, nie podpiszesz tych punktów, które oto są już gotowe, jeżeli mi nie dasz na piśmie, że się zład wybieriecie daleko, i że was nigdy oczy moje nie zobaczą, jutro ojciec pana oddany zostanie pod sąd, jak kryminalista.

— Nie rób pan tego — rzekła panna Kamila stanowczo. — Ten kawałek ziemi równie jest panu drogim, jak i mnie. Pod tym dachem urodził się ten, któremu mnie Bóg nazaczył i którego kochać będę do śmierci. Nikt tam nie powinien mieszkać i nie będzie mieszkać — dodała z mocą — tylko ci, którzy mu dali życie, którzy go nauczyli być dobrym i uczciwym; którzy mu dali rozum i szlachetność; którzy mu przykazali nie korzystać ze słabości kobiety kochającej, której byłaby pewnie uległa, gdyby tylko był pisał słowo. Ojczel ja cię jeszcze raz proszę, napisz do tych panów urzędników, aby sobie jechali; oddaj zapomnieniu tę sprawę i zostaw tych szanownych ludzi w pokoju. Pod tym tylko warunkiem powtarzam ci obietnicę, i przysięgam na cienie mojej matki, że nie będę żoną pana Józefa Starzyckiego bez twojej woli i pozwolenia.

— A jeśli tego nie zrobię? — krzyknął prezes, drżąc cały i z twarzą purpurową od krwi, która uderzyła do jego głowy.

— Jeśli teraz, zaraz, nie dasz do rąk pana Sta-

rzyckiego listu, którego żądam, tej nocy jeszcze, bo-  
sa, ucieknę z twego domu; pójdę piechotą na Podole  
i rzucę się w objęcia tego, który mi stanie za wszy-  
stko. Namyśl się, mój ojczu, abys nie żałował, bo  
znasz mnie dobrze. Zrobisz, o co proszę, zostanę;  
nie zrobisz, pójdę, jak Bóg żywy i wielki. I wten-  
czas do tej zemsty, o której mówileś, przyłączysz  
i swoich własnych wnuków.

To powiedziawszy, wyszła; pan Starzycki, przy-  
stępując do prezesa, który stał bez ruchu, z podnie-  
sioną głową, z opuszczonemi rękami, których nawet  
spleść nie był w stanie, rzekł tonem poważnym i per-  
swadującym:

— Panie prezesie, nie wiedz pan swojej własnej  
córci na pokuszenie, i nie przyprowadzaj jej do nie-  
posłuszeństwa. Dostyc masz grzechu, żeś ją zmusił  
powiedzieć ci gorzką prawdę i osądzić tak, jak cię  
sądzą ludzie, którzy przez ciebie cierpią, i jak cię  
osądzi Bóg, który to wszystko widzi.

Prezes nic nie odpowiedział; drżąc i milcząc,  
napisał list i oddał go panu Starzyckiemu, który  
skłonił się i wyszedł. Gdy przechodził przez salon,  
sposzregł tam pannę Kamilę. Siedziała przy stoliku,  
głowa jej wsparta była na rękę, twarz okropnie bla-  
da, a oczy zwrócone ku drzwiom ojcowskiego gabi-  
netu. W takiej pozycji pełnej rozpacz i w natężo-  
nem oczekiwaniu wypadku, od którego zależeć miało  
jej niezłomne postanowienie, wyglądała widać wy-  
ścia pana Starzyckiego. Gdy sposzregła papier w je-  
go ręce, zawołała:

— Masz pan? o dzięki Bogu!

Potem przystąpiła bliżej, położyła głowę na je-  
go piersiach i mocno płakać zaczęła. Po chwili, utu-  
liwszy się cokolwiek, dodała:

— Jemu nic pan o tem wszystkiem nie pisz. Ra-  
na jego odnowi się, a nam potrzeba wielkiego męztwa.

Po tych słowach zakryła sobie twarz i poszła  
powoli do swego pokoju. Patrzył za nią długo wzru-



szony do gruntu serca pan Starzycki, i po jego męskiej twarzy, na której tylko głęboka myśl się wyrażała, dwie łzy potoczyły się strumieniem.

## XV.

Widać, że ten grzech wielki, który prezesowi postawił przed oczy pan Starzycki, dopełnił miary, bo odtąd i sam prezes to uczył, i trwoga jakaś ogarnęła jego serce. Scena ostatnia, którąśmy starali się szczegółowo opisać, o mało że go o śmierć nie przyprowadziła, tak silnie krew wzburzona uderzyła mu do głowy. Skończyło się przecież tylko kilkodniową delirją, w której prezes ciągle rzucał się, coś marzył, coś niewyraźnie i bez związku szeptał, dając słyszeć tylko kiedy niekiedy wyrazy: Jezus Maryja! bosa ucieka, ucieka, Starzyccyzna, osiemdziesiąt lat, kajdany i t. p. Panna Kamila, która gorzko sobie wyrzucała ten stan ojca, nie odstępowała go na chwilę, otaczała wszelkimi staraniami dziecka przejętego śmiertelną trwogą, i modliła się w duszy, gdy zaczął marzyć i wymawiał wyrazy, które sumienie do ust jego posyłało, a których rozum, osłabiony i skrępowany gorączką, na dnie serca utrzymać nie mógł. Przyszedł wreszcie prezes do siebie i wrócił powoli do dawnego stanu i dawnych myśli. Ale ufność w dawne siły i zręczność utraciwszy, zrobił się smutnym, gniewliwym, rozdrażnionym, tak, że najmniesza okoliczność, która okazywała, że mu się zaczyna nie udawać, przyprowadzała go do gniewu, rzucała krew do głowy i wprawiała w kilkunastogodzinną gorączkę. Szczególnie ta myśl, że tak dobra okoliczność oczyszczenia Czaplince wymknęła mu się z rąk, nieraz spać mu nie dawała; a wiele razy wracał z tej nowej swej majętności i spoglądał na ten dom cichy i spokojny, na topole, które stały jak pierwiej przy bramie zamkniętej, na te jasne okna, z których wyglądał pokój, umiarkowanie i owa wyższość, jaką da-

je rozum, sumienie i wiara, wracał upokorzony, zirytowany i każdą taką przejażdżką odchorował. Cierpiała jego duma, że nie postawił na swoim, a uważał tę strzechę słomianą jako skałę granitową, o którą się rozbijają jego zamysły; widział z pomiędzy tych drzew wypięlegniowanych wychodzącą rękę silną i młodą, która miała zagarnąć wszystko, co zbierał z takim wysileniem rozumu i chytryści, z tak wielką ekspensją sił i sumienia. Rozmaite szkody coraz większe utwierdzały go w tej myśli, że mu się już nic nie uda, że tu kres jego powodzeń. W tym czasie spłonęła jego gorzelnia; umarł siostrzeniec, którego miał w zapasie, dla postrachu panny Kamili; potem, gdy dawał dyspozycje przy budowaniu wielkiego magazynu, spadł człowiek ze stropu, na który zaciągano belki, o krok od prezesa i nogę złamał. Był to ten sam, którego nie tak dawno dzjadzio wybil. Widok ten przeraził prezesa i myśl jakiejś sprawiedliwości wyższej, surowej i nieubłaganej, jak błyskawica przedarła się boleśnie przez jego głowę. Stał się więc jeszcze posepniejszym, bardziej irytującym się i chudł widocznie. Ale że to był człowiek jak najmniej duchowy, chociaż miał rozum i przebiegłość, im więcej się w nim odzywała dusza, a odzywała się trwogą i straszącym głosem, tem więcej dogadzał swojemu ciału, i chwilowem jego ukontentowaniem chciał stłumić ciągle szeptanie niespokojnego serca. Jadł więc wykwintniej, więcej i częściej niż dawniej spijał najdroższe wina, odziewał się w kosztowne jedwabie i miękkim puchem starał się sen przywołać.

Raz, poniósłszy znów jakąś znaczną stratę, mocno zirytowany siadł do obiadu; stół był zastawiony obficie i prezes, mimo prośb panny Kamilli, jadł i pił za czterech. Po obiedzie, z pełnym żołądkiem, z pełną głową, z bijącemi mocno pulsami i drżeniem gwałtownem serca, poszedł prezes do gabinetu i usiadł w swoim krześle. Głowa jego robiła się coraz gorętszą i w skroniach czuł bicie jak młotem. Wtedy

zjawił się Szloma, któremu kazał przyjść zaraz po obiedzie. Ze zwykłym uśmiechem i elegancją wszedł żyd, uklonił się i zapytał o zdrowie.

— Jezus Marya — odpowiedział prezes — albo ty nie widzisz, że się mam najgorzej? Schudłem okropnie, nieszczęśliwy mam apetyt i serce mi ciągle bije.

— Tego nie widać — odpowiedział żyd — jaśnie wielmożny pan wygląda bardzo pięknie. A co się tyczy schudnienia, to powiem jaśnie wielmożnemu panu, że to i lepiej. To jest znak zdrowia.

— Łesz, żydzie — odpowiedział prezes. — Dla starego to nie znak zdrowia; to znak, że się zsuwa, opada, niknie, aż póki nie zaryją go w ziemię. Zwłaszcza kiedy tak często krew uderza i w skroniach bije, jak młotami.

— Zkąd jaśnie wielmożnemu panu takie smutne myśli przychodzą? — rzekł żyd z uśmiechem.

— Zkąd? a zkąd pochodzą wszystkie myśli, jeśli nie ztąd i ztąd — rzekł smutno prezes i ukazał na głowę i na serce. — Tu jest to, co pamięta dzień wczorajszy, a tu to, co przeczuwa jutrzejszy i drży przed nim. Ja czuję, że się zsuwam, że wkrótce pójdę z tego świata. Nic mi się już nie udaje; strata za stratą ostrzega, że mi już nie działać należy, ale rozpamiętywać, com zrobił. A gdy wspomnę na to wszystko, to serce strwożone i drżące przesyła krew do głowy, aby zjadliwe myśli zalała. — To powiedziawszy, wziął się obiema rękami za skronie i mocno je ścisnął.

— Na co jaśnie wielmożnemu panu — rzekł Szloma z uśmiechem jakiegoś wzgardliwego politywania — dopuszczać sobie do głowy takie wyobrażenia? Prawda, poniósł jaśnie wielmożny pan straty znaczne, ale jakże się może obejść bez strat w gospodarstwo, chcę mówić w gospodarstwie, i w handlu? A przy takim majątku, jaki jaśnie wielmożny pan ma, to kropla w morzu. Straty, to rzecz zwyczajna; dlaczego ich uważać za jakieś dopuszczenie, lub za karę?

— Dlaczego? dlaczego? — odpowiedział prezes — bo ja widzę palec Boży. Kiedy mi się spaliła gorzelnia, myślałem, że to przypadek; kiedy to i owo przepadło, myślałem, że to przypadek. Ale kiedy mi siostrzeniec nagle umarł, który mnie jeszcze bronił od tych przeklętych Starzyckich; kiedy ten sam chłop, którego nastawiłem, aby złapać i rozdrażnić starca z białą głową i uczciwem sercem, upadł o pół łokcia odemnie i nogę złamał, to już nie był przypadek, nie! i tybys tak myślał, gdybys miał sumienie; aleś ty szelma, żyd.

— A przecież ja nie chciałem — odpowiedział Szloma z pewną godnością — podejmować się żadnych intrygi, chcę mówić intryg, przeciwko państwu Starzyckim i jaśnie wielmożnemu panu radziłem nie podnosić ręki na nich, bo to ludzie zacni i uczciwi, i im wyraźnie Pan Bóg błogosławi.

— A czemuś ty mi nie radził — rzekł prezes — abym i inszych nie gnębił? Choć byli nierozumni i głupi, choć sami leżeli w sidła, jak owce, ale zawsze to ludzie! Nie bylbym ich kusił, gdybys był mi choć słowo powiedział. Aleś ty mi, huncwocie, pomagał, boś za to brał pieniądze. A teraz uśmiechasz się, kiedy mnie się głowa rozrywa, i śpisz spokojnie, kiedy ja się przewracam na pościeli, jak potępieniec!

— Czyż to moja rzecz — odpowiedział żyd — zawsze z uśmiechem — dawać jaśnie wielmożnemu panu lekcye moralności i miłości bliźniego? Mnie się zdaje, że jaśnie wielmożny pan powinienes to być sam czuć doskonale i lepiej wiedzieć odemnie, że kusić głupiego nie godzi się, że to wszystko jedno, co pijakowi podawać ciągle wódkę, aby się na śmierć zalał; co przyprowadzić ślepego nad rów i kazać mu iść dalej, zachęcając, że tam już równa droga.

— A dlaczegoż — krzyknął prezes — nie gadał tak pierwej?

— Jaśnie wielmożny pan — odpowiedział Szloma — dawał mi od każdego kupna dobry procent.

— O ty niegodziwy szachraju!—zawał i podniósł się z pięściami, ale upadł napowrót na krzesło i znów chwycił się za głowę.

Wtenczas przyniesiono list od pani Włodzimierzowej Podziemskiej. Usłyszawszy prezes to nazwisko, ożywił się cokolwiek, usiadł prosto jak dawniej i usiłując spleść ręce na brzuchu, kazał sobie list przeczytać.

Uwładniała go pani Włodzimierzowa krótko i zimno, że znalazłszy kupca na dwie wsie, które się znajdowały w zakładzie u prezesa, sprzedała je, i że pieniądze, które mu winna, a które na tych wsiach były oparte, znajdują się złożone w sądzie głównym w Żytomierzu, gdzie transakcja przyjęta została do akt i gdzie dług swój razem z procentem będzie mógł odebrać.

Był to cios silny, niespodziewany i uderzył go jak piorunem. Nadzieja zagarnienia tych wiosek, po wyjściu już blizkiego terminu, była ostatnią pociechą prezesa, ostatniem polem, na które spodziewał się jeszcze wystąpić i odżyć, ostatnią deską, na której jego duma z zalewu niepowodzeń wyratować się miała. Widząc, że ją utracił, jęknął głęboko, oparł się o krzesło i uczuł, że mu się w głowie zmieszało i krew gwałtownie na mózg napłynęła.

— Jezus Maryja!—zawołał—co się ze mną robi?

— Może jaśnie wielmożnemu panu doktorowi? — rzekł żyd prędko.

Prezes nic nie odpowiedział, tylko trzymał się za głowę.

— To może jaśnie wielmożnemu panu księdza? — dodał Szłoma.

— Dobrze, dobrze, posyłaj — odpowiedział prezes, wstrząsnawszy się na te słowa i zwracając na żyda twarz okropnie czerwona i wytrzeszczone oczy.

Wyszedł Szłoma z gabinetu i kazawszy posłać po księdza proboszcza do blizkiego miasteczka i po doktora, sam wrócił prędko, i udał się do panny Ka-

mili, dając jej znać, że ojciec mocno chory. Zbladła jak ściana, jakby jakimś przecuciem uderzona biedna panienka, i załamawszy ręce, zawołała:

— O! tom ja temu winna!

Gdy przyszli oboje do drzwi gabinetu, zastali je ze środka na klucz zamknięte. Ale zaledwie kilkanaście sekund upłynęło, usłyszeli wewnątrz pokoju ryk okropny, potem silne stuknienie, jak gdyby co ciężkiego upadło.

W rozpacz zaczęła panna Kamila szarpać drzwi; żyd wypadł, wołając na cały dom ratunku, a gdy się zbiegli ludzie i wyłamali je, znaleziono prezesa na ziemi, z siną twarzą i bez życia. Widać uderzony był apopleksją. W ręce miał pióro konwulsyjnie ściśnięte. Chciał zapewne pisać testament, bo na arkuszu, który leżał na stole, były te wyrazy nadzwyczajnie nieczytelnie i krzywo zaczęte: w Imię... w Imię przenaświet... potem jakieś znaki zupełnie niewyraźne.

Próżne były wszelkie usiłowania i ratunek. Odcierano go, oblewano wodą, trzeźwiono; Szłoma nawet krew mu puścił scyzorykiem, ale krew pokazała się tylko kroplami i zastygała natychmiast. Wtenczas Szłoma zostawił pannę Kamilę na kolanach i w rozpacz przy zwłokach ojca, a sam, przyzwawszy jednego z ofycjalistów za świadka, pozbierał i schował papiery i listy, i co tylko było na wierzchu, zamknął biuro, opatrzył zamki szuflad, szafek i szkatulek, i opieczętowawszy wszystko starannie, oddał klucze owemu ofycjaliście, a pieczęć pannie Beldeau, aby ją oddała pannie Kamili, gdy się cokolwiek uspokoi. Tegoż samego ofycjalistę wyprawił znów do proboszcza z uwiadomieniem, że już nie spowiadać, ale chować przyjdzie; a sam, wzięwszy z sobą starego pisarza, który wiedział, czego potrzeba dla przygotowania pogrzebu, dla żaloby panny Kamili i dworu, ruszył tejże nocy do Krzemieńca.

Gdy na trzeci dzień potem paradny orszak za-

łobny przeciągał przez Czaplince, wyszli przed bramę państwo Starzyccy i dziadzio. Pan Starzycki smutno poglądał na zamknięte między kilku deskami piersi, którym tak ciasno było na obszernej dziedzinie; pani Starzycka, patrząc na pannę Kamilę, idącą ze zwieszoną głową, z załamanymi rękami za zwłokami ojca, płakała; a dziadzio zdjął czapeczkę i modlił się za duszę człowieka, który mu dał chwilę rozpaczy i tylko co nie przywiódł do zbrodni.

W parę dni po pogrzebie, Szloma z polecenia panny Kamili wyjechał do Starego Konstancynowa, a ztamtąd do Żytomierza. Gdy we dwa tygodnie powrócił i oddał jej wszystkie papiery, których żądała, panna Kamila, przejrawszy wszystko, rzekła:

— Winnam ci wiele podziękowania, Szloma!

— Czyż pani tego nie widzisz — odpowiedział żyd poważnie — jak mi miło pani służyć?

— Powiedziałam ci kiedyś, że możesz polegać na wdzięczności mojej i nie zawiedziesz się. Czy chcesz u mnie zostać?

— Ponieważ żyda trzeba zapłacić, bo on czego innego nie wart — odpowiedział z godnością — to jeżeli się pani w czemkolwiek przysłużył, inszej nagrody nie żądam.

Spojrzała na niego panna Kamila i nie postrzegła już owego ironicznego uśmiechu na pięknej jego twarzy. Stał wyprostowany, patrzył na nią z zajęciem i oczy jego przymglone nie błyszczwały jak zwykle.

— Twoja Rachela nie prędko jeszcze pójdzie za mąż? — zapytała panna Kamila.

— Jeszcze nie mam nikogo — odpowiedział — komubym mógł powierzyć to piękne dziecko, które tak kocham.

— Niechże nie idzie — rzekła znowu zasmucona panienska — póki nie wrócę.

— Pani prędko wyjeżdża?

— Jutro — odpowiedziała, westchnawszy — i żądam od ciebie jeszcze jednej usługi. Ten list ode-

ślesz do Trawisk, do jego siostry, a ten list odwieziesz mu sam na Podole i oddasz do rąk. Wkładam na ciebie ten obowiązek dlatego, że pakiet zamyka w sobie ważne papiery i boję się, aby nie przepadł, albo się gdzie nie zawieruszył. Powiesz mu, że umiem zdrowa, że nieszczęście moje znoszę mężnie, że ufam, iż mi Bóg przebaczy, że umiem ostatnie dni życia mego ojca i zgon jego przyspieszyła. — Potem, otarłszy łzy, mówiła po chwili dalej: — Powtórz mu moją prośbę, aby nie rozpieczętował tego pakietu, chyba wtenczas, kiedy się dowie, że ciało moje nie wytrzymało wielkiego żalu, który mnie obarcza i że Bóg powołał mnie do ojca wcześniej, niżem myślała. Napisz mi, czy zdrow, ale on sam niech do mnie nie pisze. Co się tyczy ciebie, Szloma, to zostawię moje rozporządzenie temu, komu oddaję rząd mego majątku, póki nie wrócę.

— Więcej mi pani nic niema do polecenia? — rzekł żyd prawie rozrzuwiony, wzięwszy listy i pakiet.

— I owszem, mam — odpowiedziała — i rzecz taką, którą uważam za święty dla siebie obowiązek, a nawet dla ciebie, Szloma!

— Cóż to, proszę pani? — zapytał, patrząc ciekawie.

— Dzieci powinny nie tylko modlić się za dusze rodziców, ale płacić ich długi, darować ich urazy i nagradzać krzywdy, które zrobili. Mój biedny ojciec nie zupełnie czystą duszę zaniósł przed sąd Boga. Byłabym jeszcze występniejszą córką, niż jestem, gdybym się nie starała nagrodzeniem krzywd, które zrobił, zmniejszyć jego winy i rozbroić surowość Sędzię, przed którym dziś stoi. Ty, Szloma, pomagałeś mi w złem dziele, bądźże teraz moim pomocnikiem w dobrem. Jest to twój obowiązek i spełnisz go chętnie.

— Spełnię, tego pani możesz być pewna — odpowiedział żyd, patrząc na nią z podziwieniem. — Cóż mam robić?

— Dowiesz się o położeniu i stanie majątku tej wdowy z Żurawki, którą mój biedny ojciec procesował. Doniesiesz mi także, co się dzieje, gdzie się obracają, wiele, i w jakim wieku mają dzieci, ci wszyscy biedacy, którzy mieli w Czaplincach przytułek i kawałek chleba.

— Pani jesteś szlachetna istota — rzekł żyd ze łzą w oku.—Zrobię wszystko, co pani każesz, to się i moim dzieciom przyda.

To powiedziawszy, rzucił okiem na krucyfiks, który stał obok panny Kamili, potarł ręką po czole, odwrócił się i poszedł.

Nazajutrz panna Kamila z panną Beldeau pojechała do Lwowa, gdzie miała mieszkać przy ciotce, a tegoż samego dnia pan Hipolit Starzycki odebrał pakiet, w którym był klucz od pokojów jej ojca, naznaczenie go przez marszałka i sąd opiekunem i doradcą panny Kamili, formalna plenipotencya na zupełne i bezwarunkowe zarządzanie jej majątkiem, i list następujący:

„Nie mam nikogo na ziemi, kogobym więcej szanowała i czciła. Mam nadzieję, że i w sercu pana jest dla mnie uczucie przywiązania, pobłażliwości i opieki, jakie słaby i mimowolnie występny wzbudza w duszy silnej i sumiennej! Nie sądzę więc, abys mi pan wziął za złe, że się rozporządziła bez jego wiedzy, i nie prosząc nawet pozwolenia, wyrobiła sobie, że pana naznaczono moim opiekunem i doradcą. Jako pełnoletnia, mam prawo, z poradą pana, rządzić moim majątkiem. I w tem żądam jego pomocy i posyłam na to formalną i bezwarunkową plenipotencyę. Słaba i znękana, nie czuję się zdolną do wypełnienia tej powinności. Oto jest klucz od pokojów mego ojca, na biurku przy oknie leżą inne kluczyki, z karteczkami odpowiadającymi numerom zamków i szuflad. Nie wiem dobrze, co jest w jego papierach, bom nie miała serca i ciepłości wszystkiego przejrzeć. Zdarłam tylko kilka weksli lu-

dzi nie bogatych, które mi wpadły w ręce. Widać, że mój ojciec nie miał zamiaru upominać się o te długie, bo weksle dość dawne. O! nie był on tak złym, i ja tem występniejszą się czuję. Odeślij pan zdarte weksle ich właścicielowi, niech się modlą za jego duszę, i dla mnie także niech proszą o przebaczenie. Ile potrzeba będzie na ozdobę i uporządkowanie, według przyłączonego planu, grobowca mego ojca, na nakłady gospodarskie, na zapomożenie wieśniaków i przyprowadzenie ich do lepszego stanu, na to pan nie żałuj. Resztę dochodów, oraz całą sumę złożoną w sądzie głównym przez panią Włodzimierzową, proszę zachować na użycie, które mi leży na sercu, a które mi może Bóg pozwoli przywieść do skutku. Mnie proszę nic nie posyłać. Wzięłam z sobą dosyć, a czego mi nie stanie, to mi da ciotka, u której mieszkać będę we Lwowie. Tu zostać nie mogłam. Gorzkie wspomnienia ciężkiej winy przeciwko temu, który mi dał życie, wypędzają mnie z domu. Więcej o nic pana prosić nie mam. Daruj mi tylko, że taki ciężar składam w ręce twoje bez wiedzy i zezwolenia. Żegnam pana z sercem pełnym czci i uszanowania. Proszę pozdrowić odemnie żonę i matkę, której nie znam, ale którą mam ważne powody kochać. Dziadzi ręce całuję. Niech przebaczy memu ojcu i modli się za jego duszę. Tego się spodziewam po szlachetnym sercu starca, którego cała rodzina uwielbia. Do Anulki pisałam i pożegnałam ją. Jemu przestałam także kilka słów pożegnania. Jeżeli umrę wcześniej, niżby mój wiek i siły spodziewać się kazały, ostatnia moja wola znajduje się w jego ręku. Winnam mu wiele, bardzo wiele! i dług mój dla niego jest świętym.”

W pierwszym postskryptum był adres do Lwowa, a w drugim, co następuje:

„Szlomę racz pan zostawić na miejscu. Mam mu wiele do zarzucenia, ale winnam mu także wdzięczność za ważne przysługi. Jest to piękna

i wyższa natura, którą okoliczności i zle użycie zniżyły. Byłby to człowiek znakomity, gdyby był chrześcianinem. O tem jestem zupełnie przekonana."

## XVI.

Przechodziły tygodnie i miesiące. Panna Kamila mieszkała we Lwowie u ciotki. Zawsze czarno ubrana, nie robiąc żadnych znajomości, do czego jej dom pobożnej i samotnej staruszki doskonale pomagał, codziennie przepędzała parę godzin w kościele, zresztą zajęta była pracą, rozmyślaniami i wyszukiwaniem biednych, którzy jedni z całego miasta ją znali i oczekiwali, jak anioła pocieszyciela.

Pan Józef mieszkał zawsze na Podolu. Pracował, uczył się, a gdy go tęsknota ogarnęła, gdy obawa i niepewność przeważały nadzieję, jaką się tajemnie karmił, wtenczas brał rękopis ojca i w nim czerpał siły i pociechę. Na wigilię Bożego Narodzenia przyjechał do rodziców, jako w dzień uroczysty dla całej familii, w który wszyscy dawnym obyczajem musieli być obecni. Wtenczas odwiedził Szyszkowce, i z sercem nanowo rozranionem widokiem tego miejsca, powrócił do domu.

Już przy końcu stycznia nagrobek marmurowy, przywieziony z Odessy, stał na omentarzu parafialnego kościółka. Obrzucały go nagiemi dziś gałkami bzy, dawniej przez kogoś posadzone, wśród których proboszcz naznaczył miejsce zwłokom prezesa, i okrzyki go sztachety żelazne z drzwiczkami na klucz zamykanemi. Jak tylko robota ta była skończona, doniósł o tem pan Starzycki panie Kamili, zdając jej oraz sprawę z postępów gospodarstwa i stanu majątku. Pracował on wiernie, przeprowadził wszystko do porządku, zajmował się poddanymi, niósł im ulgę i pomoc, i każdej niedzieli dziedziniec jego był pełen ludzi, z których jedni przychodzili dziękować, a drudzy prosić.

Ze swojej strony Szłoma także nie zależał pola, i już w połowie lutego panna Kamila odebrała najdokładniejszą wiadomość o wszystkich dawniejszych dziedzicach Czaplinc. Z niej dowiedziała się, że niektórzy pobrali dzierżawy na kontraktach w Dubnie, inni dostali miejsca ekonomów, a panowie Zarzycki i Cepowski miejsca rządców w kluczach możnych panów, ich zaś synowie przyjęci byli do służby wojskowej; że z tych pan Plachta najgorzej wyszedł, bo nie przestawał żyć komilfo i prawie ostatkiem gonił, że oprócz dwóch córeczek owej wdowy z Żurawki, było wszystkich panienek dorosłych i młodszych dziesięć, a wszystkich chłopczyków, potrzebujących już szkół i jeszcze małych, szesnastu.

Przy końcu listu Szłoma umieścił te słowa:

„Wypełniłem rozkaz pani z największą akuracnością. Domyślając się celów pani, więcej zająłem się dziećmi, niż rodzicami, i tych spis dokładny, z oznaczeniem lat każdego, przyłączam. Niech pani jeszcze co rozkaże. Im więcej myślę nad przeszłością, tem więcej pragnę rozkazów pani. Ja czuję, że nie był stworzony do szachrajstwa, i mógłbym być czem innym się zająć.

Pana Józefa widziałem niedawno. Był u rodziców na świętach. Smutny jest, ale zdrow. Mało mówiliśmy o pani, bo jemu iza przeszkadzają, a on mężczyzna, wstydzi się płakać przy żydzie. Gdyby wiedział, coś pani ze mnie zrobiła, toby tak nie myślał.”

W miesiąc potem pan Starzycki odebrał od panny Kamili list, w którym dziękuje mu za wszystko, co dla niej robił i robi, i prosi o wypełnienie poleceń, które mają ulżyć jej sercu, co jej podadzą nadzieję przebaczenia, co może rozjaśni jej duszę nadzieją szczęścia. Prosi go więc naprzód, aby dwie córeczki wdowy z Żurawki, chorej i skrzywdzonej przez dziedzica, u którego trzymała posesyę, Anulka wzięła do siebie, póki ona nie wróci i nie zajmie się

ich wychowaniem i wyposażeniem sama. Matce zaś, żeby dał jeden z dworaków w Czaplincach i naznaczył jej ordynaryę. Powtóre, aby rodziców pańienek, wymienionych w przyłączonym spisie, uwiadomił w jej imieniu i upewnił formalnie, że każda z nich będzie miała po piętnaście tysięcy posagu, które odebrać może zaraz po ślubie. Potrzebie, aby uwiadomił rodziców wszystkich w spisie wymienionych chłopczyków, że począwszy od lat dziesięciu, aż do skończenia edukacji, najprzód w gimnazyum równieńskim, a potem w uniwersytecie kijowskim, naznacza na każdego z nich po tysiąc dwieście złotych rocznie; że to utrzymanie nawet na przypadek jej śmierci, zabezpieczonem dla nich zostanie.

Pan Starzycki wykonał ściśle polecenia tak zgodne i z jego sercem i przekonaniem, i przesłał jej o wszystkim wiadomość, oraz pakiet listów, w których wszyscy rodzice i dorosłe już panny wynurzały jej wdzięczność za takie dobrodziejstwo, i przyrzekali modlić się za duszę jej ojca i prosić Boga, aby jej dał pokój i szczęście. Przeczytawszy to wszystko panna Kamila, kazała odprawić w ustronnym kościółku mszę żalobną, podczas której leżała krzyżem i modliła się gorąco, a gdy ją ksiądz pobłogosławił i wodą święconą pokropił, powstała spokojniejsza i jakby odrodzona. Zdawało się jej, że słońce inaczej świeci, że świat Boży inaczej wygląda, że na nim jest jeszcze nadzieja, że radość i szczęście mogą jeszcze mieszkać na ziemi. Odtąd i rumieniec zaczął na twarz jej powracać, i dawniejszy uśmiech ozdabiał niekiedy jej śliczne usta. Z wielką pociechą patrzyła na to panna Beldeau, która się serdecznie nudziła, ale przez przywiązanie do panny Kamili nigdy jej tego poznać nie dała.

Dobrodziejstwa heroiny naszej prędko się rozgłosiły i miały pożądany skutek. Pan Remigiusz i pan Paweł Smyczkowscy, dowiedziawszy się o posagu pańienek Płachcianek, pogodzili się z sobą, i oba,

z lewej strony pokręcając węża, na znak zgody i ukontentowania, zajechali przed dom pana Płachty, który nie znalazł dla siebie dogodnej posesyi i żył tymczasowo w miasteczku, uważając to za rzecz bardziej komilfo. Zastali tam zgromadzoną całą rodzinę. Pan Płachta, jako dyplomata, czytał gazety, Pani Płachcina siedziała na kanapie, obok niej obie panny, a naprzeciwko siedział pan Jakób, grał na gitarze i śpiewał: „Te brzoź kilka.“ Zacerwieniły się pańienki, obaczywszy panów Smyczkowskich i krzyknęły obie. Krzyk ten przerwał śpiew pana Jakóba w miejscu najpatetyczniejszem, to jest w polowie wyrazu: Lucyna. Wszakże nie gniewał się o to były Czaplinciecki Orfeusz, bo tegoż samego wieczora nastąpiło oświadczenie, a w trzy tygodnie potem, gdy pan Remigiusz przywiózł z Łucka indult i dyspensę biskupa, dla dwóch sióstr wychodzących za dwóch braci, odbył się ślub solennie i o tyle komilfo, o ile stawało funduszów. Wszakże pani Birucka, która mieszkała o sześć mil od państwa Płachtów, upewniała pod sekretem i, ruszając ramionami, że wszystkie kosza na wyprawę i na ślub łożył tajemnie pan Jakób pod pretekstem pożyczki.

Po ślubie pan Remigiusz z żoną i pan Paweł z żoną pojechali do pana Starzyckiego, który im wypłacił natychmiast trzydzieści tysięcy.

Gdy ta wiadomość gruchnęła po okolicy i gdy się przekonano, że to nie prosta obietnica, ale że nie żartem wypłacają posag gotowizną i natychmiast, rzucono się do pozostałych jeszcze pięciu pańienek, z których panna Birucka starsza wyszła za pana Zarzyckiego młodego, a młodsza panna Birucka została panią Cepowską. Inne znalazły sobie także mężów, a niektóre nawet dobre partye. Niektórzy nawet na dwie małe córeczki państwa Skrętskich i na córeczkę państwa Pożyczkowskich obrócili oczy i postanowili na nie czekać.

Z chłopczyków sześciu zaczęło edukacyę: dwóch

pana Zarzyckiego, jeden pana Cepowskiego i trzech drobniejszej jeszcze szlachty. Inni czekali dziesiątego roku. Tych sześciu pan Starzycki sam odwiózł do Równego, oporządził i ulokował. Wszystkim zaś młodym mężatkom, którym oddawał posagi, wszystkim dzieciom, na które nadziewał szkolny mundur, wrażał w pamięć, aby nie zapomniały, z czyich rąk odbierają tak wielkie dobrodziejstwo; że szlachetna kobieta, która je świadczy, innej wdzięczności nie wymaga, jak codziennej modlitwy za duszę jej ojca.

Tymczasem mijaly tygodnie i miesiące, przeszło lato i jesień uchodziła. W połowie października, właśnie w rocznicę tego dnia, kiedy panna Kamilla poznała pana Józefa, wychodząc od Fary, spostrzegła przed kościołem podróżną karetę. Wysiadł z niej młody człowiek niewielkiego wzrostu, ale czystej i przystojnej twarzy. Ozdabiały ją ładne włosy, gęste włosy wychodziły z pod podróżnej czapeczki, a we wszystkich jego ruchach była jakaś pewność i żywość. Za nim wysiadła młoda, ładna blondynka z śmiejącem się i uszczęśliwionem licem. Podał jej obie ręce ów młody człowiek i pomagał wysiadać z karety, z której ona z żywością i śmiechem wyskoczyła. Za nimi wysiadł trzeci mężczyzna, przystojnie ubrany, w czamarcie nowej i militarnie zapiętej, wąs miał rudawy i cokolwiek siwiejący, czapczkę na uchu i we wszystkich jego ruchach wiadać było dawnego wojskowego. Gdy młoda para, wzięawszy się pod ręce, poszła do kościoła, furman rzekł do owego pana, który wysiadł ostatni:

— Proszę pana, czy mam tu czekać?

— A jużci tu, mosanie, póki państwo nie wyjdą z kościoła.

— A jak nas ztąd spędzą?—zapytał furman.

— Ej! pluń na to mosanie — odpowiedział wojak — będziesz mi się bał Niemca z laską i rzemieniem. Mało ich widziałeś? Zjadłby mi sto dyabłów który z moich ...—mrucał potem do siebie pan Sio-

dłowski, którego zapewne czytelnicy poznali i poszedł do kościoła.

Uderzona znajomą sobie twarzą, chociaż nadzwyczajnie zmienioną, zatrzymała się z boku panna Kamila i gdy pan Siodłowski się oddalił, posłała lokaja do ludzi zapytać, czyja to karetka i kto ta pani? Dowiedział się człowiek, że to powóz pana Henryka Podziemskiego, że ta pani to jego żona i że wracają do matki na Wołyń. Serdecznie ucieszyła się tą wiadomością panna Kamila i podziękowała Bogu, że i ten ciężar spadł z jej sumienia.

Pan Henryk, wyjeżdżając z domu, wziął z sobą Siodłowskiego na usilne prośby matki i dla jej uspokojenia. Przejechał Lwów i udał się prosto do Wiednia. Tam osiadłszy, z wielkiem nieukontentowaniem Siodłowskiego, który nie wiedział, co robić między Niemcami, zaczął życie twarde, pracowite i oddane wszelkiego rodzaju ćwiczeniom. Miał dwóch nauczycieli: jednego literatury, drugiego historyi; wstał o godzinie piątej, sypiał na twardym materacu, wyrzuciwszy niemieckie piernaty, codziennie chodził do zupełnego umęczenia, fechtował się, uczył się strzelać, jeździć konno i w szkole pływania był najzwziętszym uczniem. Wspomnienie upokorzeń, których doznał, dodawało mu wytrwałości, a widoczne wzmaganie się sił, zęczność i śmiałość, które mu stopniami przybywały, obudziły wrodzoną odwagę i energię, które pierwotna edukacja uderzyła letargiem. Po roku takiej pracy zwiedził brzegi Renu, obszedł piechotą Szwajcaryę i wrócił do Galicyi, do krewnych, których miał w Stanisławowskim cyrkule. Tam poznał kuzynkę, niezbyt bogatą, ale żywą, ładną, której się podobał. Ucieszony tem szczęściem, którego w chwilach rozpaczyny nigdy się już nie spodziewał, aby się podobać kobiecie milej i edukowanej, przystał do niej sercem i duszą i, otrzymawszy pozwolenie matki, ożenił się. Właśnie teraz wracał do domu, zdrow, śmiały i szczęśliwy, nie wiedząc



o tem, że przechodził pod bokiem tej, która pierwsza obudziła w nim to uczucie poniżenia, w jakim się znajdował, i w którym byby prędko zginął, gdyby jej wzrok, pełen życia i siły, nie padł był na niego, jak ożywiający promień słońca na roślinę blizką zwiędnięcia.

I znów przechodziły tygodnie i miesiące i zima się skończyła. Gdy przyszła wiosna, gdy się wszystko zielonością, gdy ptaki śpiewały miłość, gdy kwiaty zwracały się ku sobie gdy w powietrzu pełnem woni wszystko powoływało istoty żyjące do szczęścia i radości, panna Kamila poczuła nieogarnioną tęsknotę i, zebrawszy się jednego wieczora po nieszporach, gdzie się poradziła z Bogiem, nazajutrz wyjechała.

Dziadzio właśnie stał na ganku, w popielatej czapeczce na bakier, z toporkiem w ręku, gdy zajęchała karetą, i panna Kamila, w czarnej jeszcze sukni, z niej wyskoczyła, rzuciła się w jego objęcia i zaczęła ręce jego całować. Plakał pocziwyo starzec, ściskając ją i zaniósł prawie na rękę do pokoju. Nie będziemy opisywać przywitania jej z resztą familii, bo to są chwile święte, których nie godzi się profanować słowami. Dodamy tylko, że babunia przez cały czas nie puszczała jej od siebie. Trzymała jej rękę i wpatrywała się w tę twarz czarującą, na której zostały ślady cierpienia, głębszych refleksyj i czyniąc ją poważniejszą, niż była, jeszcze ją piękniejszą robiły.

Nazajutrz pan Starzycki przybył do Szyszkowiec i zdawszy jej sprawę ze stanu majątku i interesów, chciał jej zdać cały zarząd, który przez półtora roku sprawował. Ale panna Kamila uprosiła go, aby to odłożył na potem, że jeszcze jej serce i głowa potrzebują wytchnienia i że niezdolna nieczem się zająć. Tak przeszły dwa tygodnie na odpoczynku, na odwiedzaniu państwa Starzyckich w Czaplincach i na rozmowach, a niekiedy i na szeptach z babunią.

W połowie maja, już po dziesiątej wieczorem, na cmentarzu parafialnego kościółka stał oparty o kraty grobowca mężczyzna czarno ubrany i patrzył na pływający po niebie księżyc, który co chwila chmury zakrywały. Wtem posłyszał szelest i spostrzegł zbliżającą się osobę w żalobie, z zakrytą twarzą, która przystąpiła do niego spokojnie, podała mu rękę i, otworzywszy drzwi, weszła z nim razem. Tam uklękli oboje i modlili się długo. Klony szumiały nad ich głowami, bzy rozkwitające błękitnymi kitami dotykały ich ramion, a księżyc, uwalniając się od chmur, które stopniami uciekały, zawisł nad nimi na czystym i błękitnem niebie. Po dwóch godzinach kłeczenia wyszli. Ona zamknęła kratę, podała mu znowu rękę i poszła. On został jeszcze przez czas nieki na miejscu i także zwolna się oddalił.

Na trzeci dzień dziadzio, babunia i państwo Starzyccy, na zaproszenie panny Kamili, wchodząc do pokoju w Szyszkowcach, zastali tylko pannę Beldeau, która ich przyjmowała, oświadczając, że panna Kamila zaraz wyjdzie. Wkrótce zjawilo się kilku oficyalistów, którzy także byli wezwani. Po chwili przybył i ksiądz proboszcz i przywitał wszystkich, nic nie mówiąc, po co przyjechał; pan Starzycki, widząc to, chodźił niespokojny i tarł ręką czoło, a babunia nieznacznie uśmiechała się. Nareszcie otwarły się drzwi od bocznego pokoju i wyszła panna Kamila w białej sukni, z mirtem na głowie i z woalem. Nie miała na sobie żadnych ozdób, nie miała brylantów, jaśniała tylko poważną i dziwną pięknością. Prowadził ją pan Ignacy. Za nią szedł pan Józef ze spuszczone mi oczami, którego prowadziła Anulka.

Gdy wszyscy byli zadziwieni tym widokiem i uderzeni wdziękami obojga, podała rękę kochankowi panna Kamila i uklękła z nim razem przed babką.

— Ty błogosław najpierwsza — rzekła rozrzwionna panienka — on twój.

Pobłogosławiła ich staruszka ze Izami, dziadzio

przyłączył swoje błogosławieństwo, wtenczas panna Kamila, zwracając się do pana Starzyckiego, który stał zamyślony, rzekła:

— Ojcze! bałam się twoich skrupułów i dlatego ten sekret przed tobą. Twoja matka wiedziała o wszystkim i pobłogosławiła. Daruj i ty jemu i mnie i pobłogosław. Myśmy dużo cierpieli, długo walczyli i należy się nam cokolwiek szczęścia na ziemi. Proś za nami, mamó!

To powiedziawszy, upadli oboje na kolana przed rodzicami. Zwyciężony pan Starzycki, położył ręce na ich głowach i rozrzewnionym głosem rzekł:

— Widać taka była wola Stwórcy. Niech wam da szczęście, boście go warci oboje.

Matka także zęgnąła ich, płacząc. Otrzymawszy błogosławieństwo wszystkich, weszli do sali, gdzie był przybrany ołtarz, przy którym stał już proboszcz.

Po skończonej ceremonii, pani Józefowa, obracając się do męża i podając mu obie ręce:

— Józiu mój — rzekła — teraz razem do śmierci tu, a może Bóg da razem i tam.

Objął ją uszczęśliwiony mąż, przycisnął do serca i tak się wszystko skończyło.

Odtąd zgoda, miłość i pokój panują w tym domu. Kwitnie majątek, swawolą prawnuczki, rosną dzieci wyposazonych pańienek, uczą się chłopczyki i poddani błogosławią, bo szczęście wysłużone walką, bo dobrymi czynnościami wyproszone przebaczenie za winy przodka, serca młodych małżonków oczyszczone od próżności, bo umiarkowanie i rozum ojca, kierują ich szlachetnymi popędami, a modlitwy dziadzia i babuni ciągle się nad nimi unoszą.

Z. Kalolepszy

